

**NIEMCY – ROSJA:
GAZ ŁĄCZY,
GAZ DZIELI**

**JAK SANACJA
NISZCZYŁA PPS**

**PRZEMYSŁAW
POTOCKI:
RODZINA
PO TRZYDZIESTCE
ALBO WCALE**

**TŁOK I PŁACZ
W SZPITALACH
DZIECIĘCYCH**

Donald Tusk

POMAGA CZY SZKODZI OPOZYCJI

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

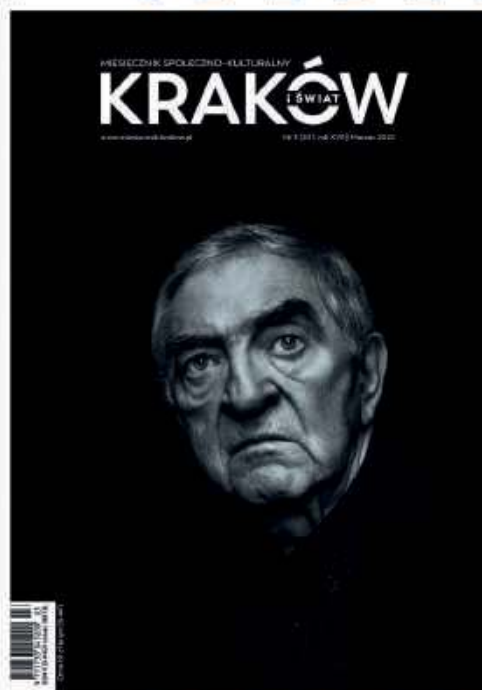
KRAKÓW I ŚWIAT

MAJĄ SENS - Z KLASĄ



Stary, dobry KRAKÓW...
DO SMAKOWANIA NA NOWO.

JERZY TRELA - 80 LAT!
DZIĘKUJĄC LEKARZOM
EWA LIPSKA ROZMAWIA
Z DE MONTAIGNEM



WSTĄP DO KLUBU PRZYJACIÓŁ MIESIĘCZNIKA:

- **rocznie 200 PLN** – a w zamian roczna prenumerata i w grudniu książka jednego z autorów pisma
- **rocznie 1000 PLN** – (Przyjaciel Kultury) wszystko jak powyżej plus w grudniu unikalna grafika Daniela Mroza

Więcej na: www.miesiecznik.krakow.pl

BIBLIOTEKA KRAKÓW

pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Tytułem:

Klub Miesięcznika „Kraków” – nie zapomnij
podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!



Mistrz Passent

Każda redakcja marzy o kimś takim jak Daniel Passent. Tak głęboko i trwale związanym z piśmem. I tak niezwykle szczerze obdarzonym talentem. Choć od razu muszę dodać, że nie byłoby tego dziennikarskiego fenomenu, gdyby nie równie legendarna pracowitość. Tygodnik „Polityka” miał szczęście. Ale i Passent nie mógł trafić lepiej. Przez ponad 60 lat napisał tam wiele tysięcy tekstów. I gdyby zrobić ranking najlepszych felietonistów stulecia, bez wątpienia trafiłby do ścisłej czołówki.

Niestety, to już historia. Jakże trudno mi napisać, że jako autor Daniel Passent jest już po tej drugiej stronie. Już nie będzie nowego felietonu, bloga, audycji. A nasz tygodnik stracił bardzo ważnego i życzliwego Czytelnika. Niewielu znam ludzi, którzy na jakimś etapie życia nie czytali Passenta. Bez przymusu. Zawsze z własnego wyboru. Mało tego, na jego kolejne felietony czekano z niecierpliwością.

Rósł z tym najważniejszym od lat 60. piśmem polskiej inteligencji. W „Polityce” Passent był zawodnikiem kluczowym.

Skąd brała się tak wielka popularność jego felietonów? Z tego, co pokazywał w tekstach. Przenikliwość obserwacji, erudycję, niepodważalną inteligencję i ironię,

którą wolał od toporka. Dowcipnie przewrotne skojarzenia mogli docenić zwłaszcza bywalcy kabaretów Pod Egidą i Dudek. Śmiali się do łez, słuchając aktorów, dla których pisał teksty.

Jest jeszcze jeden ważny powód, dla którego Passent był wielu ludziom tak bliski – wspólnota myśli. To, co pisał, i styl, w jakim to robił, trafiały w punkt myślenia rzeszy Polaków. Czytelnicy szanowali go i doceniali, bo odnajdywali u niego swoje odczucia i poglądy. Dla nich Passent był busolą. Orientowano się na jego oceny, uważano za mistrza i przewodnika intelektualnego.

I jeszcze bardziej osobisty akcent. Passent jako student zaczynał od pracy w „Sztandarze Młodych”, podobnie jak inny tuż dziennikarstwa, Tadeusz Olszański, też czytelnik „Przeglądu”, którego tą drogą serdecznie pozdrawiam. Obydwaj nigdy nie skrywali tego, że dziennikarską drogę zaczęli w „Sztandarze Młodych”. A dla mnie, jako że wiele lat później byłem szefem tego dziennika, i dla setek dziennikarzy, którzy przeszli przez tę gazetę, każde ich dobre słowo było ważne.

Daniel Passent był dziennikarzem spełnionym. Niewielu jest mu równych w dorobku twórczym i trafności ocen. Dla mnie na zawsze będzie Mistrzem.

CO WARTO PRZECZYTAĆ ZIMĄ?
Mamy zapas e-booków!

TYLKO DO KONCA LUTEGO
E-BOOKI OD 9,90 ZŁ

sklep.tygodnikprzeglad.pl

CYTATY

JERZY URBAN, redaktor naczelny

Pisarstwo Passenta zawsze było erudycyjne, pozbawione nadmiernych emocji, wyważone.
„Nie”

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO,

były wicepremier i minister finansów
W USA konieczny jest powód do utrzymywania wydatków wojskowych na wysrubowanym poziomie.
„Rzeczpospolita”

BĄKOWSKI



KRAJ

- 8 Tusk: pomaga czy szkodzi opozycji**
Miał być blitzkrieg
- 12 Granica niemożności**
Co z wojskiem na wschodzie Polski
- 14 To szpital, nie plac zabaw**
Trauma dzieci i rodziców
- 16 Praca, etat, bezpieczeństwo**
– rozmowa z dr. Przemysławem Potockim
- 20 Totalna inwigilacja**
– rozmowa z Wojciechem Klickim
- 26 W sieci absurdów**
– rozmowa z dr. hab. Walterem Żelaznym
- 28 Haniebna decyzja**
IPN nie pozwala na wojskowy pogrzeb
- 41 Betonowe koła ratunkowe dla tonącej gastronomii**
Walka o przetrwanie
- 44 Ofiary estońskiego windykatora**
Bardzo drogie auto zastępcze
- 46 Rewolucje pożerają ojców**
Ewa Nowakowska o Żygmuncie Baumanie

SYLWETKI

- 23 Oni się śpieszą, a my się nie dajemy**
– rozmowa z [Danielem Passentem](#)

ZAGRANICA

- 30 Gaz bojowy**
Scholz między Bidenem a Putinem
- 34 Izrael po niczyjej stronie**
Ani za Kijowem, ani za Moskwą
- 36 Francja na ołtarzu**
Szanse Valérie Pécresse na prezydenturę
- 38 Dzieci londyńskiej ulicy**
Dlaczego zabijają, dlaczego giną

HISTORIA

- 50 Socjaliści Piłsudskiego**
Jak sanacja niszczyła PPS

NAUKA

- 54 Szperanie w Drodze Mlecznej**
– rozmowa z dr Joanną Drązkowską

KULTURA

- 56 Kulturalia**
- 58 Mały Rycerz i mit Łomnickiego**
– rozmowa ze Zbigniewem Zamachowskim
- 66 Dzień dobry, Panie Gauguin**
Obrazy Grzegorza Bednarskiego

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Mistrz Passent
- 19 Roman Kurkiewicz**
Ordo donos
- 25 Wojciech Kuczek**
Dziadziuś nie żyje
- 29 Jan Widacki**
Pandemia w Dolomitach
- 49 Andrzej Szahaj**
Nikt nie chce być neoliberalą
- 53 Tomasz Jastrun**
Sympatyczny przyjaciel Hitlera
- 57 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Przewodniczka ze stoczni



14

KRAJ

**TO SZPITAL,
NIE PLAC ZABAW**
Trauma dzieci
i rodziców

34

ZAGRANICA

**IZRAEL PO
NICZYJEJ STRONIE**
Ani za Kijowem,
ani za Moskwą



58

KULTURA

**MAŁY RYCERZ
I MIT ŁOMNICKIEGO**
– rozmowa
ze Zbigniewem
Zamachowskim

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER



f Siłowanie mocarstw. Świat pęka

Niedobrze, że lewica podąża drogą rusofobicznych obsesji fundowanych nam przez różnej maści ekspertów od Rosji i Chin. Nie wiem, czy Putin wylewa łzy nad pocztówkami z Kijowa, wspominając czasy ZSRR. Sentymentalno-emocjonalny stosunek do polityki to domena Polski. Z drugiej strony tak dużo czasu poświęcamy w naszej debacie Rosji i Putinowi, a niewiele Ukrainie, jej polityce i sytuacji wewnętrznej. Szkoda.

Paweł Stawicki

Amerykanie daliby wszystko, żeby Rosja była w sojuszu z Zachodem – mówi prof. Góralczyk. Daliby wszystko? Wystarczyło nie rozdawać ciasteczek na Majdanie. Chciało się obalać prorosyjskiego prezydenta, to teraz nie będzie spokoju w Europie, bo Ukrainy Putin nie odpuści.

Tomasz ER



✉ I w bólach umierać będziesz

Moja babcia miała alzheimera. Na końcu była jak roślina. Umarła naturalnie, miała zaledwie 72 lata. Nikt jej żebra reanimacją nie połamiał. Była otoczona ludźmi, którzy ją kochali. Zawsze powtarzała: „Nie chcę dożyć czasów, jak zaleg-

nę w łóżku i będę gnić jak moja mama. Uspijcie mnie wtedy”.

Z perspektywy pielęgniarstwa najgorsze jest, jak rodzina każe taką staruszkę lub starca z obręczkami na całym ciele i podłączonego do respiratora reanimować, błaga o ratowanie mu życia, a na korytarzu gada między sobą: „K... za tydzień emerytura, szkoda, by przepadła”. Nieraz to słyszeliśmy. Serce pęka.



Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, co to są rozległe odleżyny – jedna wielka martwica. Na łopatkach, kolanach, piętach. Odleżyna i martwica pomimo najlepszej pielęgnacji dosłownie zjada tkanki do samych kości. Do tego dołącza się słabe krążenie krwi, niewydolność nerek itd. Leczyłam takie rany, natura jednak jest nieubłagana. Dlatego jestem za eutanazją.

Bogumiła, pielęgniarka, ćwierć wieku w zawodzie

f Kiedy Polak potrzebuje psychiatry

W Polsce nie ma systemu pomocy dla osób z problemami psychicznymi. Tego typu schorzenia najczęściej pojawiają się w okresie dojrzewania. Rodzice czy opiekunowie są zdani na siebie. Mamy dobrą ustawę o Narodowym Programie Ochrony Zdrowia Psychicznego, ale w ślad za tym programem nie idą odpowiednie pieniądze. Dużą rolę wspierającą odgrywają organizacje pozarządowe, które pozyskują pieniądze najczęściej w ramach współpracy z samorządami i 1% podatku. Chorzy i rodziny mogą korzystać z bezpłatnej terapii grupowej i indywidualnej, uczestniczyć w zajęciach pozwalających na powrót do społeczeństwa. Bardzo ważnym elementem jest tzw. psychiatria środowiskowa. Szpital powinien być ostatecznością. Stygmatyzacja osób z doświadczeniem kryzysu psychicznego wynika najczęściej z niewiedzy i lęku. Z tym zjawiskiem trzeba walczyć poprzez edukację w szkołach, instytucjach, które mają kontakt z osobami chorującymi psychicznie. Dziękuję, że PRZEGŁĄD zwraca uwagę na problemy psychiatrii.

Danuta Drelich-Pacanowska



ZDJĘCIE TYGODNIA

Teatr mówi „nie”. Zarząd województwa małopolskiego rozpoczął procedurę odwołania Krzysztofa Głuchowskiego z funkcji dyrektora Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Z tą decyzją nie zgadzają się pracownicy i aktorzy. 17 lutego 2022 r.





PYTANIE TYGODNIA

Jakie są plusy i minusy zakazu handlu w niedzielę?

KATARZYNA DUDA,

działaczka związkowa

Badania dotyczące zakazu handlu w niedzielę mówią jasno: pracownicy placówek handlowych w zdecydowanej większości (niemal w 90%) go popierają. Główna korzyść jest taka, że większość pracowników handlu, ponad 60%, odczuła poprawę samopoczucia, zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Dodatkowo zaczęli oni spędzać więcej czasu z rodziną i znajomymi. Wolne niedziele są pewnikiem, a więc pracownicy mogą z dużym wyprzedzeniem planować sobie aktywny wypoczynek. Fakt, że tak długo i na tak wiele kreatywnych sposobów niektóre firmy omijały ten zakaz, świadczy w mojej ocenie o słabości naszego państwa. Było ono niezdolne do szybkiej i skutecznej reakcji na jawną kpinę z polskiego prawa.

DR MARCIN KĘDZERSKI,

ekonomista, Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie

Jego największą zaletą jest upodmiotowienie pracowników, zwłaszcza zatrudnionych w handlu. Choć wielu mówi o „rynku pracownika”, przedsiębiorcy nadal mają silniejszą pozycję negocjacyjną. Zakaz handlu w niedzielę, obok wprowadzenia gwarantowanej stawki godzinowej i wzrostu płacy minimalnej, zmniejsza tę nierównowagę. Może nie tyle wadą, ile smutnym aspektem tego

rozwiązania jest natomiast społeczne przyzwolenie na jego obchodzenie oraz presja, aby sklepy jednak były czynne cały tydzień. To, że sieci handlowe, które otwierają placówki w dzień formalnie wolny od pracy, nie spotykają się z krytyką, pokazuje, że reszta społeczeństwa nie potrafi się postawić w sytuacji pracowników handlu.

KAROL TOKARCZYK,

analityk, Polityka Insight

To zależy, kim jesteśmy. Dla pracowników handlu korzystne jest mieć zagwarantowany wolny dzień na nabranie sił przed nowym tygodniem. Sklepy internetowe i bezobsługowe formy sprzedaży zyskały dodatkowe perspektywy rozwoju. Dla sieci handlowych w mojej ocenie sam zakaz handlu w niedzielę nie jest dużym problemem, w końcu ludzie nadal mają tyle samo pieniędzy do wydania, tylko dni na to mają nieco mniej. Jednak gdy do zakazu dodać podatek handlowy, Polski Ład i rosnące ceny u dostawców – sytuacja sieci powoli staje się nie do pozazdroszczenia. Innym minusem – choć odkąd mamy szczepionki i wysoki odsetek ozdrowieńców nie aż tak istotnym – jest to, że rozłożenie handlu na sześć zamiast siedmiu dni oznacza większy tłok w sklepach, co jest niekorzystne ze względów epidemicznych.

Not. Michał Sobczyk

Robert Walenciak

Och i ach! „Nie chce mi się tłumaczyć z tego, że jestem za silny”, ogłasza Donald Tusk. A przy okazji napomyka, ewidentnie pijąc do innych polityków opozycji, że nie ma nic bardziej żałosnego niż bezsilny polityk.

On wielkolud, oni mikrusy. Ale czy rzeczywiście Tusk jest za silny, czy to tylko takie gadanie? Czy daje opozycji

dodatkowe punkty, czy też – przeciwnie – jest dla niej obciążeniem?

Spójrzmy na sondaże. Owszem, dają one Platformie więcej głosów niż miesiąc czy dwa miesiące temu. Ale gdy PO rośnie, spada Hołowni, Lewicy i PSL. Gdy to zsumujemy, okaże się, że przepływ wyborców odbywa się w gronie anty-PiS, a siła opozycji jako całości pozostaje niezmienną. PiS (i Konfederacja) tymczasem ani drgnie. Bo ruchy 1-2% w lewo czy w prawo są bez większego znaczenia.

Wejście Tuska do gry nie zmieniło więc w sposób zasadniczy układu sił na linii PiS i anty-PiS, zmieniło tylko układ sił w tej drugiej grupie.

A przecież teoretycznie PiS powinno tracić. Inflacja i drożyzna, nieudane początki Polskiego Ładu, afera z Pegasusem, awantury w rządzie – te wszystkie sprawy powinny ciągnąć PiS w dół. Tymczasem partia rządząca straty notuje minimalne, a w ostatnich dniach wręcz okrzepła, zwiększając o parę procent swoje poparcie.

TUSK: POMAGA CZY SZKODZI OPOZYCJI

CIĄGNIE SIĘ ZA NIM
WIELKA GRUPA LUDZI
O DWÓCH LEWYCH
RĘKACH



Na naszych oczach zatem po powrocie Tuska do krajowej polityki zachodzi inny proces. Tusk nie jest rycerzem na białym koniu, który wyzwala Polskę od PiS. To rycerz, który podbija opozycję. Podbiera wyborców Hołowni, Lewicy i PSL. Oto efekty jego działania. Nie łączy opozycji, ale ją skłóca. A jeśli chodzi o PiS – mobilizuje jego zwolenników. Jeżeli komukolwiek powrót Tuska do polityki służy, to dość łatwo tych beneficjentów wymienić. Służy PiS i Platformie, bo tym partiom rośnie poparcie, scena polityczna się polaryzuje, jedni i drudzy okopują się na swoich pozycjach. Coraz bardziej nieprzejednani. A jeśli chodzi o zwycięstwo nad Kaczyńskim, opozycja jest tak samo daleko jak kilka lat temu.

Blitzkriegu nie było

A miał być *blitzkrieg*. Tusk miał wrócić i wszystko zmienić. Tak w każdym razie siedem miesięcy temu wieszczyli jego zwolennicy. Wrócił więc, ale bilans tego powrotu wciąż jest niejednoznaczny. Owszem, uratował Platformę Obywatelską, która spadała już grubo poniżej 20% poparcia. Ale to jedyny znaczący sukces. Coś nie wyszło i warto się zastanowić co.

Przede wszystkim szybko się okazało, że tłumy na Tuska nie czekały, choćby w jego własnej partii. Nawet przychylni mu dziennikarze napominali, że jego powrót do polskiej polityki wywarł na niektórych działaczach PO efekt mrozący. Stali i czekali, co się wydarzy. Zwłaszcza że Tusk zapowiadał, że będzie ciężko pracować, a potem okazało się, że ta praca to puszczane do sieci tweety. Dobrze! Celne! Ale tweety...

Jeszcze gorzej wypadły jego kontakty z liderami innych partii opozycyjnych. Ku jego zdumieniu nie podporządkowali mu się, nie uznali go za swojego lidera. Ba! Szybko doszło między nimi do politycznych starć, o czym za chwilę.

Ale najgorzej wypadła dla Tuska konfrontacja ze zwykłymi ludźmi, z wyborcami. Okazało się, że ludzie wciąż pamiętają rządy Platformy oraz panującą wówczas atmosferę – i że najzwyczajniej Tuskowi nie ufają.

Także dlatego, że pisowskie media rozpętały przeciwko Tuskowi potężną kampanię negatywną. W TVP Info jednego dnia mówiono o nim 71 razy. Wypominając mu wszystko, co możliwe – dziadka z Wehrmachtu, to, że mówi po niemiecku, że poklepała go po ramieniu Angela Merkel. No i oczywiście sklejano go ze Sławomirem Nowakiem, Sławomirem Neumannem i innymi niepopularnymi politykami PO.

Nagle więc przed liderem Platformy wyrosły różne bariery. Oczywiście od tego jest polityka, by je omijać. Ale wymaga to pewnej wyobraźni i zręczności. Sęk w tym, że Tusk tych cech nie demonstrował. Przeciwnie – wszedł do polskiej polityki z butą i sprawiał wrażenie osoby zdziwionej, że mu się nie wiedzie.

Klasycznym przykładem są stosunki z liderami innych partii opozycyjnych. Czyli z Hołownią, Lewicą i PSL.

Maciej Gdula z Nowej Lewicy już to zresztą powiedział – opozycja ma problem z Tuskiem. „Donald Tusk chce być tym, który przewodzi opozycji, chce być największy i trochę

pośrednich nie ma, kto nie jest z nami, ten jest z PiS.

Tę filozofię politycznej rozgrywki Tuska świetnie ilustrują niektóre jego tweety: „Odsunięcie PiS od władzy to nasze wspólne być albo nie być”, „PiS to przekupstwo, inwigilacja, szantaż”.

„Odsunięcie PiS od władzy to moja misja, moja praca i obsesja – mówił z kolei w TOK FM. – Odrzucam polityczne dyrdymały, że nie wystarczy anty-PiS”. Co z tych słów wynika? Że pilnuje się, by nic nie powiedzieć, jak będzie wyglądała Polska, gdy opozycja przejmie władzę. Czyli żąda od wyborców, by zagłosowali na niego w ciemno. A od liderów opozycji, by w ciemno mu się podporządkowali. Ba! By przeprowadzili mu swoich wyborców.

Plan na opozycję

To oczywiście – w sondażach Platforma uzyskuje ok. 25% poparcia. Za mało, bo musi zdobyć mniej więcej 45%, by mieć większość w Sejmie. Obowiązujący w Polsce system liczenia głosów d'Hondta preferuje duże

Wejście Tuska do gry nie zmieniło zasadniczo układu sił na linii PiS i anty-PiS, zmieniło tylko układ sił w tej drugiej grupie.

prowadzi taką politykę »kto ma największy rozmiar buta w pokoju«. To nie jest najrozsądniejsza polityka”, tłumaczył w Polsce.

Gdula jest człowiekiem delikatnym. Rzeczywistość wygląda mniej sympatycznie – Tusk prowadzi z opozycją wojnę. Wystarczy zresztą posłuchać, co mówią jego zagorzali zwolennicy, jak atakują Hołownię czy lewicowców. Jeszcze kilka miesięcy temu mówili o porozumieniu, uzgadnianiu stanowisk. Dziś żądają kapitulacji. A Tusk te postawy napędza.

W jaki sposób? Po pierwsze, dokonał manichejskiego podziału Polski. Z jednej strony są siły demokratyczne, proeuropejskie, z drugiej – ludzie podejrzanego konduity (może spod znaku cyrylicy?), którzy chcą Polskę wyprowadzić z Unii i wprowadzić dyktaturę. Po jednej stronie jest zatem dobro, po drugiej zło. Stadiów

ugrupowania, toteż PO i sympatyzujący z nią dziennikarze usilnie namawiają liderów opozycji, by powołali wspólną listę, bo taka dawałaby premię za jedność.

Ale – odpowiadają przedstawiciele Lewicy i Polski 2050 – czy ta premia zrównoważy odpływ wyborców, którzy za nic w świecie nie będą głosować na Tuska i PO? Dla kogoś, kto myśli, jak pokonać PiS, to ważne pytanie. Wręcz kluczowe. Dla kogoś, kto myśli, jak zapewnić Platformie dominującą rolę na opozycji – to pytanie bez znaczenia.

Patrząc na działania Tuska, widzimy, że odpowiedź na to pytanie go nie interesuje. Mówił to zresztą w TOK FM: „Chcę odsunąć PiS od władzy poprzez wygraną w wyborach. Z resztą opozycji albo bez nich”. Co zatem deklaruje? Że obchodzi go przede wszystkim siła jego partii. ▶

► Że, owszem, nie wyklucza wspólnych list z innymi, ale na swoich warunkach. A na tak narysowanej mapie politycznej wrogiem jest PiS, ale partie opozycji nie są sojusznikami, są do ogrania. Chodzi więc o to, by zepchnąć je do narożnika, maksymalnie osłabić, a potem, za niewielkie koncesje, zmusić do kapitulacji.

Tusk działa w tej sprawie dwutorowo. Po pierwsze, przy każdej okazji kopie po kostkach Hołownię i Czarzastego. To mało subtelne gry. O Hołowni mówi, jakby wspólne listy były oczywistością, *de facto* traktuje go tak, jak swego czasu PO potraktowała Nowoczesną – że chwilowo jest poza Platformą, pognewał się na nas, ale za chwilę wróci. Tusk zasysa sympatyków Hołowni dobrocią. Choć w mediach społecznościowych zwolennicy PO regularnie Hołownię opluwają.

Po drugie, stara się neutralizować jego mocne strony. Hołownia dorobił się silnej grupy ekspertów, jego zaplecze merytorycznie bije na głowę

o partię pana Czarzastego, to nie wiadomo, czy ona nie pójdzie z PiS". Taka insynuacja jest dla lewicy dewastująca, bo zdecydowana większość lewicowego elektoratu nie znosi PiS i sama myśl, że ich ugrupowanie mogłoby znaleźć się w sojuszu z Kaczyńskim, budzi w ludziach o ciągach lewicowych odrzęt. Ten elektorat jest też zdegradowany wojnami wewnątrz lewicy, stylem działania, Czarzasty bardziej odpycha, niż przyciąga, w sondażach to widać. Ale Tuskowi rozdrobnienie lewicy, mnogość różnych podmiotów odpowiada, bo może je sobie dopasowywać, jak chce. To prosta partyjna gra. Ale niebezpieczna.

Pamięć o tym, jak było

Oczywiście nie ma szans, by wszyscy sympatycy Hołowni i lewicy nagle pobiegli pod skrzydła Tuska. Przecież z jakichś powodów nie chcą głosować na PO, są w innych miejscach sceny politycznej. Każdy

należy. Między innymi dlatego Platforma przegrała w 2015 r. wybory. Bo znaczna część wyborców miała ich dość. Tylko że do dziś nie ma w PO jakiegokolwiek refleksji na temat tamtych wyborów. Po co to pamiętać? A ludzie pamiętają...

Tusk budował Polskę dwóch prędkości, dużych miast i reszty kraju, i to mu się pamięta. Wystarczy zresztą zobaczyć, gdzie wygrywa PO, a gdzie PiS. Lewica z kolei pamięta mu wmańnięcie wszystkim, że nie wolno ruszać takich spraw jak stosunki państwo-Kościół czy prawa kobiet i osób LGBT, bo to niszczy „konsensus” społeczny i ład. I hasło, że w ogóle dobrze jest, jak jest. Związki zawodowe mają siedzieć cicho, nic nie mówić o płacy minimalnej – bo jest OK. A śmieciówki są najlepsze! Mundurowi emeryci też pamiętają, że to Platforma jako pierwsza zaczęła zabierać emerytury.

Dla wielu wyborców lewicowych Platforma Tuska była niczym PiS w wersji *soft*. Począwszy od polityki historycznej, na prawie do przerywania ciąży skończywszy. To się pamięta, a Polska się zmieniła. Jest Strajk Kobiet, są ruchy miejskie, jest cała masa różnych organizacji, także w mniejszych miastach, i jest coraz mniejsza tolerancja dla partyjnych notabli. Przyszło nowe pokolenie... Jest więc cała masa wyborców, którzy PiS traktują jako zło absolutne, ale na PO również nie mają ochoty głosować. Zastanówmy się – to przecież nie przypadek, że Lewica, Hołownia i PSL mają razem porównywalną z Platformą liczbę wyborców, mimo braku takich struktur i poparcia mediów, z jakich korzysta PO.

Koncepcja Tuska sprowadza się zatem do tego, by tych wyborców, których mu brakuje, pod jego skrzydła sprowadzili Hołownia, Czarzasty i Kosiniak-Kamysz. Ale żeby za dużo za to nie chcieli i żeby swoją obecnością na wspólnej liście nie drażnili tych z drugiej strony wielkiej opozycyjnej koalicji, muszą być maksymalnie słabi. Ci wyborcy muszą być zastraszeni PiS, żeby o niczym innym już nie myśleli. Żeby sam akt wyborczy był dla nich prostym referendum, plebiscytem: za PiS czy przeciw. Platformerscy dziennikarze

Tusk nie jest rycerzem na białym koniu, który wyzwala Polskę od PiS. To rycerz, który podbija opozycję. Podbiera wyborców Hołowni, Lewicy i PSL.

to platformerskie. Tusk woła zatem, że programy wyborcze są bez znaczenia. Że dyskusja, jaka Polska po PiS, którą Hołownia proponuje, to akademickie dywagacje. Oczywiście nie ma tu racji, ale te niemądre tezy powtarzają platformerscy dziennikarze.

Z lewą stroną sceny politycznej jest inaczej. Nie mamy złudzeń – Tusk zawsze zwalczał lewicę. To on był w Komisji Likwidacyjnej RSW, która rozdawała tytuły prasowe ludziom Solidarności (m.in. dając „Express Wieczorny” Porozumieniu Centrum braci Kaczyńskich). Gdy Leszek Moczulski „rozszyfrował” w Sejmie skrót PZPR i gdy postawie SLD wyszli z sali, to Tusk za nimi krzyczał: „Nie wracajcie!”. Potem organizował sojusz PO-PiS. A podczas kolejnych wyborów prosił wyborców lewicy, by oddali głos na Platformę.

Dziś już nawet nie prosi. Dziś Tusk wyborców lewicy demobilizuje. Wrzutkami typu „no, jeśli chodzi

z nas potrafi je wymienić – pamięć o Tusku premierze jest w kraju wciąż żywa, zresztą na to, by tak było, pracują w pocie czoła pisowskie media. Pamiętamy więc całą grupę nieudolnych lub wręcz szkodliwych ministrów z otoczenia Tuska, którzy być może wrócą. W każdym razie nikt temu nie zaprzeczył. A przecież chyba nikt nie marzy o powrocie Sławomira Nowaka w roli ministra infrastruktury, Bartosza Arłukowicza w roli ministra zdrowia, Barbary Kudryckiej jako ministrowi nauki, Bogdana Klichy jako ministrowi obrony czy Bartłomieja Sienkiewicza jako ministrowi spraw wewnętrznych („idę po was!”). Albo Sławomira Neumanna. Lub Jacka Rostowskiego, niedoszłego pośła z Bydgoszczy, który zawsze mówił, że pieniędzy nie ma i nie będzie.

Te nazwiska to czubek góry lodowej. Za Tuskiem ciągnie się wielka grupa ludzi o dwóch lewych rękach, którzy uważają, że im się



Ludzie pamiętają Jacka Rostowskiego, ministra finansów, który zawsze mówił, że pieniędzy nie ma i nie będzie.

akcję zaganiania do PO, szantażu demokratycznego, mniej lub bardziej świadomie już prowadzą. Bo przecież, jak mówi Tusk, „polityka to jest poważna sprawa, wymaga siły, determinacji, dobrego zorganizowania i wygrania wyborów, a nie ciągłego grymaszenia”.

Czy ten apel, żeby „nie grymasić”, wzmacnia anty-PiS? Sondaże pokazują, że nie. Wystarczy zresztą zastanowić się przez chwilę, by to zrozumieć. Że koncepcja plebiscytu, czyli jednej wielkiej listy opozycji, jest dla Tuska jako szefa Platformy wspiana, ale dla Tuska, który chce pokonać PiS – bardzo ryzykowna. Także dlatego, że może się powtórzyć rok 2015, kiedy lewica spadła pod próg wyborczy, co otworzyło PiS drogę do władzy.

Tusk po polsku

Co ciekawe, gdy Tusk wrócił do polskiej polityki, wielu myślało, że wrócił inny. Uładowany Europą i europejskimi zwyczajami, gdzie buduje się koalicje, szuka konsensusu i gdzie każdy głos jest wysłuchiwany.

Tusk w takim wariacie mógłby być kim w rodzaju organizatora opozycji, człowieka dobrych usług.

Przywódca, który jest ponad partyjnymi gierkami. No tak, piękne marzenie, tylko że wtedy Tusk musiałby przestać być Tuskiem. Tymczasem, jak widzimy, najlepiej odnajduje się w roli dawnego szefa PO, który eliminuje każdego, kto może mu zagrozić. „Ja chcę wygrać wybory, oni też chcą, ale im nie wychodzi”, mówi o innych liderach opozycji. Kolejna szpileczka...

Zwróćmy zresztą uwagę, z jaką niechęcią mówi o debacie programowej 21 marca, którą zaproponował

zaproponowania, poza tweetami i powrotem do przeszłości?

W takim razie mamy socjotechnikę, a nie politykę. Bo pokonanie PiS, partii, która zakorzeniła się w społeczeństwie, wymaga wielkiej mobilizacji. A trudno sobie wyobrazić, by Polacy mobilizowali się w imię tego, by było, jak było.

Tak oto wszystko zmierza w kierunku najgorszego dla opozycji scenariusza. Lewica, Hołownia i PSL mogą się znaleźć w okolicach progu 5% i rozpocznie się licytacja o wspólną

Pokonanie PiS wymaga wielkiej mobilizacji. A trudno, by Polacy mobilizowali się w imię tego, by było, jak było.

Hołownia. Będą na niej i Kosiniak-Kamysz, i Biedroń, i Czarzasty, a lider PO się wzdrygał. Bo to dyrdymały. A przecież Polacy chcieliby postuchać, co różni liderzy opozycji mają do powiedzenia o Polsce. Okazuje się, że najmniej chętny do mówienia na ten temat jest Tusk. Dlaczego? Nie chce siadać z nimi jak równy z równym? Obawia się, że taka debata będzie służyła podziałom, a nie współpracy? A może nie ma nic do

listę. Brutalna licytacja. I wtedy kilka, a może i kilkanaście procent wyborców zostanie zgubionych. Może nie pójda na wybory? A może lewica albo Hołownia pójda do wyborów oddzielnie i powtórzy się rok 2015?

I znów będzie wielki płacz. I media będą szukać winnego wszędzie, ale nie tam, gdzie trzeba.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Granica niemożności

Stała i liczna obecność na wschodzie Polski to sprawdzian, z którym wojsko radzi sobie z trudem

Marcin Ogdowski

Przez cały miniony tydzień na lotnisku w podrzeszowskiej Jasionce lądowały samoloty z żołnierzami oraz sprzętem US Army. Na Podkarpaciu i Lubelszczyźnie przerzucono w sumie niemal 5 tys. spadochroniarzy z elitarniej 82. Dywizji Powietrznodesantowej z Fort Bragg w Karolinie Północnej. Wojskowych rozmieszczono w tymczasowych bazach, których lokalizacja – poza halą G2A Arena w Rzeszowie – pozostaje niejawna. Jak wynika z oficjalnych deklaracji Waszyngtonu, relokacja to odpowiedź na agresywną politykę Moskwy wobec Kijowa. Tajemnicą poliszynela jest, że amerykańska obecność w południowo-wschodniej Polsce, wzdłuż granicy z Ukrainą, ma poza demonstracją siły także inny cel. W Pentagonie uznano, że ryzyko rosyjsko-ukraińskiej wojny jest na tyle wysokie, że należy się przygotować na scenariusz ewakuacji obywateli USA i innych państw Zachodu, przebywających na Ukrainie. Samych Amerykanów jest tam obecnie ok. 30 tys., liczbę pozostałych „podopiecznych” szacuje się na ponad 150 tys. Stąd m.in. obecność w Polsce gen. Christophera Donahue, dowódcy 82. DPD, który zasłynął sprawnie przeprowadzoną ewakuacją niemal 120 tys. cywilów z Kabulu. I nawet jeśli w tych działaniach jest więcej paniki niż trzeźwego namysłu, Warszawa otrzymała zza oceanu bardzo wyraźny sygnał: nie wierzymy w wasze możliwości poradzenia sobie z kolejnym przygranicznym kryzysem.

Po dziurki w nosie

Tym poprzednim jest rzecz jasna napięcie na granicy z Białorusią, gdzie jeszcze kilkanaście tygodni temu mieliśmy do czynienia z silną

presją migracyjną, sterowaną przez Aleksandra Łukaszenkę. Uchodźców z Bliskiego Wschodu i Azji znacząco ubyło – liczba prób nielegalnego przekraczania granicy niemal wróciła do przedkryzysowej normy. Trudno powiedzieć, na ile zadecydowała o tym pogoda (która znów łagodnieje...), na ile zaś zabiegi dyplomatyczne Unii Europejskiej i militaryzacja granicy przez Polskę. Faktem jest, że armia utrzymuje na Podlasiu silny kontyngent, złożony z co najmniej 10 tys. żołnierzy, którego wycofanie będzie możliwe późną wiosną, gdy ukończone zostaną prace nad przygranicznym murem. Prawdę powiedziawszy, ujawnione w zeszłym tygodniu zdjęcia gotowych fragmentów zapory brutalnie weryfikują zapowiedzi rządu. Plot, choć solidniejszy od zasieków, wcale nie sprawia wrażenia trudnego do pokonania. Zdaje się zatem, że mimo gigantycznych kosztów (1,6 mld zł!) skończy się „jak zawsze”, co dla wojska będzie oznaczać trwałą i liczną obecność przy granicy. Bo że Łukaszenka odpuści, mundurowi złudzeń nie mają.

Tymczasem zwykłe wojsko ma już „granicy” po dziurki w nosie. – Amerykanie zwożą do Polski całe miasteczko dla ewakuowanych – mówi oficer z 17. Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej. – W kilka dni zgromadzili wszystko, co byłoby potrzebne do zakwaterowania co najmniej kilkunastu tysięcy ludzi. My przez pół roku nie zdołaliśmy dowieźć na wschód wystarczającej liczby kontenerów mieszkalnych. Nadal część chłopaków mieszka w ziemiankach – nie kryje smutku mój rozmówca. Jego zdaniem mści się podjęta za Platformy decyzja o zwinięciu dużej części służb tyłowych armii. Aktualnie WP ma tylko dwie brygady logistyczne (w Bydgoszczy i Opolu) – stanowczo za mało jak na przeszło 100-tysięczne

wojska operacyjne. Czkwaką odbija się również wprowadzona w tym samym czasie pełna profesjonalizacja. „U nas pustki, w jednostce zostały tylko służby dyżurne, matki karmiące i niezbędni oficerowie – pisze mi żołnierka z garnizonu na zachodzie Polski. – Jednocześnie realizowane są szkolenia poligonowe, zawody sportowe, ćwiczenia rezerwy; ktoś to ogarniać musi”. W tym miejscu dodać należy, że obciążen nie ubywa – 12 lutego br. rozpoczęły się duże ćwiczenia Saber Strike 22, przyspieszone o kilka tygodni z uwagi na sytuację wokół Ukrainy.

Służba dla entuzjastów

Przy aktualnej skali operacji angażuje ona większość wojsk lądowych – i ponad jedną czwartą całości sił operacyjnych WP. Gdy 10 tys. wojskowych tkwi na przygranicznych posterunkach, drugie tyle odpoczywa (armia ma bodaj najbardziej propracowniczy system urlopowy w Polsce), a kolejne 10 tys. do misji się przygotowuje (gotowość zwykle oznacza standardową służbę „od do”). Żołnierze jadą na dwutygodniowe tury, bywa, że przedłużane o tydzień. Inny mój rozmówca, spadochroniarz z 6. Brygady Powietrznodesantowej, był na granicy już kilka razy. Ostatnio na przełomie stycznia i lutego. – Wracam tam pod koniec miesiąca – zapowiada, dodając, że „tupanie wzdłuż zasieków to robota dla wotowców”. – My się tam marnujemy... – przekonuje. Trudno nie przyznać mu racji, mówimy bowiem o elitarnej formacji sprowadzonej do roli oddziałów wartowniczych. Z drugiej strony „tak krawiec kraje, jak mu materii staje”. Wojska Obrony Terytorialnej nie mogą przejąć całości operacji, bo ich istotą jest działanie we własnym, lokalnym środowisku. No i WOT jest opcją dla entuzjastów



Wedle instrukcji każdy żołnierz ma wyglądać tak samo.

armii, którzy z różnych powodów nie są w stanie odbywać zawodowej służby. „Kadra u wociarzy jest nie-liczna, a reszta to nauczyciele, ekspedien- ci, ratownicy medyczni czy lekar- ze – osoby, które nie pojadą na drugi koniec kraju, bo są potrzebne tam, gdzie mieszkają. Wielu jest współ- małżonków mundurowych, a w przy- padku takiej rodziny wyjechać może tylko jedna osoba. No i nie wysła się samotnych matek oraz osób na L4”, wylicza cytowana wcześniej żołnierka z zachodu Polski.

Kwestia zwolnień lekarskich nie pojawiła się tu przypadkiem. Późną jesienią, gdy część żołnierzy zaangażo- wano do push-backów i tropienia migrantów w przygranicznych lasach, L4 było jednym ze sposobów na uniknięcie udziału w takich akcjach. – Chłuby nam to nie przynosi – przy- znaje oficer 17. WBZ. A nie chodziło wyłącznie o kwestie wizerunkowe. W grudniu ub.r. skontaktował się ze mną dziennikarz relacjonujący przy- graniczny kryzys. Szukał psychiatry dla przyjaciółki, wolontariuszki przez wiele dni pomagającej wycieńczo- nym uchodźcom. Dziewczyna – która także doświadczyła przemocy służb mundurowych – zmagala się ze stre- sem pourazowym. Nie zdziwiłem się zanadto, pomogłem w nawią- zaniu kontaktu. A kilka dni później

z identyczną prośbą zwrócił się do mnie kolega żołnierz. Weteran afgań- skiej misji, który „nie wstąpił do armii, żeby uganiać się po lasach za dziecia- kami jak za łowną zwierzyną”. – Nie przygotowano nas do tej misji – mówi dziś. Nie on jedyny i nie chodzi tylko o trening psychiczny. „W rozmowach z przełożonymi i kolegami podkreśla- łem, że żołnierze PRZED wyjazdem powinni mieć krótkie przeszkolenie,

Warszawa otrzymała zza oceanu wyraźny sygnał: nie wierzymy w wasze możliwości poradzenia sobie z kolejnym przygranicznym kryzysem.

pogadankę o tym, z jaką kulturą ma- ją do czynienia i jakie zachowania są inne od naszych. Co może posłużyć rozładowaniu napięć, a co zaogni sytuację”, czytam w wiadomości od mundurowej rozmówczyni.

Słupek – świętość

Inna, tuż przed kolejną turą na granicy, przekazała mi „Uwagi, wnio- ski, spostrzeżenia i propozycje”, zawarte w 25 punktach w piśmie od przełożonych. Z lektury dowia- dujemy się o niemal obsesyjnym oczekiwaniu anonimizacji, zarówno ludzi, jak i sprzętu. „Kominiarki na

posterunkach na twarzy”, czytamy w punkcie 20. „Zdjąć stopnie, em- blematy, znaki, znaczki z plecaków, hełmów, różnego rodzaju naszyw- ki – każdy żołnierz ma wyglądać tak samo!”, brzmi punkt 22. „Znaki tak- tyczne na pojazdach zastonięte”, zalecenie nr 21 w całości tłustym drukiem. Na szczęście nie ma mowy o zacieraniu indywidualnych cech fizycznych wojskowych, ba, wytycz- na nr 13 nakazuje wręcz, by w każ- dym QRF (angielski skrót oddziału sił szybkiego reagowania) znajdowała się „kobieta żołnierz”. Pismo podtrzy- muje zakaz udzielania się w mediach społecznościowych, jest w nim też element humorystyczny, znamionu- jący wszak troskę o dobre samo- poczucie szeregowych żołnierzy. „Nie zadawać pytań »żołnierzu, czego ci brakuje?«, bo jak nie było, tak nie ma goretexów i butów (a to pytanie strasznie wqwia)”. Cóż, brak nieprze- makalnych kurtek i nowego obuwia rzeczywiście może być powodem frustracji.

Ów poradnik powstał po kompro- mitującej dla armii ucieczce Emila C. na Białoruś, są w nim zatem i takie pouczenia: „Kierować żołnierzy (...) niekaranych” (punkt 1), „Na po- sterunki planować pary podoficer/ szeregowy, doświadczony/mniej doświadczony” (punkt 12). Obok

pragmatycznych rad dotyczących przydatnego wyposażenia mamy w nim coś na kształt przygraniczne- go savoir-vivre’u. Dowiadujemy się, jakie drzewa ciąć na opał, których nie ruszać, co zrobić z kartami płatniczy- mi oraz jak budować dobre relacje ze Strażą Graniczną. W tym zestawieniu znajduje się istotne napomnienie na- stępującej treści: „Znak graniczny, słupek – świętość, uszkodzenie jest przestępstwem (uważać przy rąba- niu drewna)”. O świętości prawa do szukania pomocy przez osoby ucie- kające przed wojną i biedą nie znaj- dziemy ani słowa...

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

To szpital, nie plac zabaw

Dla rodziców chorych dzieci w szpitalach wciąż nie ma miejsc



Trzylatek ląduje pod szafami, między kuchnią a koszami do segregacji odpadów.

Anna Stachowiak

Tłok taki, że łóżka dostawia się nie tylko na korytarzu oddziału, ale i za jego drzwiami. Zaduch. Nie, smród. Hałas i krzyki cierpienia małych i większych pacjentów. I skuleni na krzesłach rodzice. Witajcie w polskim szpitalu.

Cud, że przyjechała karetka. Dyspozytor już po zgłoszeniu matki, której dziecko przelewało się przez ręce, dwa razy dzwonił i mówił, że trzeba czekać. Jak długo? Nie wiadomo. Ale udało się, karetka przyjechała. Zawiozła trzylatka i jego matkę na SOR. Na oddział, po sześciu-siedmiu

godzinach, trafili o dziesiątej wieczorem. Dziecko z gorączką, bólami brzucha, wymiotami, odwodnione i z hipoglikemią, wylądowało na korytarzu. Matka dostała krzesło. – Tutaj jest toaleta, ale tylko dla pacjentów – powiedziała pielęgniarka, wskazując drzwi do pomieszczenia na środku korytarza. – Ta dla rodziców, niestety akurat nieczynna, znajduje się na korytarzu. Ale ponieważ jest awaria, trzeba iść dalej prosto, potem skręcić w prawo i za schodami.

Pacjentów jest kilkudziesięciu, toaleta – jedna, co o tyle kłopotliwe, że to oddział gastroenterologii dziecięcej. Pacjenci czekają na zabiegi m.in. kolonoskopii i gastrokopii. Wiele ma

biegunkę, wielu musi korzystać z toalety kilkanaście razy w ciągu dnia. Mają szczęście, jeśli akurat jest wolna.

Trwająca pandemia koronawirusa sprawiła, że wszystko stoi na głowie. To dlatego trzylatek z, jak się okaże następnego dnia, rotawirusem trafia na korytarz oddziału gastroenterologicznego, zamiast na zakaźny. Dlatego odwołane są planowe zabiegi, operacje – poza absolutnie niezbędnymi – są przekładane, a kolejki stają się coraz dłuższe. W jednym z lubelskich – „dobrych” – szpitali na chaos spowodowany pandemią nakłada się remont oddziału. Ma być lepiej, nowocześniej.

– No nie wiem, jak dyrekcja sobie wyobraża to „nowocześniej”, bo w salach ma być po kilka osób, ale mają być bez toalet – mówi pielęgniarka. A na tym oddziale toaleta – w miarę prywatna toaleta – to minimum komfortu, który można zapewnić pacjentom.

Kiedy ów trzylatek z rotawirusem – potwornie zakaźnym, więc prawdopodobnie złapie go od niego wielu innych pacjentów – trafia na oddział, na korytarzu leży pięcioro dzieci pod opieką rodziców. Każdy rodzic dostał krzesło – zwykłe, drewniane. Jeśli dziecko jest w miarę małe, można się skulić obok niego i jakoś przetrwać noc. Takiego komfortu nie ma ojciec Beaty, 15-latki z ostrym bólem brzucha i wymiotami. Czuwa nad córką z drewnianego krzesła, a nocę spędza na małej kanapie ze skaju, ustawionej na szpitalnym placu zabaw. Dwie matki, których kilkunastoletni synowie mieli szczęście i trafili do sal na oddziale, znalazły łóżka w odległym kącie szpitalnego korytarza, poza oddziałem. Tu przynajmniej jest w miarę spokojnie – i ciemno. Na oddziale ostre światło jarzeniówek nie gaśnie całą noc.

Po dwóch dniach na oddziale pacjentów jest jeszcze więcej. Pielęgniarki grają w tetris i starają się zmieścić kolejne łóżka na korytarzu. Trzylatek z mamą z miejsca naprzeciwko jedynej toalety ląduje naprzeciw wejścia, pod szafami, między kuchnią a koszami do segregacji odpadów.

Matka trzylatka: – Szymon całą noc wymiotował, miał ostrą biegunkę. Pościel zmieniałam kilka razy – w końcu salowa powiedziała, że więcej prześcieradeł nie ma, trzeba radzić sobie z jednorazowymi podkładami. Zapytałam o parawan, żeby nie wszystko działo się na widoku – nie było. Parawan kupił i dowiózł mąż.

(Ten parawan wzbudził na korytarzu dużą zazdrość. Naprawdę luksus. Zasłonić dziecko na chwilę, kiedy ledwo przytomne płacze z bólu, wymiotuje, a matka nie nadąza ze zmianą pościeli).

Z gorączką 39 st. C trudno znieść ostre światło. Matka, szczęśliwa, że dostała miejsce pod szafą, robi z poszwy prowizoryczny sufit, żeby osłonić dziecko przed światłem korytarzowych jarzeńówek: jeden koniec przyczepia do parawanu, drugi – do szafy.

Pielęgniarka rano: – A co to ma być, domek polowy? To szpital jest, nie plac zabaw. Tylko z panią są tu takie problemy.

Wyrwana z drzemki po dwóch nieprzespanych nocach: – Życzę pani, żeby – jak będzie pani miała gorączkę 40 st., biegunkę i wymioty – wszystko to działo się pod jarzeńówką i na widoku publicznym. I może odrobinę empatii.

Niesubordinowana matka zostanie ukarana – jej syn będzie musiał długo czekać na leki przeciwbólowe na bolący brzusek.

Ta sama pielęgniarka powie później do innej zmordowanej matki: – A co pani myśli, że ja tu dla przyjemności jestem?

Ta, która to usłyszy, mama pięcioletniej Zuzi, wędruje ze swoim krzesłem po całym korytarzu – musi się przesuwac, żeby kilka razy dziennie mogły przejechać wózki z jedzeniem i przejść pielęgniarki z kropłówkami.

Pielęgniarki są wykończone. Pacjentów jest dużo. Dużo za dużo. Jedna z nich, z 40-letnim stażem: – Różne momenty bywały, ale takiego obłożenia jak teraz to ja nie pamiętam. A były i remonty, i przeprowadzki, no, różne kryzysy, ale teraz to jest

jakaś tragedia. Rodzice są zmęczeni, mają pretensje i ja się wcale im nie dziwię, bo to nie są warunki dla psa – przecież my o tym wiemy. Więc oni krzyczą na nas, a my co mamy zrobić? Trzeba rano przyjść, zacząć dyżur, zrobić raport, obchód, zadbać o pacjentów, dać leki, przygotować do zabiegów. Jak, kiedy? Pani napisze ten artykuł, może dyrekcja coś przeczyta i weźmie sobie do serca.

Lekarka: – Rozumiem rodziców, bo przecież wiem i widzę, co się dzieje. Wyboru nie mamy, jeden oddział dziecięcy w mieście jest zamknięty, jest covid, mamy pacjentów z rotawirusami – i co, mamy odmawiać przyjęć, jak pacjent skręca się z bólu i nie wiadomo, co mu jest? Przyjmujemy, kładziemy dzieci, gdzie się da, i leczymy.

Matka Zuzi: – To jest horror. Czuję, że wszystkim przeszkadzam, boję się poprosić o zmierzenie temperatury dziecku, o śnie nie ma mowy, bo ciągle jest ruch i hałas, część dzieci bardzo płacze.

Ojciec Beaty: – Paranoja. Słyszałem o tym, że rodzice śpią pod łózkami dzieci w szpitalach, ale jak człowiek tego doświadczy, to tylko może się cieszyć, że to na chwilę, i współczuć rodzicom, których dzieci chorują przewlekłe.

Z Europejskiej Karty Praw Dziecka w Szpitalu wynika, że dziecko powinno być leczone w szpitalu wyłącznie w sytuacjach, kiedy leczenie nie może się odbywać w domu, poradni lub na oddziale dziennym. Mały pacjent ma prawo do tego, by w czasie hospitalizacji cały czas towarzyszył mu rodzic lub opiekun – w czasach przedpandemicznych rodzice mogli się zmieniać – przespać w domu, wziąć prysznic – ale teraz, z powodu koronawirusa i ryzyka zakażenia, z dzieckiem może przebywać tylko jeden rodzic/opiekun. Dziecko powinno mieć także zapewnione prawo do spokojnego odpoczynku, kluczowego w rekonwalescencji, oraz zabawy i nauki. Szpital ma obowiązek zapewnić rodzicom możliwość przebywania z dzieckiem przez cały

okres leczenia. I zapewnia – na drewnianych krzesłach, w tłoku i zaduchu.

Tymczasem bliskość i opieka rodzica jest dla dziecka kluczowa w stresującej, często traumatycznej sytuacji, jaką jest pobyt w szpitalu, i w powrocie do zdrowia. Rodzica w miarę wypoczętego, który może zapewnić tyle bliskości, uwagi i czułości, ile potrzebuje mały pacjent. To trudne, kiedy nie ma jak skorzystać z toalety, umyć zębów czy przespać się parę godzin.

Ustawa, która znosi opłaty za pobyt rodzica z dzieckiem w szpitalu, obowiązuje dopiero od 2019 r. – Zdecydowaliśmy, że NFZ będzie pokrywał wszystkie koszty związane z pobytem rodzica, w postaci łóżka, pościeli, posiłku – mówił w maju 2019 r. minister zdrowia Łukasz Szumowski, gdy Sejm nowelizował ustawę z 2008 r. – Wiemy, że pobyt rodzica jest ważny dla zdrowienia dziecka. Lepiej, gdy rodzic jest

Łóżka dostawia się nie tylko na korytarzu oddziału, ale i za jego drzwiami.

w szpitalu. To jest zdrowsze dla dzieci. Dzięki tym regulacjom znieśliśmy koszty rodzica będącego przy dziecku.

Minister dodał, że koszty związane ze zniesieniem opłat dla rodziców hospitalizowanych dzieci szacowane są na kilkadziesiąt milionów złotych rocznie. – NFZ właśnie wycenia koszty pobytów rodziców i będzie przekazywał szpitalom pieniądze na te pobyty – zapewniał Szumowski. – To będzie stawka dzienna za pobyt rodzica przy dziecku. To będą dodatkowe pieniądze przeznaczone na finansowanie posiłku, pościeli czy leżanki.

Minister podkreślał, że już nie będzie wymówek. Przedtem szpitale pobierały opłaty nie tylko za wypożyczenie łóżek, ale też np. za używanie czajnika elektrycznego czy ładowanie telefonu. Dziś, mówi jedna z pielęgniarek, to właściwie luksus, można – za darmo – być z dzieckiem. Trzymać je za rękę, siedząc na twardym krześle między kibelem a kuchnią. Zdrowia! ■

Praca, etat, bezpieczeństwo

Młodzi widzą wojnę starszych, ale w niej nie uczestniczą.
Są obserwatorami

Rozmawia Robert Walenciak

Czy młodzi Polacy interesują się polityką?

– Badaliśmy w październiku 2021 r. postawy Polaków w wieku 18-24 lata. Z tych badań wynika jedno – bardziej interesują się polityką niż ich rówieśnicy 10-15 lat temu. Ale też nie przesadzajmy, wciąż jest duża grupa młodych, ok. 28%, którzy nie mają sprecyzowanych poglądów. Natomiast wśród pozostałych częściej deklarowane są poglądy lewicowe niż prawicowe. Prawicowcy to niecała jedna piąta badanych, a lewicowcy – ponad jedna czwarta. **To nowość. Nie tak dawno wśród młodzieży przeważały poglądy prawicowe.**

– Jest jeszcze jedna interesująca rzecz. Jeśli chodzi o poglądy polityczne, występują wyraźne różnice pomiędzy kobietami a mężczyznami. Ponad jedna trzecia (37%) kobiet ma poglądy lewicowe. Natomiast niemal 28% mężczyzn ma poglądy prawicowe. Dla porównania, tylko co 10. młoda kobieta ma poglądy prawicowe.

Dlaczego tak się dzieje?

– Kobiety są generalnie bardziej postępowe niż mężczyźni. Na przykład biorąc pod uwagę stosunek do osób LGBT, mają więcej takich znajomych (ponad 50%), mężczyźni mniej. Ponad 40% badanych młodych mężczyzn wskazuje, że nie ma w gronie znajomych osób LGBT.

Dr Przemysław Potocki – pracownik naukowy Wydziału Nauk Politycznych i Spraw Międzynarodowych UW. W październiku 2021 r. Instytut Badań Rynkowych i Społecznych IBRIŚ prowadził na zlecenie Centrum im. Daszyńskiego przy współpracy z Fundacją im. Friedricha Eberta badanie ilościowe i badanie jakościowe postaw polskiej młodzieży (osób w wieku 18-24 lata) wobec wybranych aspektów życia publicznego w Polsce.



DR PRZEMYSŁAW POTOCKI

Natomiast jeśli chodzi o kobiety, tak deklaruje zaledwie jedna piąta.

Myślę, że kobiety zostały wciągnięte do polityki poprzez działania typu orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie przerywania ciąży.

– To jest wyraźne. Na pewno kroki te wpłynęły na ich zaangażowanie polityczne. Widzieliśmy to zresztą na ulicach – jak wiele młodzieży, zwłaszcza młodych kobiet, brało udział w różnego rodzaju formach aktywności obywatelskiej, sprzeciwu wobec działań władzy.

Obecna młodzież jest więc bardziej zaangażowana politycznie niż ta sprzed kilku lat?

– Dane CBOS wskazują, że stopień mobilizacji jest wyższy. Na pewno jest to mobilizacja sektorowa, czyli wyraźnie powiązana z miejscem zamieszkania. Zorganizowanie protestu lub uczestniczenie w różnego rodzaju akcjach obywatelskiego nieposłuszeństwa w małych miastach wymaga sporej odwagi, pokonania dużego progu obaw. Takie działanie, autodeklaracja, jest bardziej wyraziste niż w przypadku dużych miast. Fakt, że w 2020 i 2021 r. studiowanie odbywało się w sposób zdalny, umożliwił tym młodym dorosłym powrót w rodzinne strony. Wprowadzili w lokalne środowisko nową polityczną dynamikę, która była widoczna podczas protestów przeciw orzeczeniu TK.

A jak młodzi patrzą na społeczeństwo?

– Jak na miejsce, w którym tli się konflikt pomiędzy starszymi. Ale nie czują, że to ich konflikt, że są na wojnie. Nie, oni widzą wojnę starszych, lecz w niej nie uczestniczą, są obserwatorami.

I co widzą?

– Starszych panów, którzy prowadzą swoje gry. Im wyrazistszy polityk w przestrzeni internetowej, tym więcej potrafią na jego temat powiedzieć. Ale cały czas istnieje opozycja między światami starszych i młodszych.

Jeżeli grupa wiekowa 18-24 lata jest bardziej zaangażowana politycznie niż poprzednicy, i bardziej lewicowa, to czy można powiedzieć, że każdego miesiąca z przyczyn demograficznych ubywa wyborców PiS, a przybywa lewicy?

– Nie. Przewaga demograficzna osób w wieku poprodukcyjnym jest nie do zniwelowania. I rośnie. Polska się starzeje, znajdujemy się w fazie depresji demograficznej. Siła głosów młodych jest mniejsza, są reprezentantami niżu demograficznego. Mają świadomość, że ich głos nie jest przez polityków wysłuchiwany z taką uwagą jak poglądy osób w wieku poprodukcyjnym. Bo jest ich po prostu mniej... Gdyby w roku 2019 była taka sytuacja demograficzna jak w roku 2011, PiS prawdopodobnie

niewielu. Poza tym kwestia spraw cząstkowych – polityka mieszkaniowa. Jeśli chodzi o nią, młodzi zinternalizowali przekaz, że najlepiej mieć mieszkanie na własność, biorąc kredyt hipoteczny. To, a nie korzystanie z możliwości wynajmu, jest najlepszym rozwiązaniem. Generalnie wynajęcie mieszkania jest uważane za etap przejściowy. A jeżeli się przedłuża, traktowane jest to jako objaw niezaradności życiowej.

Kobiety są generalnie bardziej postępowe niż mężczyźni.

Na Zachodzie większość ludzi wynajmuje.

– U nas młodzi przyjęli inny wzorzec. Ale to w jakiejś mierze podejście realistyczne. W Polsce rynek wynajmu jest ograniczony, młodzi widzą, że nie do końca mogą wynajmować tak, jak by to im odpowiadało.

Można więc powiedzieć, że mają wyobrażenie swojego miejsca w społeczeństwie. Jeżeli mieszkanie, to i rodzina...

– Na pewno chcą do trzydziestki dorobić się, zarobić pieniądze. Tak by dzięki niezależności ekonomicznej uzyskać niezależność życiową. Praca – uważają – powinna nie tylko zapewnić odpowiedni poziom zarobków, ale też dawać satysfakcję.

– Z naszych badań wynika, że kobiety w większym stopniu mają plan samorozwoju. Natomiast mężczyźni nie do końca wiedzą, jak docelowo widzą siebie. Jest to mniej sprecyzowane.

Odkładają sprawy wejścia w dorosłość na później? Z jakich przyczyn?

– Dla młodych obecność w kapitalizmie oznacza konieczność walki o swoją pozycję. To uniwersalny

problem, występował także we wcześniejszych latach. Młodzi nie za bardzo rozpoznają instrumenty polityki publicznej w zakresie wspierania ich. Ich wiedza jest zupełnie szczątkowa.

Wchodzą w obcy świat i próbują jakoś to przetrwać?

– Są to raczej strategie indywidualistyczne. I raczej identyfikują się oni poprzez tożsamość indywidualną, nie grupową.

Nie chcą się wiązać z obawą, że mogą coś źle zrobić?

– Tak.

Czy jest duża różnica między młodzieżą w zależności od miejsca zamieszkania?

– W oczy rzucają się praktyki religijne. Na wsi ponad połowa bierze w nich regularnie udział. W największych miastach – tylko jedna trzecia. Różnice widać także w podejściu do „ideologii” LGBT. Na wsi 43% ankietowanych uważa, że Polska nie jest zagrożona, natomiast

Obóz Zjednoczonej Prawicy trzyma się na demografii. Pozycję polityczną opiera na emerytach.

nie nie wygrałoby wyborów. Obóz Zjednoczonej Prawicy trzyma się na demografii, to go stabilizuje. Pozycję polityczną opiera na emerytach.

A jak grupa 18-24 lata wyobraża sobie uczestnictwo w życiu publicznym? Jak postrzega państwo?

– Dla tych osób system kapitalistyczny jest systemem naturalnym. Nie kontestują go. Raczej uważają, że powinien być lekko zmieniany, poprawiany, powinny być niwelowane pewne różnice w dostępie do określonych usług publicznych. Takie usługi powinny być darmowe. Ultraliberałów jest w tej grupie

Czy młodzi z dużych miast są zadowoleni?

– Z ich deklaracji wynika, że polityka państwa nie skłania ich do tego, by planowali założenie rodziny. Kobiety przejście do etapu rodzinnego odsuwają poza 30. rok życia. Mężczyźni bardzo często odpowiadają tak, jakby w ogóle o tym nie myśleli. Owszem, uznają, że ta rola życiowa w jakiejś perspektywie się pojawi. Ale kiedy?

Jak mężczyźni czują się na tle kobiet? One są lepiej wykształcone, bardziej energiczne, wiedzą, czego chcą, a oni...



► w dużych miastach – 64%. Możliwość zawierania małżeństw osób LGBT jest akceptowana przez ponad 71% mieszkańców w największych miastach oraz 47% młodych mieszkańców wsi.

Rodzina? Panie mówią, że po trzydziestce, panowie na razie nie planują.

Te dane chyba więc potwierdzają tezę, że młodzi to pierwsze pokolenie, które odchodzi od Kościoła?

– Tak. Ale są też dane, które mogą wskazywać na inne trendy. Na przykład kwestia ślubu kościelnego – taki ślub większość młodych, niezależnie od miejsca zamieszkania, chciałaby brać.

Większość, czyli ile?

– W dużych miastach, powyżej 250 tys. mieszkańców, jedna trzecia nie chce brać ślubu kościelnego. Co ciekawe, większość młodych ma pozytywny stosunek do Jana Pawła II.

O czym to świadczy?

– Prawdopodobnie o tym, że lekcje religii w szkołach są skutecznym instrumentem wpływania na postawy światopoglądowe młodych.

A może ten pozytywny stosunek wynika z czegoś innego? Że to wybitny Polak?

– Badania jakościowe, które przeprowadzaliśmy, pokazują, że Jan Paweł II nie jest przez młodych postrzegany jako autorytet moralny. Że jednak pewne rzeczy, na które nie ma zgody, firmował swoim

nazwiskiem. Bo za jego kadencji się działy.

Czyli człowiek z hipoteką niepewną, ale i tak go akceptujemy?

– Raczej na tej zasadzie, że to jeden z najważniejszych Polaków XX w. **A nie myślą o emigracji?**

– Badania pokazują, że jest grupa potencjalnych emigrantów, którzy obserwują rozwój sytuacji. I jeśli się pogorszy, możliwe, że wyjadą

Młodzi chcą do trzydziestki zarobić pieniądze. Tak by dzięki niezależności ekonomicznej uzyskać niezależność życiową.

z Polski. Ale nie jest tak, że chcieliby wyjechać na zawsze. Planują wrócić. Chcą wyjechać tylko po to, żeby zarobić. To ich różni od rówieśników sprzed 10 czy 15 lat.

Bo tamci chcieli wyjechać na stałe?

– Tak. Jeśli ktoś decydował się na wyjazd, zakładał, że raczej zostanie za granicą. To stan ekonomii państwa wpływa na takie planowanie. Jeśli chodzi o bezrobotnych, według danych GUS w 2010 r. w grupie 24 lata i mniej mieliśmy ich 428 tys. Ale w roku 2020, uwaga, takich osób było już tylko 130 tys. Różnica jest więc zasadnicza. I młode osoby to widzą i czują. Poza tym spójrzmy, jak sobie radzą na rynku pracy studenci. Wiadać, że osoby, które studiuja i łączą pracę, a to się zdarza coraz częściej wśród studentów studiów stacjonarnych, nie mają problemów ze znalezieniem pracy. Oczywiście problemem jest to, że nie jest ona stabilna.

Nie chcą pracować na śmieciówce?

– Po deklaracjach składanych w naszych badaniach widać, że najbardziej zależy im, żeby być

zatrudnionym na podstawie umowy o pracę, mieć etat. Na wsi ten rodzaj umowy wskazało niemal 70% ankietowanych. W małych miastach – prawie 67%, w dużych – ok. 60%. Widać więc, że wyraźna większość chce stabilności. Ewidentnie opierają się na doświadczeniach rodzinnych. Natomiast na umowie niestabilnej, umowie-zleceniu, umowie o dzieło, chciałaby pracować co 10. osoba na wsi, a w dużych miastach – prawie 18% ankietowanych.

O zakładaniu własnych firm młodzi nie myślą?

– Nie. Własna firma to atrakcyjna perspektywa dla wyraźnej mniejszości.

A stosunek do Unii Europejskiej?

– Pewne różnice występują, ale nie są duże. Prawie 75% młodych mieszkańców wsi chciałoby, żeby Polska pozostała w Unii, a w przypadku dużych miast – ponad 82%. Wyraźna większość młodych, niezależnie od miejsca zamieszkania, jest proeuropejska.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Ordo donos

Nie umilkły, a nawet nie ucichły jeszcze echa porywającej aferki obyczajowej w kierownictwie konserwatywnego komanda Ordo Iuris, a już dowiadujemy się o kolejnej ofensywie zamordystycznego wzmożenia. Co to za aferka? Po krótku: żonaty, dzieciaty prezes, rycerz walki o zakaz rozwodów w Polsce, romansował z mężatą, dzieciatą prominentną działaczką tej formacji, także zwolenniczką zakazu wszelakich rozwodów. Mąż obił głowę kochankowi żony, z którą się rozwodzi, kochanek, niezależnie od obrażeń, też się rozwodzi. Niech się kochają, rozwód ludzka rzecz. Rządzi tym legendarne konserwatywne zaklęcie: „Drogowskaz nie musi podążać drogą, którą wskazuje”. Na dodatek jest to dość intratne, pieniądze płyną wartką strugą.

Najlepszą obroną jest atak, tak więc tym razem na specjalnym portalu Murem za Wielkimi Polakami Polki i Polacy otrzymują propozycję zinstytucjonalizowanych donosów w obronie czci wielkich autorytetów (w ichniej pisowni Autorytetów). Jest do wypełnienia specjalny formularz zgłoszeniowy „Masz informacje na temat naruszenia dobrego imienia wielkich Polaków? Zgłoś zniesławienie”. Można załączać zdjęcia, pliki, linki do doniesień medialnych (donos goni doniesienie). Kogóż to

**Autorytetem nikt nie staje się na mocy wyroku sądowego.
A tym bardziej nie poprzez donosy do Ordo Iuris.**

należy bronić donosami, które zostaną instytucjonalnie stworzone w pozwach sądowe? „Duchowych przywódców narodu polskiego Papieża-Polaka oraz Prymasa Tysiąclecia”. A przed czym? Przed atakami lewicowo-liberalnych aktywistów, którzy chcieli zmian nazw ulic, placów, szkół im. Jana Pawła II i kard. Wyszyńskiego.

Papież, twierdzi Ordo Iuris, jest niesłusznie oskarżany o tuszowanie przestępstw seksualnych wobec dzieci, których sprawcami byli księża i biskupi, a inni hierarchowie o tuszowanie, ukrywanie, przemilczanie tych czynów. „Antykatolicka nagonka w Polsce wciąż nabiera rozpędu. Głównym celem przeciwników Kościoła w Polsce jest postać św. Jana Pawła II oraz bł. Kard. Stefana Wyszyńskiego. Nie możemy się biernie przyglądać, gdy atakuje się nasze wartości, musimy działać! Dlatego Instytut Ordo Iuris prosi o Państwa wsparcie. Jeśli znają Państwo jakiegokolwiek przypadki pomówień i oskarżeń uderzających w dobre imię Papieża-Polaka lub Prymasa Tysiąclecia, to prosimy o taką informację. To pomoże nam jeszcze skuteczniej bronić reputacji wielkich Polaków”.

Nie można odmówić Ordo Iuris dobrego rozpoznania rozpowszechnionych w Polsce zachowań donosicielskich. Polacy, od kiedy nauczyli się pisać, a nawet wcześniej, chętnie donosili każdej władzy: carskiej, zaborczej, międzywojennej, hitlerowskiej, powojennej – i tej za czasów PRL, i z równą intensywnością tej w czasach potransformacyjnych. Przeczytajmy choćby książeczkę „Szanowny panie gisto”. Ale czy te tzw. autorytety potrzebują wyroków sądowych, żeby dowodzić ich „powszechnie uznawanej narodowej wielkości”? Autorytet jest w obecnych czasach figurą dość przebrzmiałą, raczej nie sposób wskazać postaci, które opatrywane są bezwzględnie i bezkrytycznie takim tytułem. Równocześnie należy zauważyć, że podobne procedury („instytucjonalizacja obrony dobrego imienia polskich Autorytetów”) mają na celu blokadę, powstrzymanie krytyki działań takich person. Dobre imię nie potrzebuje wyroków sądowych, złe czyny – wołają o napiętnowanie.

W ostatnich latach z poważnych i dobrze udokumentowanych publikacji (mówię o Polsce, bo poza nią to była norma od dekad) dowiadujemy się coraz więcej o ogromie krzywd wyrządzonych dzieciom na całym świecie przez ludzi Kościoła. Bardzo dobrze poznaliśmy ujawnione mechanizmy systemowego ukrywania tych przestępstw, chronienie sprawców przed konsekwencjami, brak współpracy z państwowymi organami ścigania. Tej rzeki nie da się zawrócić kijem ordoiuristycznych pozwów. Można jednak zastraszać i nękać żywych ludzi w imię wyдуманego czczenia nie tylko nieżyjących

postaci, lecz także ich pomników, upamiętnień. Tymczasem potrzebujemy raczej oczyszczającej rozmowy, a nie hagiograficznych elaboratów. Czas, żeby obrońcy „autorytetów” zmierzli się z niewygodnymi faktami czy tłamszoną przez lata krytyką swoich Wspaniałych Narodowych Autorytetów. Do tego organizacja mieniąca się głosem katolickim w kraju, gdzie uprzywilejowanie tej formacji religijnej już dawno przekroczyło poziom alarmowy, gdzie ogrom wpływu Kościoła na ustawodawstwo jest na poziomie nieznanym w żadnym innym kraju europejskim, gdzie przywileje i majątek Kościoła rozrastają się w niesłychanym tempie – rozciąga przed nami kompletnie oderwaną od rzeczywistości wizję Polski, gdzie katolicy są prześladowani... Opresant odgrywa ofiarę.

Lawiny sekularyzacyjnej nie zatrzyma w Polsce już nikt. Wzorcem osobowym nikt nie staje się na mocy wyroku sądowego. A tym bardziej nie poprzez donosy do Ordo Iuris. Bez bałwochwaltwa wobec JP II i kard. Wyszyńskiego – też sobie poradzimy.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Totalna inwigilacja

Rozwój cywilnej kontroli nad służbami
zatrzymał się u nas 20 lat temu

Rozmawia Jakub Dymek

Co musiało pójść nie tak, że polski rząd w nieprzejrzysty sposób kupił cyfrową broń – Pegasusa – a następnie używał jej, na co wszystko wskazuje, do podsłuchiwania liczących się postaci życia publicznego?

– Użył pan słowa podsłuchiwać. Ale tak banalne rzeczy jak podsłuchiwanie rozmów już dawno mamy za sobą. Pegasus jest narzędziem totalnej inwigilacji. I z premedytacją używam tych słów, to inwigilacja totalna. Nie tylko właściciela zaatakowanego telefonu, ale i osób wokół niego. Pegasus daje możliwość głębokiego, inwazyjnego śledzenia całego życia danej osoby: na jakie strony internetowe wchodzi, jakie robi przelewy i jaki ma stan konta, co pisze na Facebooku lub dowolnej innej platformie społecznościowej. Atakujący zyskują dostęp do haseł ofiary ataku i w ten sposób mogą właściwie przejąć kontrolę nad jej życiem.

A możliwości zrealizowania prowokacji wobec takiej osoby są w zasadzie nieograniczone.

– Podsłuch to poziom zero. Poziom wyżej jest kradzież cyfrowej tożsamości. Co gorsza, z perspektywy samej technologii nic nie stoi na przeszkodzie, żeby za pomocą takich narzędzi nie tylko monitorować obywateli, ale także podrzucić komuś kompromitujące materiały. To nie jest *science fiction*. Nie mamy przesłanek, żeby stwierdzić, że do tego celu Pegasus był już w Polsce wykorzystywany, ale na świecie opisano takie przypadki. Za pomocą Pegasusa podrzucano „dowody” na telefony osób niewygodnych dla władzy. Komuś, kto został tak zaatakowany, bardzo trudno się bronić, może to trwać latami.

WOJCIECH KLIKI

– prawnik związany z Fundacją Panoptykon, współautor raportu „Jak osiedlać Pegaza? Przestrzeganie praw obywatelskich w działalności służb specjalnych – założenia reformy”.



Winna zła władza czy zły system?

– Zawsze system! Owszem, jeśli chodzi o inwigilację i służby, nikt wcześniej nie robił tego, co obecna władza. Mówimy nie o jednorazowym wybuchu, ale o pewnym kontinuum. Rozwój cywilnej kontroli nad służbami zatrzymał się u nas 20 lat temu. A ich uprawnienia i możliwości technologiczne – także te, jakie daje Pegasus – ciągle się rozwijają. Rozjazd możliwości inwigilacji i kontroli nad jej prowadzeniem z każdym mie-

Co sądzić o politykach opozycji i autorytetach życia publicznego, których sprawa inwigilacji zaczęła oburzać, dopiero gdy sami obserwowali Pegasusem? Nie reagowali wcześniej, gdy jako Fundacja Panoptykon nagłaśnialiście od lat problemy i skandale związane z brakiem kontroli nad inwigilacją. To hipokryzja?

– Może tak. A może – i w to staram się wierzyć – trwała ewolucja poglądów.

Podsłuch to poziom zero. Poziom wyżej jest kradzież cyfrowej tożsamości.

sięciem, a nawet z każdym dniem, staje się coraz większy. Dzisiaj widzimy tego efekty.

Władza PiS ma oczywiście bardzo wiele na sumieniu. Widzimy, że nadużywano uprawnień. Ale wszystkie poprzednie rządy też są winne zaniedbania: nie wprowadzono mechanizmów, które powstrzymują podobne nadużycia.

A porównania z autorytaryzmem, PRL, Służbą Bezpieczeństwa są na miejscu czy nie?

– Porównanie do SB jest o tyle nietrafione, że po prostu jest niewystarczające. Służba Bezpieczeństwa, niezależnie od tego, jak wielu współpracowników i funkcjonariuszy postawiłaby w gotowości, nie byłaby w stanie zebrać o kimś tyle informacji.

Tyle co dziś jeden operator Pegasusa?

– Tak. Jeden agent uzbrojony w taką technologię dowie się więcej i bardziej intymnych rzeczy o człowieku niż stu współpracowników i funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa z ich metodami działania 40 lat temu. A zmiany technologiczne tylko przyspieszają. Jeśli chodzi o narrację wokół służb, to moim zdaniem wiele osób wciąż postrzega ten problem błędnie. Jako sprawę personalną, związaną z osobami, które stoją na czele tych służb: Kamińskim, Wąsikiem itd. Gdyby tylko wymienić tych ludzi na przyzwoitych, byłoby po kłopotcie – myślą niektórzy. Ale to naiwne. Po pierwsze, dla kogo uczciwi są minister Kamiński i Wąsik, a dla kogo ich następcy, to jest sprawa uznaniowa. Po drugie, choć niektórym wyda się to nudne, ja jako prawnik bardziej niż ludziom ufam procedurom.

Co to znaczy?

– W przypadku np. procesu karnego umówiliśmy się jako społeczeństwo, że można się od wyroku odwołać, są dwie instancje, kontrola

konstytucyjności prawa, a także inne sposoby ochrony praw jednostki. A w przypadku służb? Mamy im tak po prostu zaufać? Uwierzyć, że będzie dobrze, bo na ich czele postawimy krystalicznie czyste osoby? Ten błąd wlece się za nami już kolejną dekadę. Społeczeństwo i klasa polityczna dopiero teraz zaczynają zauważać, jak błędne było to rozumowanie.

Jeśli chodzi o inwigilację i służby, nikt wcześniej nie robił tego, co obecna władza.

W jednym z tekstów zwrócił pan uwagę na to, że w Polsce sędzia może się zgodzić na podsłuchiwanie samego siebie, nawet o tym nie wiedząc. Jak to możliwe?

– Sądy i sędziowie mają bardzo ograniczone możliwości kontroli nad służbami. Gdy służba specjalna przychodzi do sądu z wnioskiem o wydanie zgody na jakieś działania, sąd widzi nie wszystkie materiały, tylko te, które zostaną mu przedstawione.

Jeśli więc służba zna tożsamość osoby, której dotyczy wnioski, ale nie przekaze tej informacji, to sąd może się zgodzić na podsłuch wyłącznie na podstawie numeru telefonu lub numeru identyfikacyjnego IMEI urządzenia. Własny numer telefonu każdy zna, ale nikt nie zna na pamięć 13-cyfrowego IMEI. I sędzia, akceptując taki wniosek, może nieświadomie zgodzić się na inwigilację Jarosława

Kaczyńskiego, Donalda Tuska albo i samego siebie. Tak powstaje mechanizm, w którym sąd, a za nim wszyscy obywatele muszą po prostu służbom, nierzadko w ciemno, zaufać. Moim zdaniem ten mechanizm kontroli jest, mówiąc delikatnie, niewystarczający. Powinny istnieć instytucje, które by to kontrolowały.

A tak nie jest.

– Tylekroć powtarzany frazes, że skoro sądy coś nadzorują, to musi

IRENA MELCER SŁAWOMIR ŁOZIŃSKI JAN FRYCZ ANDRZEJ GRABOWSKI LESZEK LICHOTA KAMIL NOŻYŃSKI PIOTR GŁOWACKI

46. FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH GDYNIA 2021
NAJLEPSZA ROLA DRUGOPLANOWA
SŁAWOMIR ŁOZIŃSKI

33. PFFA CHICAGO 2021
NAGRODA SPECJALNA HUMANITARIAN AWARD

JUŻ NA DVD

SPRAWA, KTÓRA WSTRZĄSNĘŁA POLSKĄ

LOKATORKA

TWÓJ DOM... JEST ICH

WP FILMWEB P dla studenta.pl empik KINOŚWIAT

► być w porządku, w ogóle nie przystaje do rzeczywistości. Po pierwsze, jeśli na coś zgodę wydał sąd, wcale nie oznacza to z automatu, że takie działanie jest dobre i właściwe. Po drugie, olbrzymie obszary działań służb w rodzaju ABW i CBA wcale nie są kontrolowane przez sąd. Jeśli służba postanowi kogoś przeświecić, może sprawdzić lokalizację tej osoby z ostatnich 12 miesięcy, wszystkie kontakty, może pozyskać informacje z rozmaitych baz danych – od ZUS i Urzędu Skarbowego aż po kamery

z którymi milionom obywateli trudno się utożsamić. Nie ma jednoznacznej obawy, że skoro dziś byli inwigilowani państwo Brejzowie, to jutro mogą być ja i moja rodzina. Ale w sprawie Pegasusa kluczowe jest nie naruszenie prywatności i praw pojedynczych osób, tylko potencjał wykorzystania tego systemu do manipulacji wyborczej. Bo my głosujemy na jedną partię, a druga wykorzystuje narzędzia szpiegowskie, żeby być w kampanii zawsze krok do przodu. To podważa sens wyborów, sens demokracji.

Nikt nie nadzoruje i nie kontroluje tego, co i po co zostało zebrane. To nie furtka, ale szeroko otwarta brama do nadużyć.

monitoringu na osiedlu. I cała ta obszerna „teczka” znajduje się poza kontrolą jakichkolwiek organów na zewnątrz. Nikt nie nadzoruje i nie kontroluje tego, co i po co zostało zebrane. To nie furtka, ale szeroko otwarta brama do nadużyć.

A mamy powody sądzić, że materiały zebrane przez prokuratury, służby i policję trafiają do mediów i polityków.

– Sprawa senatora Krzysztofa Brejzy jest dobrym przykładem czegoś, co prof. Adam Bodnar nazwał ciągiem technologicznym. To mechanizm zaprzęgnięcia służb do realizowania zadań politycznych, do których nie zostały powołane. Bo co się stało w sprawie Brejzy? W trakcie kampanii wyborczej informacje pochodzące z telefonu senatora mogliśmy sobie oglądać w Telewizji Polskiej, gdzie służyły do manipulacji i ocerniania polityka. Przy czym nie ma znaczenia, czy jestem wyborcą lub sympatykiem Brejzy, bo na jego miejscu mógłby się znaleźć dowolny inny polityk każdej partii opozycyjnej: Lewicy, Konfederacji, PSL, Polski 2050...

Badacze nastrojów społecznych – można w tym kontekście przywołać Marcina Dumę z IBRiS, ale nie tylko jego – mówią jednak wprost: to ludzi „nie grzeje”. I co teraz?

– Zdaję sobie sprawę, że twarze tej afery – senator Brejza, prokurator Ewa Wrzosek, a szczególnie mecenas Roman Giertych – to osoby,

Powtórzę, badania podpowiadają, że ta wiedza nie wstrząsa społeczeństwem.

– W Fundacji Panoptikon zdajemy sobie sprawę z tego, że problem inwigilacji i nadużyć służb kojarzy się wciąż z osobami z pierwszych stron gazet. Ale spójrzmy na to tak. Wykorzystanie Pegasusa przeciwko osobie aktywnej społecznie lokalnie, zwykłemu człowiekowi, obywatelowi czy przedsiębiorcy jest mało prawdopodobne. Liczba licencji na Pegasusa jest mimo wszystko ograniczona. Ale klasyczna kontrola operacyjna prowadzona przez policję czy służby już tak – bo rokrocznie występuje się o 10 tys. zgód na tego rodzaju działania. Powiedzmy, że lokalny komendant albo naczelnik jakiejś służby chce podsłuchać przedsiębiorcę, którego firma konkuruje ze szwagrem tego naczelnika. Z dużym prawdopodobieństwem będzie mógł bezkarnie to zrobić. To jest konkretne zagrożenie i nie dotyczy ono wyłącznie znanych osób, które zaatakowano przy użyciu Pegasusa. Powinniśmy myśleć o nadzorze nad służbami jako elemencie szeroko rozumianego kryzysu praworządności...

No to jest dopiero hasło, którego Polacy szczerze mają dość! (śmiejch)

– Powiedzmy sobie otwarcie: jeśli może zająć jakaś sensowna zmiana w dziedzinie kontroli inwigilacji i nadzoru nad służbami, to w ciągu pierwszych stu dni od

zmiany władzy. Gdy kolejna ekipa będzie robiła porządk. Bo jeśli rządzący nie zajmą się tym na początku, szybko się zorientują, jak fajnie mieć takie wyjęte spod nadzoru służby we własnych rękach.

A skoro przy tym jesteśmy, czytelnicy i czytelniczki pytają, czy ktoś poniesie karę za te nadużycia.

Czy ktoś zostanie pociągnięty do odpowiedzialności?

– Sprawa karna dzisiejszych ministrów Kamińskiego i Wąsika dotycząca nadużyć z czasów koalicji

PiS-Samoobrona-LPR pokazała, że możliwość pociągnięcia winnych nadużyć do odpowiedzialności istnieje. Gdyby nie kontrowersyjne

ułaskawienie przez prezydenta Andrzeja Dudę, mogli oni trafić do zakładu karnego. Oczywiście nie wzywam do tego, żeby po zmianie władzy masowo wysyłać ludzi do więzień, to z wielu powodów zły pomysł. Ale rażące nadużycia – a sprawy senatora Brejzy czy prokurator Wrzosek takimi się wydają – dają podstawy, żeby myśleć o jakiejś odpowiedzialności w przyszłości. Ale żeby do tego doszło, potrzeba co najmniej kilku istotnych zmian.

Jakich?

– Począwszy rzecz jasna od politycznej, przez zmianę w prokuraturze, a na sądach i Pałacu Prezydenckim skończywszy. Bo stamtąd może przyjść jakiś kolejny niecodzienny akt łaski, prawda?

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



A portrait of Daniel Pascent, an elderly man with thinning grey hair, wearing a light beige blazer over a blue and white checkered shirt. He is sitting with his hands clasped in front of him, looking directly at the camera with a serious expression. The background is a blurred interior space with wooden elements.

DANIEL PASSENT

– publicysta,
dyplomata

Oni się śpieszą, a my się nie dajemy

Dzisiejsze dziennikarstwo albo władzę sprawuje, albo o nią walczy

Rozmawia Robert Walenciak

W dziennikarstwie najgorzej być letnim. Stusznym, ale nudnym.

– Są tacy, którzy może nie mają takiego temperamentu, nie mają pióra... Ale tacy w naszym zawodzie też są potrzebni, bo wypełniają 90% pisma.

A pan jest zadziora!

– Owszem, byłem trochę zadziorny i złośliwy. I Rakowski, z którym się przyjaźniłem, nieraz na korytarzu redakcyjnym pytał mnie: „No, Pascent, kogo dzisiaj opluwasz?”. On to mówił z ironią. Bo szczypałem w felietonach. Byłem ambitny zawodowo, podejmowałem się różnych rzeczy – że pojadę do Wietnamu, kiedy bombardowano Wietnam Północny.

Że zrobimy z Marianem Turskim pierwszą w polskiej prasie rozmowę z dziećmi. Że gdzieś pojedę za jedną dietę, byle coś zobaczyć. Miałem żłkę dziennikarską. (...)

Dziennikarzowi trudno uniknąć złych tekstów. Przy tej liczbie...

– Może... Ale musi być także mądry, przyzwoity, dojrzały. Gdyby młodość wiedziała, a starość mogła! Pewnych rzeczy bym nie napisał. Ale zostałem felietonistą i spełniło się moje marzenie. Wtedy, kiedy startowałem, felietoniści odgrywali w czasopiśmie ważną rolę. Stonimski, Kisiel, potem byli Toeplitz, Urban, Hamilton, czyli Stojewski, Andrzej Dobosz, Janusz Głowacki. Ludzie ich czytali, oni mieli bardzo dobry kontakt z czytelnikami, uchodzili za autorytety. Bardzo mi to imponowało,

bardzo kusiło. Taką pozycję chciałem osiągnąć.

I to się stało.

– Można powiedzieć, że jestem spełnionym dziennikarzem.

Dzisiaj dziennikarstwo jest łatwiejsze niż w czasach Polski Ludowej?

– Trudno powiedzieć, czy jest łatwiejsze, czy trudniejsze, bo jest inne. Na przykład dziennikarstwa śledczego za moich czasów nie było. Nie było też dziennikarstwa sponsorowanego. W tamtych czasach dziennikarstwo było upartyjnione w inny sposób. A właściwie mniej upartyjnione niż dzisiaj. Dlatego że tamto dziennikarstwo zależało tylko od PZPR, ogólnie – od władzy. A dzisiejsze dziennikarstwo albo władzę sprawuje, albo o nią walczy. Temperatura wcale nie jest niższa. ▶

► Dziennikarstwo w służbie polityki nadal istnieje. To widać na każdym kroku. Niech pan weźmie krytykę filmową. Wtedy przez partię atakowane były filmy Wajdy – „Człowiek z marmuru”, „Popioły”. Atakowane było kino moralnego niepokoju. A teraz atakowane są „Pokłosie”, „Ida”, „Twarz” Szumowskiej... Czytam w prasie prawicowej bardzo krytyczne o nich uwagi, przecież nie tyle z artystycznego, ile politycznego punktu widzenia. Że mają wymowę antypolską.

– Ale wydaje mi się, że jak na człowieka, który toczy wojnę, jestem mało agresywny. Za bardzo skrepowany. Na przykład nigdy nie byłem człowiekiem wierzącym. A na temat roli i miejsca religii i Kościoła w Polsce może mógłbym to i owo napisać. Ale ja tej tematyki w ogóle nie ruszam. Trochę może ze względu na swoje pochodzenie. Przyjąłem, że to jest wewnętrzna sprawa katolików i nie pasuje, żebym ich pouczał. Pamiętam też, że jako felietonista uniikałem pewnych tematów jako zbyt

wyglądała po okupacji. I w PRL. Kłamią w sprawie stanu Polski w ruinie. Obiecują jakieś niestworzone rzeczy w rodzaju lotniska położonego 100 km od Warszawy, które ma przejąć cały ruch między Chinami, Polską, Ameryką. Odebrać pasażerów z Berlina, z Wiednia, z Frankfurtu, być wielkim hubem.

Gierek miał w sobie mniej megalomanii.

– Proszę pana, jeżeli premier Morawiecki mówi, że są 35-letnie zaniedbania w dziedzinie nauk historycznych, podczas gdy ukazywały się dziesiątki, setki różnych świetnych książek, to coś w panu się burzy. Ciągają Tuska po sądach i prokuraturach. Po co? Robią takie rzeczy, że nasuwa się jeden wniosek – chcą opozycję wsadzić. Nie mówi tego Kaczyński czy Ziobro. Ale już ich prasa tak pisze. Zdaje mi się więc, że dzisiaj wrze, ponieważ ten rząd się nie zatrzymuje. Wydali 100 czy 200 mln dol. na Polską Fundację Narodową, na obronę dobrego imienia. My, jako dziennikarze, wiemy, od czego zależy dobre imię kraju. Jeżeli się przegrywa 1:27 albo jeżeli się wymienia żydowskich sprawców jednym tchem z polskimi, niemieckimi, rosyjskimi itd., nie pomogą żadne miliony dolarów na obronę dobrego imienia. Bo to idzie w świat, to jest zapamiętane, to jest powtarzane. Ludzie przeciwko temu się buntują.

Władza czuje się wtedy obrażona.

– Im bardziej my się sprzeciwiamy, tym bardziej oni próbują nas zwalczyć. Wziąć nawet i głodem. Jeżeli minister sprawiedliwości zakazuje prenumerowania przez sądy takich gazet jak „Polityka”, plus oczywiście państwo przenosi wszystkie swoje ogłoszenia do swoich mediów, to znaczy, że nie wstrzymają się przed żadnymi krokami. Wrze, bo oni ciągle dolewają benzyny do ognia. Pociągające jest, że czasami się cofają, jak dostaną mocny cios. Tak było w sprawie degradacji, w sprawie aborcji, w sprawach podatkowych... Oni się śpieszą, a my się nie dajemy.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Fragment rozmowy opublikowanej w numerze 20/2018 PRZEGŁĄDU 14 maja 2018 r.

Można powiedzieć, że jestem spełnionym dziennikarzem.

Kościotrupy moczarowców wyskoczyły z szaf i klekoczą.

– Także dziennikarstwo historyczne, z powodu polityki historycznej, jest zatrute. Sprawa „żołnierzy wyklętych”, „polskich obozów koncentracyjnych”... Sprawa, która mnie bardzo osobiście przejmuję – stosunków polsko-żydowskich w czasie wojny. Takie wybielanie, egocentryczny patriotyzm lansowany przez obóz władzy, to liczenie, ilu myśmy uratowali, wymyślanie Janowi Grabowskiemu za „fajdacką robotę”. Zaangażowanie polityczne jest dziś nie mniejsze, niż było! To jest błędne koło. Z jednej strony my, jako dziennikarze, chcemy być obywatelami, którzy o coś walczą. Ale z drugiej – bez przerwy toczy wojnę?

Całe życie toczy pan tę samą wojnę.

wielkich. Na przykład stosunków polsko-niemieckich. To jest tak ogromna dziedzina i w redakcji „Polityki” jest tak wspaniały autor jak Adam Krzemiński, że w ogóle na to poletko nie wchodziłem... Ale tematów nie brak, oby tylko starczyło sił.

To łagodne określenie – nie brak...

Życie publiczne buzuje!

– Buzuje, ponieważ oni nie chcą nas zostawić w spokoju. Wyprawiają niestworzone rzeczy, robią, co chcą, trybunały nie trybunały, sądy nie sądy, fundacje nie fundacje. Czego pan dotknie, wszędzie wpychają swoje łapy. I w dodatku się śpieszą. Wiedzą, że nie będą przy władzy wiecznie, i chcą jak najwięcej zmienić w jak najkrótszym czasie. Kłamią w żywe oczy! Kłamią w sprawie tego, jak wyglądała historia Polski w czasie okupacji, jak

Żegnamy

Daniela Passenta

Mistrza słowa. Wybitnego dziennikarza.

Mądrego i błyskotliwego człowieka.

Bliskiego nam w poglądach i widzeniu świata.

Żonie Marcie, córce Agacie i Bliskim

głęboko współczujemy

Jerzy Domański i zespół redakcyjny „Przeglądu”

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Dziadziuś nie żyje

O djęto mi mowę. Pogrzebową także. Im bliżsi nam umierają, tym bardziej doskwiera niemówność. Niemożność domknięcia trumny ostatnim słowem. Niezgoda na ostateczność czasu przeszłego. Dopóki nie przejdzie przez gardło „był”, wciąż przecież jest, choć nie żyje. Nie podejmę się; nie mnie mówić, mnie milczeć w smutku i współczuciu. Daniel Passent odszedł – to jest wiadomość dewastująca dla najbliższej rodziny pogrążonej w rozpacz. Daniel Passent już niczego nie napisze. To jest wiadomość druzgocząca dla polskiej felietonistyki. Zgaśł jeden z najpiękniejszych umysłów w tym kraju. Obserwuję Antosia nazajutrz, jak bawi się w przedszkolnym ogródku – dzieci mają niesłychaną zdolność metabolizowania żałoby, jakiś wrodzony stoicyzm, który pozwala im płynnie przechodzić od dojmującego smutku do szczenięcego wigoru. Dziadziuś umarł wczoraj, ale już jest jutro, tży nie powstrzymają obrotu kuli ziemskiej, śmiech dziecka nie urąga niczyjej żałobie, wpisuje się w porządek rzeczy.

Moi rodzice, spętani kompleksami, mieli wieczny problem z uroczystościami żałobnymi, strofowali się wzajemnie na pogrzebach, spięci i zakłopotani lękliwie składali kondolencje, jakby przestraszeni, że strzelą kompromitującą gafę, że zdenerwowania powiedzą „sto lat, wszystkiego najlepszego”, zamiast złożyć wyrazy współczucia. Pamiętam, jak ojciec kiedyś wiele godzin dreptał w okolicach telefonu, bezradnie głowiąc się, co ma powiedzieć owdowiataemu przyjacielowi, aż w końcu ten sam zadzwonił i zaczął pocieszać mojego starego, żeby się aż tak nie przejmował. A jaki wieniec wypada, a co na wieńcu napisać, a o której przyjść, żeby nie za wcześnie, bo to krępujące, ale i nie za późno, bo wstyd, a gdzie w kościele, z której strony i w którym rzędzie usiąść, a na stypę czy nas zaproszą, bo jeśli nie, to ludzie będą gadać, szeptać, ech, że też im musiało się to przytrafić – zawsze skupieni na sobie; cudza śmierć wiele kosztuje ludzi na co dzień pozbawionych empatii.

Kiedy sam byłem w pierwszym rzędzie żałobników, po śmierci ojca, z trudem znosiłem zasromane oblicza uczestników ceremonii, wszyscy podchodzili do mnie tacy frasobliwi, jakby chcieli dociążyć mój oddech swoimi

westchnieniami, dołożyć mi do żałoby swój lament – aż mi się zachciało ich roześmieszać. Można to wziąć za objaw paragelii czy innej dysfunkcji emocjonalnej, ale, zaprawdę, wolalbym, żeby zamiast mechanicznych kondolencji każdy opowiedział mi jakąś zabawną, nieznaną anegdotę o zmarłym – ożywiając go w ten sposób, zamiast domartwiać.

Najbardziej szalone pogrzeby świata urządzają na Celebesie Toradżowie, wierzący, że wystawność obrzędów funeralnych wyznacza szerokość mostu, po którym zmarły ma dojść do nieba. Siłą rzeczy, nawet niezamożni zadłużają się, by ich przodek nie spadł w otchłań ze zbyt wąskiej ścieżki ku zaświatom. Na fundusz pogrzebowy zrzuca się cała rodzina, a ważne jest, by każdy jej członek w pochówku wziął udział – dopóki nie zjadą się w komplecie, zmarły mieszka z domownikami jako „chory”, przynosi mu się posiłki i rozmawia z nim, jakby żył. Antoś stracił już obu dziadków, ale nigdy nie mówi o nich w czasie przeszłym – obaj „są” w niebie, przenieśli się tam, przeprowadzili, ta dziecięca wiara jest tyleż żarliwa, co naturalna, niewymuszona, nie ma nic wspólnego z religią, od której dziecko trzymamy z dala. Niebo, czyli nie-tu, gdzieś w lepszym



Daniel Passent już niczego nie napisze. To jest wiadomość druzgocząca dla polskiej felietonistyki.

wymiarze. U sześciolatka żałoba przebiega jeszcze pod znakiem ulgi i przekonania, że w zaświatach człowiek istnieje poza ciałem, więc i poza wiekiem, poza wszelkimi dolegliwościami: dziadek umarł, więc znowu jest zdrowy, tam, skąd nas teraz obserwuje.

Melancholicy przeżywają za życia żałobę po sobie samych, lubują się w rojeniach o własnym pogrzebie, uszami wyobraźni słyszą zawodzenia płaczek i wzruszają się do łez. Ludzie duchowo rozpozgodzeni nie zaprzatają sobie głowy śmiercią, dożywają jej w spełnieniu, jak Daniel, mistrz inteligentnego dowcipu. Zamiast patrzeć na smutny kondukt w deszczu pod wiatr, pewnie biesiaduje teraz przy dyplomatycznych dawkach niebiańskich trunków z wszystkimi przyjaciółmi, którzy go w ostatnich latach odumarli.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

W sieci absurdów

Walter Żelazny: Prezydent odwołuje się do sądu, żeby nie podpisać mojej nominacji profesorskiej

Rozmawia Beata Igielska

Dr hab. Walter Żelazny od sześciu lat czeka na profesurę belwederską. Pracował ponad dekadę na Wydziale Historyczno-Socjologicznym Uniwersytetu w Białymstoku, obecnie jest na emeryturze. Antropolog kultury, zajmuje się stosunkami etnicznymi. Działacz opozycji w PRL i były emigrant polityczny.

Dwa lata temu prezydentowi Andrzejowi Dudzie zacięło się pióro przy podpisie pod pana nominacją do tytułu profesora belwederskiego oraz nominacją Michała Bilewicza. Co w pana przypadku zmieniło się przez ten czas?

– W tym czasie pani mecenas działająca w moim imieniu zaskarżyła bezczynność służbową pana prezydenta. W efekcie wojewódzki sąd administracyjny, a następnie Naczelny Sąd Administracyjny zobowiązały pana prezydenta do zajęcia

DR HAB. WALTER ŻELAZNY

– antropolog kultury

– A kto panu prezydentowi Dudzie może coś zrobić, jeśli nie będzie uzasadnienia? Po co pracownicy kancelarii mają pisać jakieś uzasadnienia, które mogą podważyć? Nie można wytłumaczyć, dlaczego prezydent nie podpisuje nominacji mnie i Bilewiczowi.

Przypomnijmy, że obydwa macie pozytywne opinie o waszych dokonaniach naukowych Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów.

– Tak. W moim wypadku sprawa profesury belwederskiej ciągnie się od sześciu lat, choć formalnie, od ostatniej opinii komisji – cztery lata. Profesorska książka dotyczy twórcy esperanto Ludwika Zamenhofs. Centralna Komisja przetrzymywała dokumenty cztery lata, w tym dwa lata

Tajni współpracownicy donosili na mnie do bezpieki, a to ze mnie zrobiono TW. To się nazywa gra teczkami.

stanowiska w tej sprawie. Kilka dni temu przyszła odpowiedź z Kancelarii Prezydenta. Otóż prezydent nie jest zobowiązany do podpisu żadnym terminem i wniósł apelację od korzystnego dla mnie postanowienia – chce jego uchylenia w całości. Z pisma wynika ponadto, że prezydent nie jest organem administracyjnym, więc sąd administracyjny nie ma prawa kontrolować jego decyzji. Dlaczego więc chce uchylenia postanowienia? Tego nie wiem. Powinno teraz dostać uzasadnienie na piśmie. Jeszcze go nie mam. I pewnie nigdy nie zobaczę.

Dlaczego? Przecież musi być takie uzasadnienie.

czekały na jedną spóźnioną recenzję. Prof. dr hab. Bożenna Chylińska z Instytutu Anglistyki UW 15 marca 2015 r. stwierdziła: „Biorąc pod uwagę wszystkie osiągnięcia dr. hab. Waltera Żelaznego od ostatniego awansu, uważam, że spełnia on warunki stawiane kandydatom do tytułu profesora”. A potem zmieniła zdanie i pod dokumentem widniejącym odręczny dopisek z jej podpisem z 7 lutego 2017 r.: „Niniejszym zmieniam konkluzję swojej recenzji z pozytywnej na negatywną”. Ostatecznie jednak 10 kwietnia 2018 r. prezydium Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów jednogłośnie przyjęło wniosek o przyznanie mi tytułu profesora. Został on przestany

do Kancelarii Prezydenta. Rok później napisałem pismo do ministra Andrzeja Dery, na jakiej podstawie prawnej moja nominacja profesorska jest wstrzymywana. Pozostało bez odpowiedzi. To, co zrobiła pani prof. Chylińska, nie mieści się w głowie. Jeśli raz się coś napisało, nie można tak po prostu skreślić. Pani profesor powinna napisać kolejną ośmiostronicową recenzję udowadniającą, że nie powinienem zostać profesorem. Nie mogę tego zaskarżyć, bo najpierw muszę być profesorem. To jest sieć absurdów.

Co dla pana oznacza brak profesury belwederskiej?

– Co miesiąc tracę minimum 500 zł. Taką gratyfikację otrzymuje każdy profesor. W tym czasie odszedłem na emeryturę, oczywiście niższą, niż przysługiwałaby mi jako profesorowi. Może miałem szansę zostać dziekanem wydziału socjologii albo członkiem PAN?

Za moją sytuacją poszła propaganda, która wciąż jeszcze jest w internecie, że współpracowałem z SB. Poszedłem do IPN, żeby mi wydano papiery. Tam nic nie ma! A nie, przepraszam, jest raport o wyeliminowaniu mnie z czynnej sieci osobowych źródeł informacji, jest Tajny Informator Codzienny z 6 czerwca 1986 r. – w końcowym okresie PRL 23 najważniejsze osoby w państwie dostawały takie informatory. Jeden z nich był poświęcony mojej osobie. Wpisano mnie też na indeks osób niepożądanych w państwie. Gdy uzyskałem azyl we Francji, władze PRL w 1984 r. uznały mnie za osobę niebezpieczną, szkalującą Polskę i zakwalifikowały jako *persona non grata* bez prawa



powrotu. Tak oto tajni współpracownicy donosili na mnie do bezpieki, a to ze mnie zrobiono TW. To się nazywa gra teczkami.

Gdy jedna z dziennikarek telewizyjnych, po tym gdy prof. Matczak stanął w mojej obronie, zadała pytanie Kancelarii, dlaczego prezydent nie podpisuje mojej nominacji, padła odpowiedź, że współpracowałem z SB. Taką właśnie reklamę mi się robi. Oprócz moich najbliższych znajomych, którzy nie wierzą w te bzdury, reszta nie wie, jak jest naprawdę. Na wszelki wypadek nie daję się więc Żelaznemu do recenzji żadnego doktoratu, habilitacji. Przestałem istnieć w świecie nauki. Nie mogłem podjąć wykładów w Kanadzie, a takie propozycje nie zdarzają się często. Jak się tam wytłumaczę ludziom, że nie jestem wielbłądem?

Czy ma pan nadzieję, że sprawa pana profesury w końcu ruszy?

– Ruszy dopiero wtedy, kiedy upadnie ten rząd. Walter Żelazny czy Michał Bilewicz nie są jedynymi. Proszę zobaczyć, ilu sędziów i prokuratorów jest pozbawionych prawa

wykonywania zawodu. Obecna władza im nie odpuści, to mściwi ludzie. A prezydent Duda zaczyna dostrzegać, że po upadku tej ekipy rządzącej zostanie wymieciony z polskiej polityki. Musi więc trzymać z Ameryką. Nie podpisał przecież lex TVN. W tej chwili mam 71 lat. Muszę wytrzymać z prezydentem jeszcze trzy lata. Już teraz powinien rozpocząć się proces o odszkodowanie dla mnie za sześć lat zwłoki. Jeśli policzymy moje straty z odsetkami, robi się ok. 100 tys. zł. Odszkodowania to zawsze liczenie najtańsze. Nie można np. zakładać, ile zarabiałbym, gdybym był, powiedzmy, dziekanem.

Sprawa pana i Michała Bilewicza jest bulwersująca, bo Andrzej Zybertowicz, który otrzymał oceny miażdżące za jego dokonania naukowe, jest jednak obecnie profesorem belwederskim. Wy macie czym się pochwalić, a tytułu wciąż nie dostaliście.

– Proszę wpisać w wyszukiwarce „etniczność” i zobaczyć, ile haseł jest napisanych w oparciu o moją działalność naukową. Mam prawie

200 cytowań. Sumarycznie międzynarodowa kadra naszych uczonych w bazie Scopus ma mniej prac i niższy indeks Hirscha niż dr hab. Bilewicz. Dorobek Andrzeja Zybertowicza przy naszych dorobkach wygląda dość mizernie. To pokazuje, ile jest warta w tej chwili polska nauka.

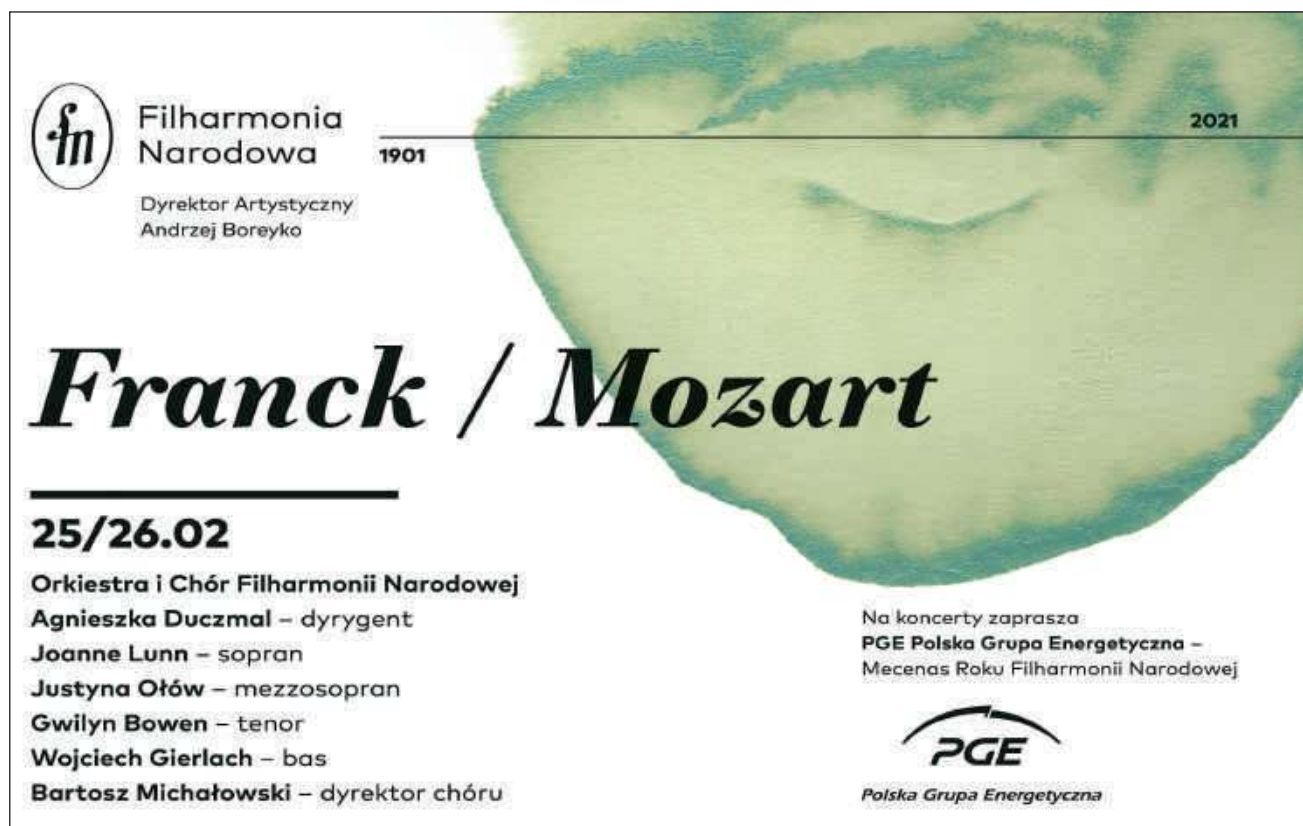
Niewiele, skoro publikacje w periodykach z podrzędnych uczelni są wycenione na 100 pkt, podczas gdy publikacje w pismach o renomie międzynarodowej znacznie niżej. Punktację czasopism zmieniono nocą. Niektórzy naukowcy szli spać jako mierni, obudzili się jako geniusze.

– Oczywiście woła to o pomstę do nieba, ale oni sobie przywłaszczili również niebo.

Czy sytuacja z profesurą belwederską odbiła się na pana zdrowiu?

– Jestem twardym zawodnikiem, choć ostatnio mocno znerwicowanym. Stresy na moim zdrowiu odbiły się wcześniej, na początku perturbacji objawił się rak, ale wyleczyłem go.

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl



f n Filharmonia Narodowa 1901 2021

Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko

Franck / Mozart

25/26.02

Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej
Agnieszka Duczmal – dyrygent
Joanne Lunn – sopran
Justyna Otów – mezzosopran
Gwilyn Bowen – tenor
Wojciech Gierlach – bas
Bartosz Michałowksi – dyrektor chóru

Na koncerty zaprasza
PGE Polska Grupa Energetyczna –
Mecenas Roku Filharmonii Narodowej

PGE
Polska Grupa Energetyczna

Haniebna decyzja

Instytut Pamięci Narodowej odmówił zgody na pochowanie z honorami wojskowymi gen. broni Ryszarda Olszewskiego

Gen. broni pilot Ryszard Olszewski zmarł 8 lutego br. W III RP był komendantem-rektorem Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie, szefem Generalnego Zarządu Operacyjnego P3, a przez wiele lat dowódcą Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej (po restrukturyzacji w 2004 r. Sił Powietrznych). Wychował pokolenia polskich pilotów. Dziś bronią oni polskiego nieba.

Instytut Pamięci Narodowej odmówił zgody na pochowanie gen. Olszewskiego na Powązkach wojskowych, z wojskowym ceremoniałem.

– To podłość, to zdziczenie, żeby IPN odbierał wybitnemu dowódcy, który wychował i wyszkolił dziesiątki pilotów, prawo do wojskowego pogrzebu. To nikczemność – nie ukrywa oburzenia Janusz Zemke, wieloletni wiceminister obrony.

Także czytelnicy PRZEGLĄDU informację o decyzji IPN przyjęli z oburzeniem. Oto ich opinie:

Byliśmy kolegami, kiedy dowodził szkolnym pułkiem lotniczym w Radomiu, gdzie także przyszło mi służyć. Wspaniały dowódca i wychowawca, stale przebywał na lotnisku, nadzorując szkolenie podchorążych na przyszłych pilotów wojskowych. To podłe i małostkowe, że

odmówiono mu wojskowej asysty honorowej podczas uroczystości pogrzebowych. Żegnaj, Generale Pilocie, wieczne odpoczywanie racz Ci dać, Panie.

Marek Skolimowski

To podłość ze strony IPN. Z bólem żegnam wspaniałego człowieka, tak zasłużonego dla Polski, jak również dla naszego regionu radomskiego. Spoczywaj w spokoju Generale i Przyjacielu. Ryszardzie, nigdy nie zapomnimy o Tobie i Twych zasługach.

Mirosław Ciura

Symptomatyczne jest to, że żaden polityk w tej sprawie się nie wypowie. Czy ludzie żyjący, pracujący bądź nawet uczący się w PRL to jest – czy też była – jakaś wroga siła dla Polski? Jesteśmy społeczeństwem, które nie zasługuje na szacunek. Przecież żyją jeszcze miliony z tamtych czasów, ale wszyscy cicho sza, bo to przecież jeszcze nie jest nasza sprawa. A jak jest nasza, to już jest za późno.

Tadeusz Kapton-Rybski

Dysponentem miejsc pochówku na cmentarzu wojskowym nie jest IPN, lecz prezydent m.st. Warszawy.

Obecnie pan Rafał Trzaskowski. Czy na pewno wykorzystano wszelkie możliwości? Generał chyba sobie na to zasłużył. Jeśli my nie będziemy walczyć o pamięć i szacunek dla naszych zmarłych, to nie zrobi tego nikt. Godzenie się na dyktat ludzi z IPN to porażka każdego przyzwoitego człowieka.

Jarosław Wocial

Hańba dla IPN, ale obciąża to również sumienia sejmowej lewicy. Bo to ona spuściła głowę i zgodziła się z michnikowszczyzną, że jej wolno mniej.

Łukasz Marcin Jastrzębski

Pozwalali opluwać ludzi, burzyć pomniki, fałszować historię, a banda poczyniła sobie coraz śmielej.

Wanda Walawska

Mamy czasy, gdy fetuje się pozornych bohaterów i często zwyczajnych przestępców, a decydują o tym najmarniejsze miernoty.

Mirosław Gniado

Kanale, nie ludzie. A Generałow! wieczny odpoczynek i niech lata z pilotami z dywizjonu 303.

Andrzej Kuchniewski

Panie ministże obrony narodowej! Panie prezydencie, zwierzchniku Sił Zbrojnych! Dlaczego IPN decyduje o pogrzebie żołnierza? To niebawem! IPN już nie ma czym się zajmować?

Zygmunt Olszewski

Od samego początku było wiadomo, po co jest IPN. Dzielić naród, ze zdrajców (Kukliński) i bandytów (Rajs „Bury”) robić bohaterów, a o innych, prawdziwych bohaterach nic nie mówić lub udawać, że ich nie było. Musimy koniecznie IPN zdelegalizować i powołać w to miejsce rzetelną instytucję, która byłaby wierna historii, a nie obecnym władzom! IPN do kosza, bo spowodował więcej zła niż dobra!

Henryk i Bożena Milczarscy

Jeszcze będzie taki piękny czas, kiedy ich ktoś oceni.

Danuta Kowalczyk

PRENUMERATA POCZTOWA

Płać mniej i oszczędzaj!

Jeden egzemplarz w prenumeracie tylko 5,60 zł

Przedłuż prenumeratę pocztową PRZEGLĄDU

Zamówienia można składać do 25 lutego 2022 r.

72,80 zł – II kwartał 218,40 zł – II, III, IV kwartał

**We wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy
Drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl**

Zostań w domu! Listonosz bezpiecznie dostarczy Twój tygodnik

Z Galicji



Jan Widacki

Pandemia w Dolomitach

Po dwuletniej przerwie spowodowanej pandemią znów mogłem pojechać na narty do Włoch. W Dolomitach turystów, a przede wszystkim narciarzy, mniej niż w ubiegłych latach. Nie było Szwedów, Niemców, Anglików. Nawet Włochów było mniej niż zazwyczaj. Może teraz, kiedy rozpoczęły się ferie we włoskich szkołach, stoki narciarskie się zapełnią. Na razie na trasach zjazdowych, jak co roku świetnie przygotowanych, pustawo. Niektóre hotele zamknięte, w knajpach także mało ludzi. Polaków też pewnie było mniej niż kiedyś, ale z braku innych nacji widać ich było (i niestety czasem słysząc!) wyraźniej. I wszyscy zaszczepieni! We Włoszech szczepienia nie były wprawdzie obowiązkowe, ale by dostać się do kolejki linowej czy na wyciąg, trzeba było codziennie rano aktywować karnet, ski-pass – przyłożyć go do jednego okienka czytnika, a do drugiego kod paszportu covidowego. Kto nie miał trzech szczepień, nie wsiadł do kolejki ani na kanapę wyciągu. W kolejkach linowych, na wyciągach, na trasach zjazdowych, w usytuowanych przy nich schroniskach byli więc tylko ludzie trzykrotnie zaszczepieni. Mało tego, w kolejce, na wyciągu, na stoku i w schroniskach obowiązkowe były maski,

Jest pewien szczególny gatunek polskiego chama, który, jak tylko mu się uda, dla samej przyjemności obchodzi wszelkie nakazy i zakazy.

i to nie dowolne. Takie lekkie, chirurgiczne, u nas najpopularniejsze, nie były dozwolone. Konieczne były (nie wiem, jak one fachowo się nazywają) takie ryjko-dzio-by. Można zatem powiedzieć, że od wejścia do dolnej stacji kolejki aż po szczyty Dolomitów była strefa wolna od koronawirusa.

Dość dziwnie szusuje się w takiej maseczce, ale można się przyzwyczaić. Tylko opalić się trudno, bo gdzie kończą się gogle, zaczyna się maseczka.

W miasteczku po ulicach można chodzić bez maseczki, ale trzeba ją założyć, wchodząc do sklepu czy lokalu. Aby wejść do knajpy lub do sklepu, z wyjątkiem spożywczego i apteki, trzeba również okazać paszport covidowy.

W hotelu rygor podobny. Na korytarzach, w pomieszczeniach klubowych i w restauracji trzeba mieć maseczkę. Można ją zdjąć dopiero przy stoliku, rozpoczynając konsumpcję. Na stoliku dodatkowo komplet foliowych rękawic (takich jak na stacjach benzynowych), które trzeba założyć, gdy podchodzi się do bufetu.

Większość gości, w tym Polacy, posłusznie stosuje się do zaleceń. Jest jednak pewien szczególny gatunek polskiego dorobionego chama, który wszystko kontestuje i jak tylko mu się uda, dla samej przyjemności obchodzi wszelkie nakazy i zakazy. Nie udało mu się wsiąść do kolejki w nieprzepisowej maseczce, więc wygłosił długą i wyjątkowo niegrzeczną, wulgarną tyradę do obsługującego kolejkę Włocha, który nie wpuścił go do wagonika. Włoch, nic nie rozumiejąc z przemowy chama, patrzył na niego ciekawie, ale nie ustąpił. Chcąc nie chcąc, ustąpić musiał cham. Ktoś z jego znajomych dał mu wreszcie przepisową maseczkę, którą cham przekornie założył poniżej nosa. Znów to samo. Kazali mu poprawić. Obrażony poprawił. Gdy tylko włożył do wagonika, a wagonik ruszył, demonstracyjnie maseczkę ściągnął na brodę i triumfalnie spojrzał z góry na oddalający się peron i stojącą na nim obsługę.

Nie wiem, jak w ciągu dnia cham demonstrował swój nonkonformizm, ale spotkałem go też wieczorem w hotelu. Łaził po restauracji bez maski. Uwagę zwrócił mu kelner. Cham, upewniony, że Włosi nie znają polskiego i nie rozumieją niestety jego bystrych i dumnych wywodów dotyczących tego, gdzie on, polski cham, ma ich nakazy i zakazy, tym razem przemówił do kelnera po angielsku: *Do you have any problem?* Ale chyba wyczerpał tym cały zapas znanych mu słów angielskich, bo gdy kelner w poprawnej angielszczyźnie tłumaczył mu, że musi założyć maskę i rękawicz-

kę foliową, że to nie jest jego wymysł, tylko odgórny, powszechnie obowiązujący przepis, cham stał z wybałuszonymi oczyma, najwyraźniej nic nie rozumiejąc z tego, co do niego mówią. Chyba nawet wstyd mu się zrobiło z tego powodu. Ewidentnie stracił cały rezon. „Janusz, ubier se maseczkę, bo widzisz, że się strzępią”, poradziła mu partnerka. Obrażony Janusz „ubrał se maseczkę”, kelner przestał się „strzępić” w nieznanym Januszowi języku, świadkowie tej sceny, w większości Polacy, odetchnęli z ulgą, bo wstyd im było za rodaka.

Gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że coraz rzadziej trzeba za granicą za rodaków się wstydić. Nawet powiedziałbym, że na ogół zachowują się poprawniej niż inni obcokrajowcy. O pijanych, wrzeszczących na krakowskim Rynku Anglikach nawet nie wspominam. Ale czasem taki Janusz się trafi. Co zrobić...

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Łukasz Dąbrowiecki

Ciśnienie wokół granicy ukraińsko-rosyjskiej narastało od miesięcy. Wzmocnione jednak niebywale przez zachodnich sojuszników, ściągnięto na Europę widmo wybuchu wojny. Medialny nalot dywanowy niebezpiecznie przypominał histerię, którą Stany Zjednoczone wywołały przed inwazją na Irak. Wtedy posunięto się do fabrykowania dowodów na posiadanie przez Saddama Husajna broni masowego rażenia, tym razem CIA ogłosiła termin rosyjskiej inwazji na Ukrainę (na 16 lutego). Działo się to wbrew oficjalnym komunikatom ze strony władz samej Ukrainy. Prezydent Wołodymyr Zełenski kilkakrotnie wzywał do zachowania spokoju. Ukraina była w gotowości, ale sytuację oceniała realnie. Ołeksij Daniłow, sekretarz ukraińskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony, w wypowiedzi dla BBC pod koniec stycznia stwierdził, że liczba rosyjskich żołnierzy „nie rośnie w taki sposób, w jaki to się dzisiaj prezentuje. (...) Czy to dla nas nieprzyjemne? Tak, ale dla nas to nie jest nowa wiadomość. Jeśli dla kogoś na Zachodzie to stało się wiadomością, cóż, przepraszam”. Jegor Czerniew, szef stałej delegacji Ukrainy przy Zgromadzeniu Parlamentarnym NATO, 12 lutego apelował o zachowanie spokoju. „Stany Zjednoczone prowadzą przeciwko Rosji jedną z największych operacji wywiadowczych w historii”, zapewnił, wyliczając jej cele: mobilizacja krajów NATO oraz przywrócenie jedności Sojuszu i całego Zachodu, demonizacja Federacji Rosyjskiej i stworzenie trwałego toksycznego jej obrazu, zadanie jak największych strat rosyjskiej gospodarce bez wojny, rozpamiętanie nastrojów antywojennych w samej Rosji, demoralizacja rosyjskiej elity wojskowej poprzez upublicznienie tajnych materiałów.

Gdzie podział się kanclerz?

W tym kontekście warto dokonać rekapitulacji stanowiska Niemiec. Było ono opisywane jako „odrębne”,



GAZ BOJOWY

Olaf Scholz może być jedną z niewielu osób w Europie, których Putin nie potraktuje jako wroga i faktycznie wysłucha

ale wbrew pozorze bierności Republika Federalna zajmuje czołowe miejsce wśród sił kreujących nowy rodzaj światowej równowagi.

Gdy w grudniu Olaf Scholz objął stanowisko kanclerza Niemiec, od razu stanął przed wyzwaniem, które można określić jako próbę sił między Rosją a Sojuszem Północnoatlantyckim na terenie Ukrainy. Unia Europejska, niemająca scentralizowanego przywództwa, robi wrażenie, jakby została złapana w kleszcze przez dwóch prezydentów, którzy postanowili odgrzać zimnowojenne animozje. Zarówno Putin, jak i Biden podkreślają nastroje wojenne w imię umocnienia własnej pozycji w krajach, którymi rządzą. I Waszyngtonowi, i Moskwie może zależeć na przekonaniu społeczeństw Europy, że atak na Ukrainę jest bliski i nieuchronny. Choć Rosja nieustannie zaprzecza, jakoby szykowała się do napaści na sąsiadkę, wysuwa żądania w sprawie statusu Ukrainy. Obie strony konfliktu straszą,

że to ta druga jest zagrożeniem i szykuje się do inwazji.

Tymczasem Scholz przez półtora miesiąca od objęcia funkcji zachowywał typowy dla siebie urzędniczy spokój, który zaczęto komentować jako brak inicjatywy. Według jednych słuszenie nie poddawał się atmosferze bicia w wojenne werble, prezentując powagę wobec mało prawdopodobnej rosyjskiej inwazji. Drudzy pytali, gdzie podział się kanclerz i chcieli go odesłać do Angeli Merkel na nauki z prowadzenia polityki międzynarodowej. Rząd Niemiec był na przełomie stycznia i lutego obiektem coraz większej międzynarodowej krytyki za brak działania w sytuacji kryzysowej, oskarżano go o niewystarczającą presję na Rosję.

Niemieckie uzbrojenie na nowy Ostfront?

Niemcy nie przyłączyły się do Stanów Zjednoczonych, Francji,



Podczas rozmów dystans między Władimirem Putinem a Olafem Scholzem był ogromny. Ale dostawy gazu ziemnego mocno łączą Rosję i Niemcy.

Hiszpanii i innych sojuszników we wzmacnianiu wojsk wzdłuż wschodniej flanki NATO. Zarówno USA, jak i Wielka Brytania szybko ogłosiły dostawy broni dla Ukrainy. Niemieckie władze odmówiły wystawienia uzbrojenia. Zapewniły respiratory i szpital polowy, a następnie rozbawiły opinię publiczną, przekazując 5 tys. hełmów. Ministra sprawiedliwości Christine Lambrecht powiedziała, że to „jasny sygnał”, że Niemcy stoją po stronie Ukrainy. „To totalny żart – komentował dla „Bilda” mer Kijowa Witalij Kliczko. – Co nam Niemcy jeszcze podeślą? Poduszki?”. Jednak część niemieckiej opinii publicznej jest niechętna nawet tego rodzaju gestom. Publicysta socjalno-liberalnego tygodnika „Der Freitag” zapytywał złośliwie, czy będą to hełmy z niemieckimi oznaczeniami wojskowymi czy bez.

Postawę Niemiec komentował dla Deutsche Welle Marcel Dirsus z Instytutu Polityki Bezpieczeństwa Uniwersytetu w Kilonii: „Pomysł, aby Niemcy dostarczały broń, którą można by następnie wykorzystać do zabijania Rosjan, jest dla wielu Niemców bardzo trudny do przyjęcia”. Chodzi oczywiście o konotacje historyczne. Na dźwięk słowa *Ostfront* wszystkim powinna cierpnieć skóra. W Republice Federalnej dzień kapitulacji nazistowskiej Rzeszy jest obchodzony jako Dzień Wyzwolenia. 8 maja 2020 r.

z okazji 75. rocznicy europejskiego Dnia Zwycięstwa na Bramie Brandenburskiej wyświetlany był napis „Dziękujemy” po angielsku, po francusku i po rosyjsku. Niemiecka niechęć do zaangażowania militarnego poza granicami kraju powinna być odczytywana jako dobra wiadomość dla Europy, szczególnie wschodniej. Tymczasem właśnie spotyka się z krytyką. To może wywoływać konsternację Niemców.

W pierwszych dniach lutego rząd ukraiński za pośrednictwem ambasady w Berlinie oficjalnie wystąpił do Niemiec o dostarczenie broni. Chciał

Unia Europejska robi wrażenie, jakby została złapana w kleszcze przez dwóch prezydentów, którzy postanowili odgrzać zimnowojenne animozje.

zamówić systemy rakiet przeciwlotniczych średniego zasięgu, przenośne systemy rakiet przeciwlotniczych, broń przeciwdronową, elektroniczne systemy namierzania, ale także noktowizory i amunicję. Jednak Olaf Scholz w wywiadzie dla ARD przed wylotem na spotkanie z Bidenem powtarzał, że rząd Niemiec od lat ma ten sam kurs – nie dostarcza uzbrojenia na tereny kryzysowe ani nie dostarcza broni Ukrainie. Tego trzymali się jego poprzednicy, „to było słuszne i takie pozostaje”. „Większość

naszych rodaków widzi to tak samo”, podkreślał kanclerz. To stanowisko podtrzymał podczas wizyty w Waszyngtonie, a następnie w Kijowie.

Deutsche Welle dokonała analizy tej wypowiedzi, wykazując, że zasada niedostarczania broni w rejonie konfliktów była kilkakrotnie przez Niemcy łamana. RFN wysyłała systemy obrony powietrznej i okręty wojenne Egipcjom zaangażowanym w konflikty zbrojne w Jemenie i Libii. Kontrowersyjnym odbiorcą niemieckiego uzbrojenia jest Turcja, co prawda członek NATO, ale krytykowana za łamanie praw człowieka. W 2018 r., gdy Turcja rozpoczęła ofensywę w Syrii przeciwko kurdyjskim milicjom Powszechnych Jednostek Ochrony (YPG), media dociekały, czy niemieckie pociski przeciwpancerne niszczą niemieckie czołgi Leopard, w które była zaopatrzona armia turecka. Wcześniej bowiem niemiecki przemysł dostarczał broń przeciwpancerną kurdyjskim peszmergom, walczącym z bojownikami tzw. Państwa Islamskiego.

Jednym z największych odbiorców niemieckiego sprzętu wojakowego jest Korea Południowa, która nigdy nie podpisała porozumienia pokojowego z Koreą Północną i z technicznego punktu widzenia oba kraje pozostają w stanie wojny. W ostatnim pięcioleciu Niemcy zajmowały czwarte miejsce wśród największych eksporterów broni

na świecie, wyprzedzając Chiny. Ten wielostronny handel bronią od lat krytykowany jest przez niemiecką Lewicę, która domaga się jego zaprzestania.

Gdy w zeszłym roku, jeszcze przed wyborami federalnymi, obecny wicekanclerz z ramienia Zielonych Robert Habeck opowiedział się za dostawą uzbrojenia na Ukrainę, skrytykowały go wszystkie strony sceny politycznej. Ostro wystąpiła Sevim Dağdelen, deputowana z Die Linke: „Každy, kto zaślepiony nienawiścią do Rosji ▶

► ignoruje skrajnie prawicowe milicje na Ukrainie i twierdzi, że kraj ten broi bezpieczeństwa Europy i dlatego powinien zostać uzbrojony, stanowi realne zagrożenie dla bezpieczeństwa w Niemczech i Europie”. Dağdelen – odwrotnie, stara się rozumieć Rosję.

Russenverstehher

Do opisu osób broniących postępowania władz rosyjskich ukuto w Niemczech pojęcie *Russenverstehher* (rozumiejący Rosjan). Może ono funkcjonować jako rodzaj zarówno komplementu, jak i inwektywy. W pierwszym znaczeniu używa się go w środowiskach biznesowych, nawiązujących do wartości hanzeatyckich, transakcyjnych. Ten, kto „naprawdę” rozumiał Rosję, jej „odmienność”, „charakter” i „ducha”, będzie ceniony. Stoi za tym przekonanie, że wymiana handlowa sprzyja obu stronom, a partnera się nie krytykuje. Należy wczuć się w jego sytuację, by zaproponować najkorzystniejszą wymianę. Na pewno nie należy go niszczyć. Wtedy bowiem występuje się *de facto* przeciwko własnemu interesom. W tym na pierwszy rzut oka bardzo liberalnym podejściu często ukrywają się tradycjonalizm i legendy o niezmiennym „duchu narodowym”.

W drugim znaczeniu słowo występuje wymiennie z *Putinverstehher*. Taką etykietkę otrzymuje osoba, która niezależnie od tego, co Moskwa robi w polityce międzynarodowej czy wewnętrznej, interpretuje to na jej korzyść. Prowadzi to oczywiście do stosowania podwójnych standardów. Czego nie toleruje się w relacjach europejskich, w wypadku Rosji jest usprawiedliwiane. Pod koniec stycznia felietonista „Der Spiegel” krytykował rozpowszechnienie się takiej postawy wśród Niemców, twierdząc, że patrzą przez „okulary Putina”: „W Niemczech podstawowymi składnikami okularów Putina są: solidny antyamerykanizm, starolewicowe marzenia o braterstwie i prawicowe fantazje o *Kulturkampf* (wojnie kulturowej)”. Całości dopełnia „obłudny, typowo niemiecki wulgarny pacyfizm, który tępo odrzuca wszystko, co militarne, ale w razie wątpliwości jest oczywiście oburzony, że nie można

przekonać talibów lub rosyjskich najemników do poddania się zgodnie z jednomyślną decyzją (dwa głosy wstrzymujące się) stowarzyszenia »Osoby Niepalące dla Pokoju«, iro- nizował autor felietonu.

Kanclerz Scholz odpiera zarzuty, jakoby Niemcy stały się słabym ogniem Sojuszu Północnoatlantyckiego. „Niemcy dysponują największym kontyngentem wojskowym wśród członków NATO z kontynentalnej części Europy. Jesteśmy krajem, który od 2014 r. udzielił Ukrainie największej gospodarczej i finansowej pomocy”, mówił w wywiadzie dla ARD.

Rosyjsko-niemieckie relacje są dalekie od przyjacielskich. Częścią eskalującego napięcia jest wymiana ciosów między Berlinem a Moskwą

z miksu energetycznego węgiel, ropę i atom, zostaje się z gazem ziemnym. Teraz transformacja, która według jej zwolenników, usilnie wiążących energię jądrową z bronią atomową, miała przynieść światu pokój, staje się przyczyną konfliktu, który może doprowadzić do wojny.

Dwie dekady temu, gdy publiczna świadomość kryzysu klimatycznego nie była jeszcze tak rozpowszechniona, przedstawienie niemieckiej gospodarki opartej na spalaniu węgla na niemal o połowę mniej emisyjny gaz ziemny wydawało się krokiem w dobrym kierunku. Jednak gaz ziemny, składający się w 90% z metanu, jest tak samo paliwem kopalnym, którego produktem spalania jest zagrażający klimatowi dwutlenek węgla. Natomiast uwolniony do atmosfery

Putin i Biden podkreślają nastroje wojenne w imię umocnienia własnej pozycji w krajach, którymi rządzą.

w sferze medialnej. Niemcy, powołując się na brak wymaganych licencji, wprowadziły zakaz nadawania dla rosyjskiego niemieckojęzycznego kanału RT (dawniej Russia Today). W odpowiedzi rosyjskie MSZ na początku lutego poinformowało, że zostaną cofnięte akredytacje prasowe korespondentów Deutsche Welle, biuro stacji w Rosji zamknięte, a niemieckojęzyczne programy zostaną w najbliższej przyszłości zablokowane w rosyjskiej telewizji satelitarnej.

Błędy i wypaczenia transformacji energetycznej

Stoniem w europejskim salonie jest niemiecka transformacja energetyczna. *Energiewende* skrojona według wymagań zielonego kapitalizmu ujawnia obecnie swoje sprzeczności. Kształt tej „zielonej rewolucji” wypracowywany jest od 30 lat – pierwszy akt legislacyjny transformacji wszedł w życie w 1990 r. Panele fotowoltaiczne i turbiny wiatrowe miały być czystym i „demokratycznym” źródłem energii. Ich zwolennicy niechętnie wspominali o tym, że gdy nie świeci słońce albo nie wieje wiatr, energię trzeba dostarczać z innych źródeł. A gdy chce się wykreślić

– wyciekający z instalacji wydobywczych i przesyłowych – jest nawet kilkadziesiąt razy bardziej szkodliwy niż dwutlenek węgla. Co gorsza, gazem ziemnym zaczęto zastępować nie elektrownie węglowe, tylko bezemisyjne elektrownie jądrowe. Efekt jest taki, że Niemcy stają się uzależnione od dostaw rosyjskiego gazu ziemnego, a emisyjność gospodarki mimo ogromnych nakładów nie spada. Co więcej, Niemcy naciskają na inne kraje Europy, by wyłączały elektrownie jądrowe, wybierając podobny model miksu energetycznego, czego najlepszym przykładem jest wielomiesięczny spór o europejską taksonomię Zielonego Ładu (pisaaliśmy o tym w PRZEGLĄDZIE nr 47/2021). Około 40% gazu ziemnego w Europie pochodzi z Rosji. A wpływ z jego sprzedaży to ważna pozycja w budżecie Federacji. Thane Gustafson, autor książki „Klimat: Rosja w dobie zmian klimatycznych”, twierdzi, że Rosja jest nieprzygotowana na zmiany klimatyczne i może poważnie z ich powodu ucierpieć. Budując rurociąg, tworzy mechanizm wpływu, który jednak działa w obie strony – i na odbiorcę, i na dostawcę. Bezpieczeństwo staje się problemem wpisanym w handel gazem.

Projekt ściśle ekonomiczny

Głównym rzecznikiem gazowego interesu jest zatrudniony w rosyjskiej spółce Gazprom były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder. Pracował najpierw w zarządzie Nord Stream AG, potem był prezesem Nord Stream 2 AG. Z jednej strony, jest kolegą partyjnym obecnego kanclerza – podczas zaprzysiężenia w Bundestagu zasiadał na galerii wspólnie z całą rodziną Olafa Scholza – z drugiej, przyjacielem prezydenta Putina, spędzającym z nim czas nie tylko podczas formalnych spotkań. Wraz z przywódcą Rosji hucznie obchodził w Petersburgu 70. urodziny. Był rok 2014, a Putin właśnie przejmował Krym. Schröder zresztą nie omieszczał się wypowiedzieć w kwestii narastającego napięcia wokół granicy. Radził, by to Ukraina przestała pobrzękiwać szabelką.

Postawa Schrödera wzbudza wśród współobywateli oburzenie. Wielokrotnie ostro krytykowano go za to, że choć karierę realizuje zgodnie z prawem, to w sprzeczności z wcześniejszą rolą polityczną, co niszczy zaufanie do demokracji. Schröder odpiera oskarżenia, wstępując czasem na drogę sądową. „Wspierałem ten projekt już jako kanclerz. Nie można zaspokoić europejskiego głodu energetycznego bez rosyjskiego bogactwa surowców”, pisał dla szwajcarskiego prawnicowego tygodnika „Die Weltwoche”. Według byłego kanclerza realizacja projektu niemiecko-rosyjskiego powinna być „tak samo normalnym procesem” jak w przypadku projektu niemiecko-francuskiego czy niemiecko-amerykańskiego. Gdy w 2017 r. na wniosek rosyjskiego rządu Schröder został wybrany na szefa rady nadzorczej spółki energetycznej Rosneft, „Die Zeit” nazwał go najbardziej lojalnym kanclerzem Rosji.

„Frankfurter Allgemeine Zeitung” prześledziła niedawno, jak gazowy lobbying, nie mogąc prowadzić swobodnego dialogu z Berlinem, realizuje swoje cele przez budowanie wpływów na niższym poziomie. Na wspomnianych urodzinach Schröderowi towarzyszyli m.in. Erwin Sellering, ówczesny premier

Meklemburgii-Pomorza Przedniego, kraju związkowego, na którego terenie wynurzają się z morza obie nitki Gazociągu Północnego, oraz Matthias Warnig, obecny dyrektor zarządzający Nord Stream AG, a w przeszłości oficer Stasi. Jak donosi „FAZ”, Nord Stream 2 jest sponsorem wielu obiektów kulturalnych, festiwali i klubów sportowych w Meklemburgii-Pomorzu Przednim. Sellering prowadzi dwie organizacje finansowane przez spółkę Nord Stream: Partnerstwo Niemiecko-Rosyjskie oraz powstałą w ubiegłym roku tzw. Fundację na rzecz Klimatu i Ochrony Środowiska. „Inicjujemy i wspieramy projekty w przedszkolach i szkołach, bo ochrona klimatu to sprawa każdego”, mówił Sellering. To nie tylko nachalny *greenwashing*. Jak podejrzewa gazeta „Der Tagesspiegel”, fundacja mogłaby kupować komponenty i maszyny niezbędne do realizacji Nord Stream 2 w przypadku nałożenia sankcji przez USA.

W połowie lutego ruszyła w końcu europejska machina dyplomatyczna. Wszyscy zaczęli dzwonić do wszystkich, by omawiać warunki deeskalacji. Prezydent Macron spotykał się z prezydentem Putinem, jednocześnie kanclerz Scholz pojechał na spotkanie z prezydentem Bidenem. Prezydent USA po spotkaniu z kanclerzem

zapowiedział, że jeśli Rosja rozpocznie ponownie inwazję na Ukrainę, będzie to oznaczało koniec Nord Stream 2: „Położymy temu kres”. Olaf Scholz pominął tę kwestię milczeniem. Zdaje sobie sprawę, że to USA chciałyby się stać większym dostawcą płynnego gazu do Europy. Scholz następnie udał się do Kijowa i do Moskwy. Jedni powiedzą, że odegrał rolę posłańca, drudzy, że męża zaufania. Realnie Scholz może być jedną z niewielu osób w Europie, których Putin nie potraktuje jako wroga i faktycznie wysłucha. Na razie do opinii publicznej docierają pierwsze sygnały wycofywania rosyjskich wojsk z ukraińskiej granicy. Należy mieć nadzieję, że nie jest to odwrót pozorowany.

Dostawy gazu nadal będą traktowane przez wszystkie strony jako środek nacisku na adversarzy, co oznacza, że znaleźliśmy się w wąskiej uliczce, z której wyjść będzie niezwykle trudno. Jednak każdy, kto usilnie namawia do radykalnego zaostrzenia kursu Niemiec wobec Rosji, oskarżając je o powtórkę z brytyjskiego appeasementu, powinien przypomnieć sobie inny epizod historyczny. Ostatnim razem, gdy SPD głosowała za udzieleniem pożyczek wojennych, wynik był dla Europy i świata jak najgorszy.

Łukasz Dąbrowiecki

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

prosimy o przekazanie



PODATKU DOCHODOWEGO

na wsparcie dziennikarzy
znajdujących się w trudnej sytuacji.

Nasz nr KRS: 0000043110

Izrael po niczyjej stronie

Strategia i duże żydowskie diaspory w Ukrainie i Rosji wymuszają neutralne stanowisko Tel Awiwu

Nie tylko w Europie kryzys na linii Kijów-Moskwa jest ważnym tematem rozmów politycznych czy urzędniczych dyskusji. Ministerstwo Spraw Zagranicznych Izraela wezwało obywateli tego kraju przebywających nad Dnieprem do ewakuacji. Szacuje się, że wezwania może dotyczyć nawet 15 tys. osób, choć nie wiadomo, czy wszyscy zdecydują się na powrót do Izraela.

Aby poradzić sobie z kryzysem, kierowany przez Jaira Lapida resort rozpoczął pracę w wyjątkowym trybie. Ewakuowano rodziny pracujących w Kijowie dyplomatów, ale równocześnie wysłano dodatkowy personel konsularny, który miałby ich wesprzeć. Żaden inny kraj nie podjął podobnej decyzji.

Żelazna Kopia nie dla Kijowa

Ewakuacja już jest odczuwalna w kijowskiej społeczności żydowskiej. W rozmowie z portalem Wala naczelny rabin Kijowa Jonatan Markowicz powiedział, że zwykle na szabatowe modlitwy przychodzi setki osób, ale 12 lutego zabrakło Izraelczyków. Sam jednak zaznaczył, że nie planuje wracać do Izraela, podobnie jak pozostali wystannicy ultraortodoksyjnej organizacji Chabad Lubawicz. Zamiast tego mają oni gromadzić podstawowe zapasy i organizować miejsca spotkań dla ukraińskich Żydów w razie eskalacji konfliktu.

Społeczność ta może liczyć aż 400 tys. według danych Europejskiego Kongresu Żydowskiego. Inne szacunki – np. brytyjskiego think tanku Institute for Jewish Policy Research – mówią o 56 tys. osób, które identyfikują się jako Żydzi, i 200 tys., którym może przysługiwać izraelskie obywatelstwo na podstawie prawa powrotu.

Tak duża populacja sprawia, że Izrael ma bliskie relacje z Ukrainą, pogłębione tym, że sam prezydent Wołodymyr Zełenski jest Żydem. Nie ułatwia to bynajmniej

Izraelczykom jasnego opowiedzenia się po którejś stronie konfliktu. Dziś w Rosji może mieszkać nawet 165 tys. Żydów, do tego Izrael utrzymuje współpracę w zakresie polityki bezpieczeństwa z oboma krajami. Stąd neutralne stanowisko izraelskich polityków.

Neutralność ma jednak konsekwencje nie tylko werbalne. W zeszłym roku Ukraińcy wyrazili zainteresowanie zakupem nowoczesnego systemu obrony przeciwrakietowej Żelazna Kopia, który wykorzystywany jest przez Izrael z powodzeniem od 2012 r. W maju ub.r. dzięki systemowi udało się przechwycić nawet 90% rakiet wystrzelonych ze Strefy Gazy w kierunku izraelskich miast. Ponieważ system jest przedsięwzięciem izraelsko-amerykańskim, Kijów zgłosił się do Waszyngtonu z prośbą o przekazanie kilku

siłom irańskim, na co Rosjanie przykują oko.

Rosja jest więc jednym ze strategicznych partnerów Izraela. Wskazuje na to choćby 17 wizyt byłego już premiera Beniamina Netanjahu w rosyjskiej stolicy w latach 2009-2020. Bibi, obok serbskiego prezydenta Aleksandara Vučića, był jednym z głównych zagranicznych gości na obchodach Dnia Zwycięstwa w 2018 r., w apogeum międzynarodowej izolacji Rosji po aneksji Krymu. Izrael zresztą nigdy nie potępił otwarcie samego aktu aneksji.

Trudno się spodziewać, by dzisiaj izraelska reakcja na kryzys rosyjsko-ukraiński była inna, choć ukraińscy Żydzi bardzo by tego chcieli. Serhii Chupryna, ukraiński Żyd mieszkający w Krakowie, mówi mi: – Dzisiaj na Ukrainie jest raczej niewielka grupa ludzi prorosyjskich, którzy

W granicach państwa żydowskiego żyje dzisiaj ponad milion imigrantów z krajów byłego ZSRR, większość z Rosji lub Ukrainy.

baterii wraz z pociskami Patriot, początkowo uzyskując poparcie zarówno republikanów jak i demokratów. Ale wówczas nie było ryzyka rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Dzisiaj sytuacja jest inna i Izraelczycy zablokowali transfer z obawy, że mógłby on zaszkodzić ich relacjom z Moskwą.

A te są o tyle kluczowe, że Rosja ma znaczące wpływy w graniczącej z Izraelem Syrii, będąc sojusznikiem reżimu Baszara al-Asada. Ma tam też zaawansowane systemy obrony przeciwlotniczej i antagonizowanie Moskwy mogłoby się skończyć dla Tel Awiwu znaczącym ograniczeniem zdolności operacyjnych jego lotnictwa w regionie. Izrael bowiem w miarę regularnie prowadzi na tym terenie operacje przeciwko

chcieliby inwazji ze strony Rosji. Gdyby zapytać resztę społeczności, większość byłaby pewnie za tym, aby Izrael jasno stanął po stronie Zachodu i zaczął wspierać stronę ukraińską.

Nowe pokolenie diaspory

Serhii utrzymuje też kontakty z rosyjskojęzycznymi Żydami mieszkającymi w Izraelu. W granicach państwa żydowskiego żyje dzisiaj ponad milion imigrantów z krajów byłego Związku Radzieckiego, większość przyjechała z Rosji lub Ukrainy. Serhii, zapytany, jak na konflikt patrzają jego znajomi w Izraelu, tłumaczy: – Dziwnie się rozmawia o wojnie z ludźmi, którzy żyją



Obywatele Izraela wracają z Ukrainy.

w stanie ciągłej wojny, choć mogą tego nie zauważać. W Ukrainie wojna trwa od 2014 r., a w Izraelu od początku jego istnienia. Raczej nie przywiązują więc do tego większej wagi, choć mogą myśleć np. o ściągnięciu do siebie rodziców, póki jest taka możliwość i granice pozostają otwarte.

Z jego perspektywy diaspora nie jest jednak skonfliktowana, gdyż doszło do pewnej zmiany pokoleniowej. Uwagę na to zwraca również publicystka Judy Maltz na łamach dziennika „Ha-Arec”, podkreślając, że na początku lat 90. podział był o wiele wyraźniejszy. Nowi imigranci, którzy przybyli z Ukrainy, byli proukraińscy, z kolei ci, którzy przybyli z Rosji, prorosyjscy. Wszystko miało się zmienić w ostatnich latach wraz z tzw. aliją putinowską, jak w Izraelu określa się falę imigrantów z Rosji, którzy przyjeżdżają do Izraela ze względu na swoją niechęć do obecnej władzy na Kremlu. Starsi rosyjscy Żydzi mogą wciąż popierać Putina i z podziwem patrzeć na sposób, w jaki prowadzi on politykę zagraniczną, lecz młodszy mają tendencję do stawiania po stronie Ukrainy.

Dr Agnieszka Bryc z Wydziału Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

w Toruniu zauważa, że Władimir Putin lubi prezentować pochodzących z Rosji Żydów mieszkających w Izraelu jako rodaków. – Dzisiejsze badania socjologiczne wskazują zaś, że rosyjskojęzyczni imigranci w Izraelu nie okazują lojalności wobec dawnej ojczyzny. To jest fakt często kwestionowany czy wręcz wypierany przez Putina.

Zdaniem dr Bryc także wydarzenia w przestrzeni postradzieckiej nie są dzisiaj priorytetem dla tej grupy. – To problemy bliskowschodnie, bezpieczeństwo na miejscu, mają największe znaczenie. Przekłada się to na postawy polityczne i preferencje wyborcze tych osób. Dzisiaj znajdziemy wśród nich zwolenników rządu, opozycji czy Jisrael Beitenu.

Awaryjna walizka już spakowana

Agnieszka Bryc podkreśla jednak, że na poziomie prywatnym rosyjskojęzyczni Izraelczycy wciąż utrzymują relacje z dawnymi ojczyznami. – Często mają oni rodziny w byłych republikach radzieckich, ale wykazują raczej znikomą aktywność w stosunku do wydarzeń. Większe zaangażowanie widać po stronie tych, którzy przyjechali do Izraela z Ukrainy. Są pewne inicjatywy

społeczne, które mają na celu okazanie proukraińskiego stanowiska, próby o wsparcie prawa do obrony przed rosyjską agresją.

Serhii zwraca uwagę na to, że izraelskie czasopisma rosyjskojęzyczne raczej nie przedstawiają dzisiaj prorosyjskiego stanowiska: – Jeśli ktoś tak zrobi, może stracić sporą część czytelników, nie tylko tych proukraińskich, ale także nastawionych antyputinowsko.

Mimo to istnieje linia podziału, którą da się zauważyć. Według dr Bryc są w Izraelu społeczności popierające „stanowisko Rosji, żądania gwarancji bezpieczeństwa, które w połowie grudnia Putin wyśtosował wobec Zachodu. Można powiedzieć, że diaspora jest poróżniona, ale nie burzy to zasadniczo funkcjonowania państwa”.

Zapytany, jak na ten podział patrzy jego znajomi, Chupryna odpowiada: – Jest świetna anegdota, która pojawiła się po aneksji Krymu i pokazuje, jak konflikt widzą obywatele Izraela: Izraelczyk nie rozumie, dlaczego Rusek z Ruskim się biją. Judy Maltz w tekście dla „Ha-Arec” pisze, że choć w izraelskiej społeczności rosyjskojęzycznej występują napięcia, to są one zdecydowanie mniejsze niż w 2014 r. Wówczas dochodziło do demonstracji pod ambasadami Ukrainy i Rosji w Tel Awiwie, a w mediach społecznościowych wrzało.

Sytuacja może się zmienić, gdyby Izrael zdecydował się na ewakuację ukraińskich Żydów. Minister diaspyry Nachman Szaj uważa, że Izrael musi przygotować plany awaryjnej migracji dla tysięcy osób. Na twitterowym koncie deklarował, że Izrael jest państwem narodu żydowskiego i musi wspierać ukraińskich Żydów. „Jeśli ukraińska społeczność żydowska będzie zagrożona rosyjskim konfliktem, musimy im zaoferować natychmiastową migrację, a także wesprzeć społeczność na miejscu”.

A co robią Żydzi w Ukrainie? – Namówiłem już rodziców na spakowanie awaryjnej walizki. Znaleźli nawet znajomą pod Kijowem, która chętnie podzieli się z nimi piwnicą w razie eskalacji. Wszyscy czekamy – mówi mi Serhii. ■



FRANCJA NA OŁTARZU

Valérie Pécresse w polityce próbuje łączyć ogień z wodą. Czy da jej to prezydenturę?

Mateusz Mazzini

Mieszanka Angeli Merkel i Margaret Thatcher – ta autocharakterystyka Valérie Pécresse, mająca opisać jej poglądy i styl uprawiania polityki, zrobiła już chyba w mediach karierę większą niż sama kandydatka. Bez względu na to, co dalej stanie się z kampanią prezydencką Pécresse, ta metafora będzie pewnie żyła własnym życiem w internecie jeszcze przez długie lata. I to dla byłej francuskiej minister finansów paradoksalnie dobra wiadomość. Bo choć zestawienie jest raczej ekscentryczne, na pierwszy rzut oka trudne do pogodzenia, bardzo dobrze oddaje naturę Valérie Pécresse. Jedynej kobiety, która ma w tej chwili szansę trwale zmienić francuską politykę, nie wywołując przy tym trzęsienia ziemi na całym kontynencie.

Prymka u Chiraca

Życiorys ma nieskazitelną. Przebieg jej kariery wygląda, jakby był odgórnie napisanym scenariuszem dla przyszłej głowy państwa. Przykładna uczennica, zawsze osiągająca wybitne wyniki w nauce. Przez znajomych ze szkoły opisywana wręcz jako „nadambitna”, zainteresowana nauką do granic możliwości, zawsze perfekcyjnie przygotowana. Po liceum – studia w prestiżowej szkole biznesowej z przeszło 100-letnią tradycją, HEC Paris. Później dostaje się do École Nationale d'Administration, kuźni francuskich elit politycznych. To nad Sekwaną akademicko-zawodowy Olimp, ekspresowa winda do kariery w strukturach państwowych. W dodatku z możliwością pominięcia pierwszych jej etapów. Przyszła minister czuje się tam jak ryba w wodzie, studia kończy z drugim wynikiem na roku. Nagroda? Staż w wybranej

przez siebie instytucji. Valérie Pécresse rozważała podobno Ministerstwo Spraw Zagranicznych i kilka innych resortów, ale ostatecznie decyduje się na Radę Stanu – bezpośrednio zaplecze prawne i eksperckie prezydenta. Francją rządzi wtedy Jacques Chirac, Pécresse trafia na szczyt jego popularności.

Nie zwalnia tempa, pokonuje kolejne szczeble kariery. Dostrzega ją sam Chirac, wyjmuje z Rady Stanu i lokuje przy swoim boku, na stanowisku doradcy. Jednak Valérie ciasno w tej roli. W 2002 r. startuje do Zgromadzenia Narodowego – i od razu zdobywa mandat. Sukces powtarza pięć i dziesięć lat później. Ale znowu szybko się nudzi, szuka nowych wyzwań. Z parlamentu przechodzi do władz lokalnych. W 2015 r. zostaje wybrana na przewodniczącą Île-de-France – bodaj najważniejszej jednostki administracyjnej w kraju, regionu, w sercu którego znajduje się Paryż. Do tego należy dodać jeszcze przygody na szczeblu ministerialnym, Pécresse kieruje najpierw resortem szkolnictwa wyższego za rządów François Fillona, a od czerwca 2011 r. – finansów i budżetu.

Kandydatka w tłumie

Na tym szlaku został do zdobycia już tylko jeden szczyt, najwyższy. O potencjalnej walce Pécresse o prezydenturę mówiło się już od kilku lat, ale zawsze kończyło się na spekulacjach. Konkluzja była taka sama: na francuskiej prawicy jest ciasno, nowym kandydatom trudno się rozpychać, a kobieta będzie miała jeszcze bardziej pod górkę. Pierwsze z tych argumentów rozbroił jednak w 2017 r. Emmanuel Macron, zostając prezydentem dzięki fenomenalnej kampanii w stylu liberalnego populizmu. Z jednej strony, przełamał trwający od dekad duopol wielkich partii, Socjalistycznej i Republikańskiej, z drugiej – praktycznie samodzielnie obronił liberalną Francję przed zagrożeniem ze strony radykalnej prawicy spod znaku Marine Le Pen. W pewnym więc sensie obecny prezydent sam połączył w swojej kampanii ogień i wodę. Czy Valérie Pécresse uda się to samo, a przy okazji

przełamanie największe tabu francuskiej polityki i zostanie pierwszą kobietą na stanowisku głowy państwa?

Po głośnym początku jej kampanii dziś wiele wskazuje, że będzie jej bardzo trudno. Péresse zaczęła z przytupem, choć do gry weszła relatywnie późno. Dopiero w grudniu wygrała prawyborczy UMP, Unii na rzecz

napięcia na tle kulturowym i rasowym – to tematy, które rządzą polityką nad Sekwaną. Péresse długo ich nie poruszała, łudząc się, że da radę narzucić ton kampanii własnymi pomysłami. Do masowej świadomości przebiła się tylko jednym, projektem 35-godzinnego tygodnia pracy. Kiedy więc premia za świeżość, która zaraz

Do masowej świadomości Valérie Péresse przebiła się projektem 35-godzinnego tygodnia pracy.

Ruchu Ludowego, republikańskiej partii kontynuującej tradycję gaullistowskiej prawicy. Wcześniej wzrok analityków skierowany był raczej dalej na prawo, gdzie toczyła się coraz ostrzejsza rywalizacja pomiędzy starą faworytką Marine Le Pen a faworytem nowym, Érikiem Zemmourem. Wydawało się, że to ten ostatni, kontrowersyjny publicysta i obyczajowy ortodoks, stanie się czarnym koniem tych wyborów. A ponieważ Macron, nawet jeśli jest blisko centrum, też sytuuje się raczej po jego prawej stronie, na prawicy zaczęło się robić gęsto. W takim tłumie kolejna kandydatka nie miałaby szans, groziłaby kanibalizacja głosów. Na Péresse jednak takie prognozy nie robiły żadnego wrażenia.

Jej kampanijna retoryka brzmi jak wyjęta z epoki już dawno minionej. Autentyczna i wiarygodna patriotka, najwyżej stawia dobro Republiki. Pod tym względem idealnie pasuje do UMP, bo przy każdej okazji przypomina de Gaulle'a jako wzór państwowca, człowieka oddanego służbie ojczyźnie całym swoim życiem. Jej problemem jest relacja z elektoratem. W opinii wielu ekspertów może przegrać walkę o Pałac Elizejski, bo kampanię adresuje do wyborców, których we Francji już nie ma. Przynajmniej tak było na początku. Płomienne przemówienia o potrzebie przebudowy kraju, reformach administracyjnych i przywódczej roli Francji w Europie nie trafiały na podatny grunt. Głównie dlatego, że francuskie społeczeństwo ma teraz zupełnie inne problemy. Rosnące rozwarstwienie społeczne, polaryzacja wzmocniona pandemią koronawirusa i przede wszystkim

po prawyborach wybiła ją aż do 20% poparcia w sondażach, straciła ważność, Péresse, żeby przeżyć, musiała rzucić się do ataku.

Francja jako kraj katedr

Cały czas próbuje się wcisnąć klinem w prawicę, zbudować bastion gdzieś w połowie drogi między Macronem a Le Pen i Zemmourem. Bardziej konserwatywny elektorat zarzucał jej jednak, że była za mało zdecydowana. W dodatku jej mieszczańskie usposobienie, technokratyczny język i stereotypowy wręcz wizerunek kobiety z klasy średniej przeszkadzały w dotarciu do elektoratu trudniejszego, wykluczonego z politycznego

wierząca i praktykująca – również publicznie – katoliczka, brzmiała wiarygodnie, mówiąc o Francji jako kraju katedr, nawiązując do katolickich korzeni Republiki i osadzonym w wierze myśleniu o francuskim narodzie. Na razie jeszcze nie widać w sondażach, by strategia ta przynosiła efekt. Portal Politico szacuje jej poparcie na 15% przy 14% Zemmoura i 17% Le Pen.

Oberwało się jej natomiast ze strony elektoratu bliższego centrum, który jej wypowiedzi uznał za ksenofobiczne, wręcz rasistowskie. A zacytowanie teorii Wielkiej Wymiany, prawicowego mitu zakładającego, że masowa migracja doprowadzi do wymiany populacji w całej Europie, uznano za wizerunkową wpadkę na poziomie politycznej debiutantki, którą Péresse przecież nie jest.

Walka o Pałac Elizejski zawsze ma w sobie komponent międzynarodowy, więc i tutaj dawnej prymusce warto się przyjrzeć. Jeszcze w czasach ministerialnych uchodziła za polityczkę umiarkowaną, prounijną i chętną do dialogu z biznesem. Teraz i w polityce zagranicznej się radykalizuje. Zapowiada, że pod jej rządami Francja odzyska przywództwo w Europie, w której teraz realną władzę sprawują jej zdaniem „Niemcy i liberalne organizacje pozarządowe”. Chce wprowadzić

Péresse zapowiada, że pod jej rządami Francja odzyska przywództwo w Europie.

mainstreamu. Te głosy musi zdobyć, jeśli ma wejść do drugiej tury – tam najpewniej spotkałaby się z Macronem.

Od połowy stycznia Péresse wykonuje więc zwrot na prawo. Podczas niedawnego wiecu w Paryżu pytała retorycznie swoich sympatyków, czy Francja w przyszłości będzie suwerenna, czy może zamieni się w chińską placówkę handlową lub amerykańską kolonię. Bo ona sama nie jest pewna, wszystko może się Francji przydarzyć – w tym wiele złego. Zaraz potem krytykowała niektórych obywateli za brak poczucia wspólnoty, nazywając ich „Francuzami tylko z nazwy”. Uderzała też w tony bliskie jej własnej tożsamości. Jako bardzo

nowe regulacje migracyjne, zdaje się być niechętna dalszej federalizacji Zjednoczonej Europy. Próbuje także wybić się na niezależność w relacjach z Rosją, do której ma słabość od czasów szkolnych. Rosyjskiego uczyła się w młodości, podobno rozkochana w „Doktorze Żywego” Borysa Pasternaka. Potem pojechała do ZSRR na obóz młodzieżowy, próbując Rosjan nawracać na katolicyzm. Od religii nie odeszła, poczucie misyjności przenosząc do kariery politycznej. Jej kampania kuleje, czasem Péresse za bardzo ufa swoim doradcom, brakuje jej instynktu zabójcy. Ale determinacji nie można jej odmówić. Dla niej Paryż wciąż wart jest mszy.

m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl

Zuzanna Muszyńska

Dzieci londyńskiej ulicy

Młodzież popełnia przestępstwa nie z wyboru, lecz z braku wyboru

8 lutego, Eltham, południowo-wschodni Londyn: Bartek wychodzi do sklepu po mleko. Jest z nim jego dziewczyna. Z zaparkowanego w pobliżu samochodu wysiada dwóch mężczyzn. Podchodzą do Polaka. Zadają dwa ciosy nożem, w pachwinę i w brzuch. Bartek umiera na oczach przechodniów. W ciągu trzech dni złapano sprawców – 16-, 19- i 21-latkę. Bartek też miał 21 lat.

Streatham, południowy Londyn: na górnym pokładzie piętusa walczy ze sobą dwóch zamaskowanych nastolatków. Jeden wymachuje maczetą z 20-centymetrowym ostrzem, drugi cienkim prętem. Trzeci chłopak wali rytmicznie czymś na kształt miecza w poręcz schodów. Kierowca zatrzymuje autobus, wzywa pomoc. Młodym udaje się zbiec, zanim zjawia się policja.

Croydon i Hillingdon, południowy i zachodni Londyn: w przeddzień sylwestra 2021 r. ginie dwóch chłopców, 15- i 16-latek. To 29. i 30. ubiegłoroczna ofiara zabójstwa z udziałem młodocianych. Pada nowy rekord, odkąd w 2008 r. z rąk młodych ludzi zginęło 29 innych młodych ludzi.

Najciemniejsze strony Londynu

Londyn był pierwszym miastem, w którym odnotowano poważny problem z grupami przestępczymi. Za nim poszły Nowy Jork, Chicago, Los Angeles. Do grup przestępczych należy dziś 4-6% osób w wieku 10-19 lat. Londyńskie gangi ewoluują, od punków, rasta i futbolowych

chuliganów w latach 70. do dzisiejszych, w przewadze „czarnych” zastępów „żołnierzy”, jak lubią się nazywać ich członkowie. Zakapturzeni młodzi sięgają postrach na ulicach dużych miast.

W stolicy od lat najgorzej dzieje się w East Endzie. Jednym ze wschodnich obszarów najbardziej dotkniętych przemocą jest Newham. Z 353 tys. mieszkańców 38% to młodzież poniżej 24. roku życia. Działa tam 20 gangów, ok. 5 tys. „żołnierzy”. Między północą a południem dzielnicy trwają walki o wpływy. Nastolatki muszą nieustannie udowadniać swoją przydatność, dokonując brutalnych aktów przemocy, by zgromadzić *street capital* – kapitał uliczny. Zdobywają *ratings*, oceny, pracują na swój *road status*, uliczny status, w którym punktuje się przemoc w obecności przypadkowych przechodniów (w luksusowym centrum handlowym Stratford Westfield stoczyli otwartą walkę na noże).

Znają problemy policji, coraz śmielej ją prowokują. Podczas starć dochodzi do niekontrolowanych reakcji policjantów. Krąg przemocy wydaje się nie do rozerwania.

Nie ma zabójstw nieuniknionych

Władze Londynu wydają rocznie do kilkudziesięciu milionów funtów na zapobieganie przestępczości. To za mało, podkreśla burmistrz Sadiq Khan, by wypełnić lukę powstałą w budżecie miasta, odkąd krajem rządzą torysi. Siły policyjne zredukowano o ponad 20 tys. etatów, a organizacjom zajmującym się młodzieżą zabrano 1 mld funtów. Khan nie ma wątpliwości, że cięcia wpłynęły na wzrost liczby młodych ofiar zabójstw. Mniej młodych ludzi pada ofiarą napadów z użyciem broni palnej, noża, jest mniej kradzieży – ale ofiar śmiertelnych przybywa. Khan zwraca uwagę na rosnące okrucieństwo atakujących. Aby temu przeciwdziałać, trzeba masowo inwestować w lokalne społeczności. Edukacja, kultura, sport odciągną młodzież od świata przestępczego. Nie ma zabójstw nieuniknionych, mówi burmistrz.

Gangi dają chłopcom to, czego nie mają oni w szkołach. Hierarchia, porządek, współzawodnictwo, aktywność – tego system edukacji nie zapewnia. Działać trzeba od szkoły podstawowej, w średniej jest za późno. Około 14. roku życia zapada decyzja: moim domem jest ulica. Młodzi dilerzy narkotyków są zarówno napastnikami, jak i ofiarami przestępstw z użyciem noża. „Jeśli nie umiesz czytać ani pisać, ledwo radzisz sobie z komputerem, dostajesz bilet w jedną stronę

Zginęli w 2021 r.:



Anas Mezenner,
17 lat, 19 stycznia



Hani Solomon,
18 lat, 11 lutego



Drekwon Patterson,
16 lat, 18 lutego



Ahmed Beker,
19 lat, 26 lutego



Tai Jordan O'Donnell,
19 lat, 3 marca



Mazaza Owusu-Mensah,
18 lat, 6 marca

– na margines społeczeństwa”, mówi Harriet Sergeant, dziennikarka, autorka, badaczka, która, zbierając materiały do jednej z książek, zaprzyjaźniła się z członkami gangu w południowym Londynie. Po trzech latach doświadczania ich życia i wielokrotnych próbach pomocy doszła do jednoznacznego wniosku: państwo nie tylko zawodzi młodych, ale też przyczynia się do krzewienia kultury przestępczej. Dorastający chłopcy potrzebują szczególnej uwagi i troski. Od tysięcy lat społeczności im to zapewniały, my nie potrafimy. Według badań Publicznej Służby Zdrowia w Anglii zaledwie co czwarty chłopiec jest wystarczająco aktywny fizycznie, uprawia sport przez dwie-trzy godziny dziennie. Młodzież, która bierze udział w zajęciach sportowych, zachowuje się lepiej w szkole i w domu.

W 2015 r. przywędrował do Wielkiej Brytanii z Chicago nowy gatunek muzyczny, tzw. *drill*. Trzy lata później policja postanowiła rozprawić się z tą odmianą rapu, która miała gloryfikować przemoc z użyciem broni palnej i noży. W 2018 r. wskaźnik morderstw wzrósł o 44% wobec roku poprzedniego; zginęło ponad 60 osób. Gangi wypuszczały teledyski zawierające realne groźby, z opisami tego, co zrobią swoim wrogom. Filmy zaczęły osiągać miliony odsłon na YouTube. Niektórzy artyści i krytycy muzyczni potępili działania policji, argumentując, że nowy gatunek liczy sobie kilka lat, a społeczeństwo nękanie jest przemocą od dziesięcioleci, i że młodym odbierany jest głos. Nie pomogło hasło „Odłóż nóż, chwyć za mikrofon”, którego używała firma Pressplay promująca teledyski z muzyką *drill*. Komisarz

Met Police Cressida Dick umieściła *drill* na liście zjawisk przyczyniających się do wzrostu liczby ataków, obok ewoluujących rynków narkotykowych i cięć w policji. Wezwała także gigantów internetowych do cenzurowania treści, które pokazują morderstwa w dobrym świetle. Serwis YouTube usunął część filmów wskazanych przez policję.

Szkocja daje radę

Za wzrost przemocy wini się wszystko, od muzyki *drill* po zmniejszenie liczebności i uprawnień policji, celowo pomijając takie aspekty jak marginalizacja, ubóstwo, brak mobilności społecznej – to z kolei ocena Roberta Hesketha, naukowca z Liverpoolu. Hesketh twierdzi,

**Bartek wyszedł po mleko.
Dostał dwa ciosy nożem.
Umarł na oczach przechodniów.**

że młodzież popełnia przestępstwa nie z wyboru, lecz z braku wyboru. Badani przez niego młodzi ludzie byli uwięzieni w przemoc, gdyż nie znali świata poza własnym sąsiedztwem. Wszyscy, których spotykali w szkole czy na ulicy, robili to samo. Gang to narkotyki, narkotyki to pieniądze. W tym środowisku handel narkotykami jest normalnym sposobem na życie. Gang to „firma” – tak o nim mówili. Ci, którym udało się nie ulec presji, szukali i znaleźli znajomości poza swoim sąsiedztwem.

„Twardzi wobec przestępczości” politycy dobrze wiedzą, że walcząc z gangami, skazani są na przegraną, dopóki nie zaczną głośno mówić

o nierównościach. Hesketh podaje przykład Theresy May, która jeszcze jako minister spraw wewnętrznych musiała się zmierzyć z wybuchem zamieszek w całym kraju. 4 sierpnia 2011 r. policja zastrzeliła Marka Duggana, członka gangu. W Londynie rozpoczęły się burdy uliczne, grabieże i podpalenia, które szybko przeniosły się do innych miast. Premier David Cameron wypowiedział gangom „totalną wojnę”. Wezwał na pomoc byłego komisarza policji z Los Angeles, Nowego Jorku i Bostonu, Billa Brattona. Rząd postawił na strategię, która dała się sprzedać w mediach. Zignorował ludzi wyładowujących swój gniew w kwestiach społecznych. Aresztowano 2,7 tys. osób – co czwarta była nieletnia. Minister May ogłosiła nową inicjatywę dla Anglii i Walii, Ending Gang Violence, skupiającą się na 120 tys. „problematycznych” rodzin, jak również na polityce egzekwowania prawa. Obiecano pomoc członkom gangów, którzy chcieli uciec ze środowiska. W drugiej połowie dekady karma wróciła. Nagły wzrost liczby przestępstw w 2018 r. zmusił premier May do zorganizowania na Downing Street spotkania 100 ekspertów. Wśród nowych, częściowo radykalnych rozwiązań kolejny raz zabrakło uderzenia w przyczynę kłopotów – biedę.

Jako pozytywny przykład rozwiązywania takich problemów Hesketh wymienia Szkocję, która w 2005 r. powołała policyjne jednostki redukowania przemocy (VDU). Przestępstwa z użyciem noża zaczęto traktować jako kwestię zdrowia publicznego – służba zdrowia pracuje w Szkocji ramię w ramię z policją, oświatą i pracownikami socjalnymi. ▶



Hussain Chaudhry,
18 lat, 17 marca



Levi Ernest-Morrison,
17 lat, 10 kwietnia



Fares Maatou,
15 lat, 23 kwietnia



Abubakkar „Junior” Jah,
18 lat, 26 kwietnia



Jalaan Woods-Bell,
15 lat, 11 czerwca



Tashawn Watt,
19 lat, 25 czerwca

► Wymyśliło ten system troje chirurgów, którzy założyli Medics Against Violence. Ich praca koncentruje się na ofiarach nożowników, ich rodzinach i sprawcach. W ciągu dekady liczba przyjęć do szpitali z powodu napaści z nożem w rękę spadła w Glasgow o 62%.

Stracone lata

Już w 2011 r. pracownicy instytucji zajmujących się młodzieżą alarmowali, że należy leczyć przyczyny, nie objawy choroby. Zamiast otwartej konfrontacji – rozmowa. Zaczynać trzeba od dzieci w wieku 9-12 lat, spośród których gangi werbują nowych członków. Koszt przewencyjnych działań wynosił wtedy funt na dziecko. Roczny pobyt w zakładzie karnym kosztował 150 tys. funtów, tyle samo leczenie osoby ugodzonej ostrym narzędziem. Szkoły odwiedali chirurdzy, objaśniając konsekwencje ugodzenia nożem czy strzelaniny. Byli członkowie gangów opowiadali o pobytach w więzieniu. Jeszcze w roku finansowym 2010/2011 r. wydano na młodzież 1,357 mld funtów. Osiem lat później wydatki spadły do 398 mln funtów, jak podało w swojej analizie YMCA.

Young Men's Christian Association działa w Anglii od 1844 r., kiedy wraz z narodzinami rewolucji przemysłowej pojawiła się pilna potrzeba pracy z młodzieżą. Młodzi mężczyźni opuszczali domy rodzinne, by migrować do dużych miast za pracę. W latach powojennych opinia publiczna skarżyła się na wzrost chuligaństwa. W 1960 r. opublikowano pierwszy raport rządowy poświęcony sprawom młodych, w którym zalecono organizację zajęć pozalekcyjnych

dla młodzieży. Pojawiły się pierwsze w kraju ośrodki dla młodzieży z pełnoetatowymi pracownikami.

YMCA wzywa torysów, by do trzymali obietnic wyborczych z 2019 r. i uruchomili środki w wysokości 500 mln funtów na wsparcie organizacji ds. młodzieży. Tymczasem młodzi przesiadają po lekcjach w McDonaldach. Od 2012 r. zamknięto co najmniej 763 ośrodki młodzieżowe. Z toryskiego Funduszu Inwestycyjnego dla Młodzieży miało powstać 60 nowych placówek. Już wiadomo, że rząd nie uruchomił funduszu do kwietnia 2022 r. Dwa i pół roku opóźnienia to bardzo dużo

Najmłodsza zeszłoroczna ofiara nożowników miała 14 lat.

w życiu nastolatka. Samorządy wydają to, co mają, na usługi pierwszej potrzeby, głównie na młodsze dzieci. Denise Hatton, dyrektor naczelna YMCA w Anglii i Walii, komentuje: „Nie można oczekiwać, że jeśli jedna grupa społeczna poniesie straty w wysokości prawie miliarda funtów, nie wywoła to konsekwencji w całym społeczeństwie”.

Zmiana na fotelu premiera wiosny nie uczyni. Jeżeli miejsce Borysa Johnsona zajmie kanclerz skarbu Rishi Sunak, można się spodziewać dalszej polityki zaciskania pasa. Sunak to zaprzysięgły thatcherysta w sprawach gospodarczych, wywołujący się z klasy uprzywilejowanej i wierny jej ideałom. I niewiele może wynikać z faktu, że w obliczu skandalu „Partygate” torysi przyśpieszyli prace nad białą księgą wyrównywania różnic społecznych w całym

kraju. Do końca dekady Brytyjczycy mają być bezpieczni, lepiej wykształceni, zdrowsi, dumni ze swoich małych ojczyzn, posiadać w miarę możliwości własne lokum, korzystać z taniej komunikacji publicznej i ultraszybkiego internetu. Dokument zawiera sekcję *Safe Neighborhoods* – Bezpieczne dzielnice. Na policjantów spadną nowe obowiązki związane z zapewnianiem obywatelom dobrostanu, np. walka z hałasem.

Na razie policję gnębią problemy kadrowe. Z funkcji szefowej Met Police zrezygnowała Cressida Dick, pierwsza kobieta na tym stanowisku w 193-letniej historii Met. Dick straciła poparcie zwierzchników po skandalu na posterunku w Charing Cross, gdzie funkcjonariusze wymieniali rasistowskie, seksistowskie i islamofobiczne komentarze. Dwóch z nich awansowało, dziewięciu pozostało w służbie. Również sprawa morderstwa Sarah Everard w marcu 2021 r. wywołała konsternację zarówno w ratuszu, jak i w rządzie. Po skazaniu zabójcy – oficera policji – na dożywocie mundurowi oficjalnie przypominali kobietom, że „zawsze mogą machnąć na autobus”, kiedy zbliża się do nich policjant. Na spadek zaufania do policji wpłynęła też duża liczba zatrzymań z przeszukaniem, głównie osób ciemnoskórych.

Dzisiejsza angielska młodzież to stracone pokolenie. Najmłodsza zeszłoroczna ofiara nożowników miała 14 lat. Ze zdjęć w „Guardianie” opublikowanych 31 grudnia spoglądały sympatyczne twarze chłopców u progu życia.

Zuzanna Muszyńska
z.muszyńska@tygodnikprzeгляд.pl



Tamim Ian Habimana,
15 lat, 5 lipca



Keane Flynn-Harling,
16 lat, 5 lipca



Hazrat Wali, 18 lat,
12 października



Kamran Khalid, 18 lat,
28 października



Jermaine Cools, 14 lat,
18 listopada



Rishmeet Singh, 16 lat,
24 listopada

Betonowe koła ratunkowe dla tonącej gastronomii

Pandemia zdegradowała kucharzy z wieloletnim stażem do pozycji kasjerów w supermarkecie

Dominika Tworek

Damian i Daniel to przyjaciele z kilkunastoletnim doświadczeniem w gastronomii. O swoją restaurację na wzór włoskich trattorii walczą z determinacją i pasją, wypiekając rzymską pizzę czy wyrabiając rzemieślnicze makarony. Wierzą, że uda im się pokonać Goliata w postaci pandemii, działań rządu, inflacji i 700-tysięcznego długu.

Przygotowania do otwarcia wrocławskiej knajpki Trattoria del Mercato trwały cztery lata i zakończyły się na początku pandemii, kiedy restauracje doświadczały lockdownu. Pierwszym klockiem w dominie niepowodzeń były problemy z właścicielem lokalu. Wystartowali więc z pozycji dłużników, gdyż zakupiony na raty sprzęt przez pół roku stał nieużywany w pustych pomieszczeniach. Kiedy z dnia na dzień zostali zwolnieni z pracy w hotelu, stanęli na krawędzi. Pandemia zdegradowała kucharzy z wieloletnim stażem do pozycji kasjerów w supermarkecie. Wiedzieli, że jedyną ścieżką do wyjścia z impasu jest otwarcie ich wymarzonej restauracji. Mimo obaw udało się zadebiutować z impetem. Goście zamawiali posiłki na wynos, a z czasem, gdy gastronomia się otworzyła, było coraz lepiej. Restauratorzy powoli się odkuwali. Zgrozę przyniósł jednak kolejny lockdown.

– Praktycznie nie mieliśmy klientów. Było apogeum pandemii, ludzie się bali. Ale byliśmy niezłomni, pracowaliśmy codziennie, prawdopodobnie wyglądaliśmy jak zombie, bo jednocześnie każdy z nas przeżywał ogromny stres. W lutym zeszłego roku długi liczyliśmy już w setkach tysięcy. Nie mieliśmy z czego dokładać



Damian Janusz i Daniel Jakubowski, Trattoria del Mercato: Nie poddajemy się, bo włożyliśmy w to bardzo dużo serca.

do interesu, a próby wzięcia kolejnych kredytów kończyły się odmowami. Byliśmy jedną z nielicznych wrocławskich restauracji, które poszły pod prąd i otworzyły się. Gdybyśmy tego nie zrobili, musielibyśmy zwinąć nasz biznes – opowiada jeden z właścicieli, Damian Janusz.

Według szacunków Izby Gospodarczej Gastronomii Polskiej w 2021 r. obroty branży gastronomicznej były aż o 54% niższe w stosunku do przedpandemicznego roku 2019. W konsekwencji z sektora odpłynęło aż 200 tys. pracowników i zniknęło ok. 20 tys. lokali. Tym, którym udało się przetrwać, drożyzna i inflacja przyniosły lawinę kolejnych problemów.

Tarcza wydmuszka

Restaurację wsparli klienci, którzy zjeżdżali się z całej Polski, dzięki czemu przedsiębiorcy wyszli z długów i planowali dalszy rozwój. Ale ostatnie miesiące to znów jedynie piętrzące się problemy. Przyjaciele po raz trzeci walczą o przetrwanie. – Nowy rok to miesięczne podwyżki płać w wysokości 3 tys. oraz o 2 tys. większe rachunki za prąd. Ceny wszystkich produktów poszły do góry, a zapowiada się, że będzie tylko drożej. W ciągu trzech tygodni cena polędwicy wołowej wzrosła o 100%, podobnie jak ceny serów, tłuszczów czy opakowań. Za jeden karton do pizzy płacimy dziś 1,5 zł! A ostatnio mieliśmy problem z ich dostępnością. Przez trzy tygodnie jeździliśmy po sklepach, bo hurtowo nie ▶



Tomasz Galuba przewiduje, że w maju czeka nas fala restrukturyzacji i upadłości firm.



Właściciele bistra Krauza w 2019 r. mały lokalik zamienili na przestronne pomieszczenia. Muszą spłacić 600 tys. zł kredytu.

▶ można było ich dostać. A to zabiera czas i generuje dodatkowe koszty paliwa. Żeby wyjść na zero, musielibyśmy podwyższyć ceny dań w karcie o 10 zł. A nie możemy tego zrobić, bo gości nie będzie stać na posiłki. Już teraz wychodzenie do restauracji staje się ekskluzywne. Ruch zmniejszył się o ok. 30%. Nawet stali goście przychodzą rzadziej. Niektórych ludzi wciąż stać, żeby wyjść do restauracji, ale teraz czekają i sprawdzają, jak będzie wyglądać kolejny miesiąc – mówi szef kuchni Trattoria del Mercato Daniel Jakubowski.

Wyższe ceny to tylko jeden z problemów. Pandemia spowodowała, że niektórych produktów nie ma na półkach. – Jedziemy na zakupy i bierzemy nie to, co chcemy, ale to, co jest w sklepie. Nie dość, że niektórych produktów mało, to jeszcze są droższe i gorszej jakości. Był moment, że brakowało mięsa dojrzewającego (podstawy włoskiej kuchni) i musieliśmy sami poddawać wędliny procesowi dojrzewania. Najpierw były braki, a potem pojawił się problem z jakością, bo producenci zaczęli przyspieszać procesy dojrzewania. Nasza codzienność to ciągłe kombinowanie, jak tu zdobyć różne produkty – dodaje.

Damian Janusz tłumaczy natomiast, że tarcza antyinflacyjna w postaci zerowego podatku VAT na

żywność nie tylko nie pomaga przedsiębiorcom, ale zwyczajnie szkodzi: – Gastronomia to sprzedawanie usługi, w związku z czym wystawiamy rachunki na 8% VAT na jedzenie i 23% na napoje. Jeśli kupimy dany produkt z pięcioprocentowym podatkiem, przy rozliczeniu kompensujemy ten VAT – jeżeli kupujemy za 5%, a sprzedajemy za 8%, to jedynie pozostałe 3% odprowadzamy do państwa. A w tym momencie płacimy całe 8%. Czyli generalnie jesteśmy skazani na podwójny VAT. Może to nie jest dużo na pojedynczej usłudze, ale w skali miesiąca robi się z tego konkretna kwota.

kłody pod nogi. Niedawno urodziło mi się dziecko i przez miesiące żyliśmy z żoną z tego, co dostaliśmy od rodziców i teściów. To było bardzo uwłaczające – podkreśla restaurator. – Człowiek chce pracować i pracuje, ale nic z tego nie ma.

Tylko dzieci żal

Z podobnymi problemami zmagają się bytomskie bistro Krauza. Rodzina na knajpka funkcjonuje od początku 2019 r. Prowadzące ją małżeństwo chwilę przed pandemią postawiło na rozwój – wynajmowany mały lokalik zamieniło na przestronne

Sposobem na przetrwanie jest zero waste w kuchni.

Dotychczas Trattoria del Mercato jako młoda firma nie dostała żadnej rządowej pomocy. Tym razem młodzi przedsiębiorcy nawet jej nie oczekują. – Rząd nie słucha naszych potrzeb. Mam wrażenie, że wręcz dąży do tego, żeby wróciła kontrola państwa jak za PRL, aby wszystkie spółki były państwowe albo przynajmniej żeby państwo miało udział w każdej dziedzinie gospodarki. Jeszcze mamy pomysły i werwę do pracy. Nie poddamy się, bo włożyliśmy w to bardzo dużo serca, ale jesteśmy bezsilni wobec tego, że cały czas ktoś nam rzuca

pomieszczenia. Inwestycja wiązała się z kredytami. Do spłaty zostało jeszcze 600 tys. zł.

– Zdajemy sobie sprawę, że jeśli wrócimy do pracy na etatach, nie będziemy w stanie tego spłacić. Nie liczymy na pomoc rządu. Rzucanie betonowych kół ratunkowych nie licznym to żadna pomoc. Od lipca 2021 r. spłacamy tarczę, którą dostaliśmy, bo przeniesienie lokalu wiązało się np. z zatrudnieniem większej liczby pracowników, w związku z czym nie wykazaliśmy dużych strat. Porównywanie utargów w czasach

pandemii do czasów, kiedy dopiero zaczynaliśmy, jest nielogiczne. Trafiliśmy na najgorszy moment w historii gastronomii. Najpierw lockdown, obostrzenia, robienie z nas cerberów sprawdzających maseczki i certyfikaty, następnie ogromne wzrosty cen, kosztów, brak możliwości wrzucenia ZUS do kosztów i ten śmieszny zero-wy podatek – opowiada właścicielka Krauzy Natalia Lenert-Gruszka.

Restauracja przetrwała czas lockdownu. Luki w sprzedaży – bo za interesowanie jedną z ich specjalności, śniadaniem, spadło do zera – zapelniali robionymi własnoręcznie „krauzami” (słójkami z przetworami), wypiekami chlebów, a nawet wytwarzaniem naturalnych kosmetyków. Walkę toczyli w ogromnym stresie, wylądowali w szpitalu. Ambicje nie pozwalają im jednak przerwać zmagania.

– Atmosfera jest gęsta. Pracujemy dniami i nocami. Mamy mniej osób do pomocy. Widać, że ludzie wycofują się z pracy w gastronomii. Dla męża ciężka praca to sposób na radzenie sobie z trudnościami. Ja korzystam z usług psychologa – przyznaje właścicielka. – Bo problemów jest tyle, że niejedna osoba już dawno dałaby sobie z tym spokój. Jak można pracować po 20 godzin na dobę, a nie mieć nawet na tydzień wakacji w górach? Czasami żal mi naszych dzieci, choć robimy co w naszej mocy, by tego nie odczuły. Na szczęście są jeszcze w takim wieku, że cieszą się na ferie spędzane z nami w pracy.

Dla Krauzy sposobem na przetrwanie jest *zero waste*. – Wiemy, jak wykorzystać każdy produkt do ostatniej okruszyny – z obierek ziemniaków robimy chipsy, a z łodyg ziół oliwy smakowe. Nigdy nie zrezygnujemy z jakości, za to częściej przyrządzamy kluski czy kopytka, wszystko robimy sami, bazując na sezonowych produktach. Mąż – dzięki doświadczeniu, które zdobył jako szef kuchni we Włoszech – doskonale nimi zongluje. Włoska kuchnia opiera się na niewielu składnikach, za to doskonałej jakości. 90% sukcesu, jakim jest dla nas utrzymanie się w tych trudnych czasach, to właśnie uszanowanie produktów i przemyślane zakupy. Gdyby

nie to, 600-złotowe dzienne rachunki za gaz i prąd zapewne by nas pogrzebały. Mamy najniższe ceny, na jakie możemy sobie pozwolić. Jestem wzruszona, że nasi stali goście pomimo trudnej sytuacji finansowej dalej do nas przychodzą. Ale widzimy, że jest inaczej. Kupują mniej, nie biorą już ciasta do lunchu. Mimo wszystko wierzymy, że najlepsze dalej przed nami. Ostatnia rzecz, jaką mamy teraz w głowie, to zwinięcie żagli – podsumowuje Natalia.

Cichy lockdown gastronomii

Nie lepiej powodzi się dużym przedsiębiorcom. O problemach znanej wrocławskiej sieci restauracji opowiada jej dyrektor Tomasz Galuba: – Za pojedynczy lokal w galeriach handlowych płacimy miesięcznie od 50 do 100 tys. zł netto. A nasze obroty spadły o 50%.

Gdy spadł popyt na śniadania, luki w sprzedaży zapelniali robionymi własnoręcznie „krauzami” – słójkami z przetworami.

Negocjujemy z galeriami obniżkę czynszu, bo wszystkie biznesplanu tworzyliśmy pod stan tzw. normalności. Nikt nie zakładał, że będzie płacił 100 tys. zł czynszu przy o połowę mniejszej liczbie odwiedzających galerię. Obecne kwoty wynajmu są nieadekwatne do dzisiejszej sprzedaży. Jeśli zarządcy galerii się nie ugną, będzie bardzo ciężko.

Przedsiębiorca nazywa ostatni rok w gastronomii cichym lockdownem: – Ruch na mieście, m.in. przez pracę i nauczanie w formie zdalnej, jest praktycznie zamrożony, a ludzie mają w portfelach coraz mniej pieniędzy. Podwyżki płac nic nie dają, bo korekty pensji zjada drożyzna. Obie tarcze pomogły nam przetrwać, ale potrzebujemy trzeciej czy czwartej, bo musimy dokładać do biznesu setki tysięcy. Prowadzimy kilkadziesiąt restauracji i jeżeli każda ma ten sam problem, to pod koniec miesiąca nasze kłopoty się potęgują. A my nie mamy „dobrego wujka z Ameryki”, który będzie dokładał do interesu.

Sieć zamknęła już jeden lokal na wrocławskim Rynku. Powód:

pięciokrotna podwyżka cen energii. Pozostałych likwidować nie chce, bo to wygeneruje dodatkowe koszty w postaci zwracania dotacji, które dostała od rządu z tarcz antykrzysowych. Dlatego Tomasz Galuba przewiduje, że w maju czeka nas fala restrukturyzacji i upadłości firm.

– Na dziś dostaliśmy informację o zmianie taryf za energię. W zależności od miejsca to pięcio-, sześciokrotnie czy nawet ośmiokrotnie podwyżki cen gazu. Dla nas przelicznik jest prosty. Jeśli w galerii handlowej miesięcznie płacimy 30 tys. za prąd, którego cena wzrasta o 30%, to mamy o 10 tys. zł większy rachunek. Doliczmy do tego gaz, za który płaciłszy 10 tys. zł miesięcznie. Jeśli stawka wzrasta osiem razy, płacimy 80 tys. Kto uniesie taką nadwyżkę? – martwi się dyrektor spółki, który zwraca uwagę także na rosnące koszty utrzymania pracowników.

Firma przed pandemią zatrudniała ok. 500 osób, dziś – niecałe 300. – Polski Ład spowodował, że musimy płacić pracownikom o 30% więcej. A w to trzeba wkalkulować gościa, którego nie ma. Kucharka lepiąca pierogi przychodzi do pracy na osiem godzin i otrzymuje za to określone wynagrodzenie. Tylko że do tej pory w tym czasie lepiła 60 kg pierogów, a teraz 30! Nasi pracownicy martwią się, że stracą pracę. My z nimi rozmawiamy, uspokajamy, chcemy, żeby mieli pewność, że dopóki na tym okręcie wszyscy poruszamy się w jednym kierunku, on jeszcze płynie. Jesteśmy na rynku od ponad 20 lat i do tej pory zawsze sobie radziliśmy w trudnych sytuacjach. Mamy nadzieję, że i ten kryzys przetrwamy. Ale bez pomocy rządu będzie to trudne. Problem w tym, że nikt nas, przedsiębiorców, nie pyta o nasze kłopoty, nie poszukuje rozwiązań, które wspólnymi siłami moglibyśmy wypracować – puentuje dyrektor.

Dominika Tworek

Ofiary estońskiego windykatorka

Miałeś stłuczkę? W warsztacie oferują ci samochód zastępczy?
Uważaj! Może cię to drogo kosztować

Marek Czarkowski

Każdego roku na polskich drogach dochodzi do tysięcy podobnych zdarzeń. Jest piękne lipcowe popołudnie 2017 r. Autostrada Wolności (czyli A2) w okolicach Brwinowa. Panią Joannę, jadącą w kierunku Poznania prawym pasem szkodą superb, potrącił pędzący z dużą prędkością volkswagen passat. Uderzenie było tak silne, że obróciło oba pojazdy, które zatrzymały się na zabezpieczeniach. Nikomu nic się nie stało, lecz auta solidnie ucierpiały. Na miejscu zjawiała się policja. Kierowca passata przyznał się do winy i podpisał stosowne oświadczenie, by ubezpieczyciel mógł szybko wypłacić pani Joannie odszkodowanie OC.

Kierowca lawety, która zabrała uszkodzoną škodę, polecił pani Joannie warsztat w Piastowie. Jego właściciel z kolei rekomendował jej samochód zastępczy należący do firmy o nazwie SZ24H112 sp. z o.o., którego koszt użytkowania – 215 zł za każdą rozpoczętą dobę – miał zostać pokryty z ubezpieczenia sprawcy. Wystarczyło podpisać „Umowę odpłatnego udostępnienia pojazdu do krótkotrwałego korzystania”. A ponieważ naprawa była bezgotówkowa, panią Joannę namówiono na zawarcie kolejnej umowy, z firmą PTE Services na przelew do inkasa środków uzyskanych od ubezpieczyciela z racji odszkodowania. Mówiąc po ludzku – pani Joanna powierzyła prowadzenie swojej sprawy wspomnianej spółce. Okazało się to poważnym błędem.

Nieoczekiwane wezwanie

Naprawa szkody okazała się czasochłonna. Przez ponad dwa miesiące pani Joanna korzystała więc



Wyjątkowo korzystne warunki likwidacji szkody komunikacyjnej mogą być pułapką.

z samochodu zastępczego, nie zwracając sobie głowy wysokim kosztem użytkowania. Wszystko miało być załatwione bezgotówkowo. Aż w pewien październikowy dzień otrzymała list polecony od mecenasa Karola Pipczyńskiego, który informował ją, że wskazany przez nią ubezpieczyciel nie uznał w części roszczenia odszkodowawczego, w związku z czym jest ona zobowiązana do zapłaty 17,2 tys. zł z tytułu najmu samochodu zastępczego na rzecz estońskiej spółki FINNAAY OÜ z siedzibą w Tallinie, która nabyła wierzycielność od spółki SZ24H112.

Pipczyński uprzedził panią Joannę, że jeśli nie zapłaci, zmuszony będzie „złożyć pozew o dochodzenie opisanej należności”. Swoje oczekiwania mecenas okraślił cytataми z bogatego dorobku krajowej judykatury, z których wynikało, że nie pozostaje jej nic innego, jak tylko dokonać przelewu 17 tys. zł na wskazany rachunek w ING Banku Śląskim SA. Powiedzieć, że w tym momencie kobieta się zdenerwowała, to nic nie powiedzieć.

Pani Joanna uznała, że nie zapłaci, bo nikt w lipcu 2017 r. nie uprzedził jej, że podpisane przez nią dokumenty nakładały na nią obowiązek pokrycia kosztów wynajętego auta.

Szybko ustaliła, że prezesem spółki SZ24H112, do której należał samochód zastępczy, jest przedstawiciel bratniego ukraińskiego narodu Ihor Dyba. Ten w rozmowie telefonicznej wyjaśnił, że nie mógł czekać na pieniądze i sprzedał wierzycielność działającą w Polsce estońskiej spółce zajmującej się windyacją. I nic go nie łączy ani z mecenasem Pipczyńskim, ani z właścicielami FINNAAY OÜ.

Pani Joanna skontaktowała się również z firmą ubezpieczeniową, która w przesłanym piśmie wyjaśniła, że jeśli chodzi o koszty naprawy i koszt wynajmu samochodu zastępczego, to ma poważne zastrzeżenia co do rzetelności i uczciwości wykonujących je podmiotów gospodarczych i nie wypłaci im oczekiwanych środków. Sprawa jest w sądzie, kiedy zostanie rozstrzygnięta, nie wiadomo, bo po

reformach w wymiarze sprawiedliwości czas oczekiwania na wyroki drastycznie się wydłużył.

Nic też nie dały poszukiwania mecenasa Pipczyńskiego. Pod wskazanym w korespondencji adresem stało tylko biurko, korespondencję ktoś od czasu do czasu odbierał, ale nikt w wynajmowanym pomieszczeniu nie przesiadywał. Telefon prawnika nie odpowiadał.

Pani Joannie nie udało się również skontaktować z estońską spółką FINNAAY OÜ. Ustaliła tylko, że jej beneficjentem jest urodzony w Ekwadorze mieszkaniec Brazylii Fernando Stalin Jiménez, co mogło wskazywać, że to tzw. słup.

Legalne czesanie frajerów

Tymczasem kolejny ruch wykonał mecenas Pipczyński. Tuż przed Bożym Narodzeniem 2017 r. przyszła do pani Joanny korespondencja z Sądu Rejonowego Lublin-Zachód, popularnie zwanego e-sądem, z nakazem zapłaty 17,2 tys. zł na rzecz spółki FINNAAY OÜ. Pozew złożył mecenas Pipczyński.

Prawnik pani Joanny odpowiedział sprzeciwem. Sprawa trafiła do I Wydziału Cywilnego Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy, w którym tkwi do dziś. Na razie nasza bohaterka nie zapłaciła ani grosza.

Podobnych spraw jest więcej. Wszystkie łączy estońska spółka, która ma roszczenia liczone w tysiącach, a nawet dziesiątkach tysięcy złotych. Interes musi być opłacalny, skoro ten windykator jest tak aktywny nad Wisłą.

Warto podkreślić, że wszystkie elementy opisanego proceduru są zgodne z obowiązującym w Polsce prawem. Ubezpieczyciel ma nie tylko prawo, ale i obowiązek odmówić wypłaty odszkodowania, jeśli nabierze podejrzeń, że sprawca i ofiara kolizji drogowej wspólnie chcą go naciągnąć. Mało było takich przypadków? Albo wytłudzania pieniędzy przez warsztaty samochodowe? Jeśli zatem są wątpliwości, niech lepiej sąd rozstrzygnie, kto ma rację.

Także sprzedaż wierzytelności jest czymś normalnym, regulowanym stosownymi ustawami. A jeśli ktoś

nie zgadza się co do istnienia długu, może skorzystać z drogi sądowej.

W praktyce osoby, które miały nieszczęście zetknąć się z takim działaniem, są pod bardzo silną presją. Gdy dowiadują się, że ktoś żąda od nich kilku, a nawet kilkunastu tysięcy złotych, wpadają najpierw w panikę, a potem we wściekłość. Wiedzą, że

Estońska spółka ma roszczenia liczone w tysiącach, a nawet dziesiątkach tysięcy złotych.

usługi adwokata kosztują, a sprawy ciągną się latami, ich wynik zaś nie jest pewny. Zdarzało się, że sędzia sądu rejonowego nie podzielał opinii, że roszczenie estońskiej spółki było bepodstawne. I orzekł konieczność spłaty zobowiązania. Od tego wyroku można się odwołać, lecz oznacza to kolejne lata sporów sądowych. Tu chodzi już nie o pieniądze, ale o święty spokój.

Jak nie wpaść w sidła windykatorów

Podobnych spółek zarejestrowanych w Estonii jest więcej. Na przykład NextCap Ventures OÜ specjalizująca się w windykacji długów powstałych w wyniku skorzystania z tzw. chwilówek. Firmy udzielające pożyczek, których realna stopa procentowa przekracza nawet 1000%, sprzedają jej niespłacone zobowiązania w pakietach.

Podobnie robią spółki telekomunikacyjne. Bywa, że osoby, które dawno uregulowały swoje zobowiązania, otrzymują wezwania do spłaty długów. Udowodnienie, że wszystko jest w porządku, bywa trudne, bo nie mamy zwyczaju przechowywania rachunków i dowodów wpłaty.

Problemem bywa też działalność Sądu Rejonowego Lublin-Zachód, czyli e-sądu. W założeniach miał on usprawnić działanie polskiego wymiaru sprawiedliwości. Miały do niego trafiać drobne, mało skomplikowane sprawy, które nie wymagały przeprowadzenia postępowania dowodowego. Jak się okazało, w tym sądzie rozpatrywane były pozwy, w których chodziło o setki tysięcy

złotych. I wydawano nakazy zapłaty bez jakichkolwiek dowodów. Rozpatrywaniem spraw zajmowali się referendarze sądowi, którzy mieli na każdą kilkadziesiąt sekund. Nic dziwnego, że dochodziło do patologii.

Zabezpieczeniem przed pomyłkami w tym sądzie jest sprzeciw, który należy złożyć w ciągu 14 dni. Wstrzymuje to wykonanie nakazu zapłaty, lecz nie kończy sprawy. Choć lepsze to niż nic.

Ofiary estońskich windykatorów mogą zgłosić swoją sprawę do Miejskiego Rzecznika Konsumentów w Warszawie. Czyli do pani Anny Brzozowskiej-Filipowicz, cieszącej się bardzo dobrą opinią osób pozwanych przez FINNAAY OÜ.

Na podwładnych ministra Zbigniewa Ziobry nie ma co liczyć. Jeśli naruszane są prawa konsumentów lub firma prowadzi działania, powiedzmy, na granicy prawa i dobrego obyczaju – prokuratorzy nie będą się w to mieszać.

Pomocne są internet i media społecznościowe, gdzie osoby pozwane przez „estońskiego łącznika” wymieniają się informacjami.

Zdumiewa bezczynność firm ubezpieczeniowych. Opisany proceder byłby bardzo utrudniony, gdyby lepiej przyglądały się działalności współpracujących z nimi warsztatów

W e-sądzie nakazy zapłaty wydawano bez rozpatrywania jakichkolwiek dowodów.

samochodowych. Bo to w nich oferowano – i zapewne nadal się oferuje – samochody zastępcze należące do spółek, które *de facto* naganiają ofiary windykatorów.

Gdy więc ktoś proponuje nam wyjątkowo korzystne warunki likwidacji szkody komunikacyjnej i pada hasło „zajmiemy się wszystkim, tylko prosimy o podpisanie pełnomocnictw”, powinno zapalić się nam czerwone światło. Taniej jest poświęcić swój czas i uniknąć naciągaczy.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Nazwy niektórych firm i nazwiska bohaterów zostały zmienione.

Rewolucje pożerają ojców

Bauman: Jakość społeczeństwa mierzy się nie przeciętnym standardem życia, lecz standardem najsłabszego z jego ogniw

Ewa Nowakowska

Ćwierć wieku po studiach spotkałam prof. Baumana ponownie. Wiosną 1993 r. przyjechał do Polski i po prostu przyszedł do naszej redakcji. Skromny, siwy, elegancki starszy pan z dawną bezpośredniością i poczuciem humoru. I z nowym atrybutem: długą fajką.

„Cieszę się bardzo, że mimo 25 lat banicji nie przestałem być polskim socjologiem, przynajmniej za granicą”, powiedział, nawiązując do przyznania mu za książkę „Nowoczesność i Zagłada” nagrody Amalfi, której fundatorzy nazwali go „socjologiem polsko-angielskim”. I on, i my wiedzieliśmy, że zamiast „przynajmniej” powinno być „wyłącznie”,

interesowało nas najbardziej, bo przecież właśnie je przeżywaliśmy. Profesor odpowiedział: „Między demontażem a montażem jest wyłom, pustka – stadium braku określonych znaczeń kulturowych. To, co dzieje się »pośrodku«, opisał w jakiś sposób Michaił Bachtin w swojej koncepcji kultury karnawałowej, gdzie normy nie obowiązują i niejako wszystko może się stać. Polska właśnie znajduje się pośrodku, między systemem socjalistycznym a... Właśnie – jakim? Wszystkie drogi są otwarte. (...) Wcześniej panował monopol władzy państwowej we wszystkich dziedzinach. A gdy rząd ma monopol władzy, to przejmuje też monopol odpowiedzialności. Każde społeczne niezadowolenie obraca się w protest polityczny.

A co z inteligencją, która w latach 80. odegrała znaczącą rolę, a teraz jakby jej nie było? Profesor przywołał angielskiego historyka Arnoldda Toynbeeego, który nazwał inteligencję krajów ościennych wobec centrów cywilizacyjnych „oficerami łącznikowymi”. „To oni pierwsi przestrzegają własne kraje jako »zacfane« i »upośledzone«. Ich ambicją jest nadrobienie dystansu, zbliżenie się do centrów. Tak było i z polskimi intelektualistami przed rokiem 1989. Jednocyli się w sprzeciwie wobec władzy, aby zmanifestować potrzebę wolności i wyjścia z zacfania. Bitwę wygrali, ale posiadane kwalifikacje wcale nie muszą ich dysponować do odgrywania wiodącej roli w tworzeniu nowego systemu. Nowi politycy starych dyskusji nie potrzebują. Mówi się, że rewolucje pożerają swoje dzieci. Ja uważam, że rewolucje uprawiają ojcobójstwo. Czy obecna sytuacja polskich intelektualistów nie jest tego przykładem? Wiedzieli, z jakiej butelki chcieli dżina wypuścić, ale nie wiedzieli, czym się dżin okaże”.

„Rewolucje pożerają ojców” – taki daliśmy tytuł. Dziś myślę, że rewolucje pożerają i ojców, i dzieci, gdy do władzy dochodzą najgorsze ciury obozowe czasów rewolucji – bez zasług, bez talentów, za to pełne determinacji, aby wreszcie mieć swoje pięć minut. Ojców zohydżają i odbierają im zasługi, a dzieciom rzucają kłody pod nogi.

Po spotkaniu w redakcji poszliśmy z profesorem na nasz wydział. W gablocie, gdzie kiedyś umieszczali zaproszenia na swoje seminaria i wykłady znani profesorowie, wisiły teraz ogłoszenia Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Protest Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS „przeciwko przypisywaniu NZS określonych sympatii politycznych”, podczas gdy

Nowy układ polityczny nie załatwia wielu z tych spraw, w imię których obalono układ poprzedni.

bo z krajowej nauki został wymazany, ale... Najważniejsze było to, że jest z nami i zgodził się na wywiad. Przeprowadziliśmy go z kolegą, który również był studentem profesora. Oczywiście najbardziej zależało nam na komentarzu do sytuacji w kraju, na diagnozie i prognozie wybitnego uczonego.

Profesor odwołał się do antropologicznej koncepcji tzw. rytuałów przejścia, które składają się z trzech stadiów. Pierwsze to stadium niszczenia starych symboli, znaków i pojęć, mających ustalone znaczenie w danej kulturze. Jak gdyby całkowite odarcie człowieka z dotychczasowej szaty społecznej. Trzecie polega na przyjęciu nowych symboli i znaków – czyli przystrojeniu się w nowy, zmieniony status społeczny. A drugie stadium? Ono

Protest ma skłonność do kumulacji. Tak właśnie stało się w Polsce: bardzo rozmaite upośledzenia, frustracje i interesy zjednoczyły się i doprowadziły do obalenia władzy. Jej światlejsi przedstawiciele, tacy jak Mieczysław F. Rakowski, zdawali sobie z tego sprawę i podejmowali próby reformowania systemu, ale to się nie udało. Teraz zaś nowy układ polityczny nie załatwia wielu z tych spraw, w imię których obalono układ poprzedni. Na przykład robotnicy nie uzyskali zaspokojenia roszczeń adresowanych do starej władzy. Polska wydaje się krajem wielkich eksperymentów i nieograniczonych możliwości. Mówienie czegośkolwiek więcej byłoby bawieniem się w prorocтва”. Tak profesor oddalał nasze nadzieje na to, że wywróży nam dobrą przyszłość.



Roman Zieliński podczas pikiet organizowanej przez ONR pali zdjęcie prof. Zygmunta Baumana, Wrocław, 1 maja 2016 r.

„NZS nie określa swojego miejsca na scenie politycznej kraju”. Parę ogłoszeń dalej oświadczenie uniwersyteckiego NZS. „Uważamy, że niezbędna jest radykalna dekomunizacja oraz lustracja wszystkich szczebli władzy i administracji. Jest to konieczne dla dokończenia rewolucji zapoczątkowanej przez Solidarność. Będziemy popierać wszystkie siły, które

człowiek lewicy. A lewicowość definiował krótko – jako bunt przeciw znieczulicy na ludzką niedolę. Tłumaczył, że obowiązkiem społecznej wspólnoty jest, po pierwsze, zbiorowe ubezpieczenie wszystkich jej członków przed ciosami indywidualnego losu, a po drugie: „Podobnie jak nośność mostu mierzy się nie przeciętną nośnością jego przęsła,

Zwracał uwagę na to, że niektóre, np. bezpieczeństwo socjalne, wypadają z dyskursu politycznego. Pisał: „Dziś okradanie całych narodów nazywa się »promowaniem wolnego rynku«; okradanie rodzin i wspólnot lokalnych ze środków do życia nazywa się »redukcją zatrudnienia« lub »modernizacją«. Żaden z tych czynów nigdy nie został nazwany przestępstwem i nigdy nie podlegał karze”.

Okradanie całych narodów nazywa się „promowaniem wolnego rynku”; okradanie rodzin i wspólnot lokalnych ze środków do życia – „redukcją zatrudnienia” lub „modernizacją”.

poprą rzeczywistą lustrację i dekomunizację”. „Rzeczywiście, trudno im przypisać określone sympatie polityczne”, zachnął się profesor. Wyznał, że niepokoi go odradzanie się starych polskich przywar: nacjonalizmu złączonego z klerykalizmem i antysemityzmem.

O sobie mówił, że był lewicowcem, jest lewicowcem i umrze jako

lecz nośnością najstabszego z nich, tak i jakość społeczeństwa mierzy się nie przeciętnym standardem życia (np. przeciętnym dochodem), lecz standardem najstabszego z jego ogniw”. Tę metaforę, jakże obcą ideologii neoliberalnej, przywoływał w swoich pracach niejednokrotnie. Zajmował się także zmianą znaczenia pojęć we współczesnym świecie.

W 2013 r. Uniwersytet Wrocławski poprosił Zygmunta Baumana o wygłoszenie okolicznościowego wykładu przypominającego sylwetkę Ferdynanda Lassalle’a, filozofa i socjologa studiującego niegdyś na tej uczelni. 150 lat wcześniej ogłosił on tam deklarację, która dała impuls do powstania ruchu socjalistycznego w Europie. Profesor zaproponował „Dylematy socjaldemokracji: od Lassalle’a do płynnej nowoczesności”. I oto na spotkanie uczonego ze społecznością ▶

► akademicką Wrocławia weszli gromadnie chuligani nazywający siebie Narodowym Odrodzeniem Polski. Patridioci. Wszczęli tumult, gwizdali, ryczeli swój żelazny repertuar wyzwisk: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”, „Norymberga dla komunistów”, „Precz z komuną”. Jeden z bojówkarzy poinformował osobę, która próbowała go uciszyć: „Damy wam, czerwonym, pożycz jeszcze ze dwa lata, a potem, jak Kaczyński

Próżność repliki się spodziewał, Nie dam ci prztyczka ani klapsa, Nie powiem nawet „pies cię jebał”, Bo to megalomani byłby dla psa.

Miejsca profesora w panteonie nauki żadna kurka swoim gdakaniem nie zniestawi. Polityczni mentorzy owych kurek też nigdy nie uznają jego autorytetu. W ostatnich latach życia wiele krytycznych słów skierował pod adresem decyzyzmu – koncepcji władzy opartej wyłącznie na

Najtrafniej opisał go Adam Chmielewski, autor studium o filozofii moralnej profesora: „Bauman wypracował jedyną w swoim rodzaju umiejętność przeobrażania wiedzy w mądrość, mądrość zaś jest niemierzalna. Nie ma też obiektywnej miary wielkości człowieka. Mimo tej niemierzalności jako uczony i pisarz zostawił głębokie ślady w wielu kulturach na całym świecie, a także w umysłach milionów czytelników. Do końca imponował nowatorstwem, wnikliwością i młodzieńczą świeżością myśli”.

Gdy Donald Trump został prezydentem USA, prof. Bauman tak to skomentował: „Tym, których cywilizacja zawiodła, barbarzyńcy wydają się zbawcami”. W poświęconej mu antologii został uznany za największego współczesnego socjologa. W polskich mediach publicznych po jego śmierci obowiązywał zakaz publikacji wspomnieniowych. A przecież współczesna nauka polska nie ma postaci z porównywalnym dorobkiem i osobowością. Czyja nikczemność i czyja strata?

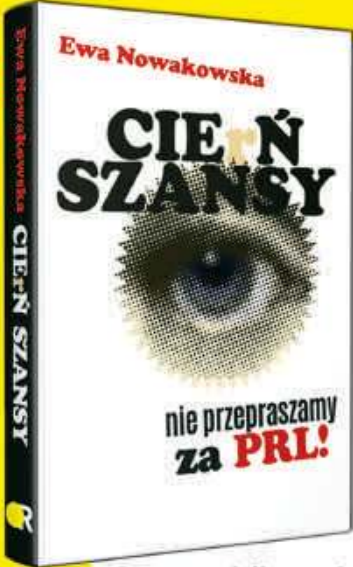
Fragment książki Ewy Nowakowskiej „Cień szansy” wydanej przez PRZEGŁĄD

dojdzie do władzy, to was powiesimy”. Czy wiedzieli, że protestują przeciwko uczoneму o światowym autorytecie? Raczej nie. Zapewne ktoś im podpowiedział kilka faktów z przeszłości profesora, których ten nigdy nie krył. Młody Bauman uczestniczył w wyzywaniu Polski z armią, która przyszła ze Wschodu, a krótko po wojnie służył w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ale przede wszystkim był Żydem! Organizatorzy spotkania nie zareagowali jak należy na paskudną zadymę. Większość zagranicznych mediów pokazała tę brunatną, faszystowską twarz Polski. Dziennikarze byli na miejscu – przyszli wysłuchać mędrca, a trafili na spektakl głupców.

Równie obrzydliwie było po śmierci profesora. Gdy świat żegnał go z ogromnym szacunkiem, polscy patridioci znów dali o sobie znać bezrozumnym ujadaniem. „Po prostu świat jest łżejszy o jednego bandytę... bolszewik... sowiecki bandzior nie był żadną szyką socjologii, a zaistniał tylko dlatego, że miał odpowiednie żydowskie i lewackie pochodzenie”, pisał bardzo popularny ponoć w prawicowych kręgach bloger o nicku Matka Kurka. Któż oczekiwałby rozumu i taktu od kury, a co dopiero od kurki? Pogdacze, podziobie i trafi do rosołu. Potraktować kurkę poważnie i podjąć polemikę? O, nie! Co najwyżej powtórzyć za Julianem Tuwimem jego czterowiersz „Na pewnego endeka, co na mnie szczeka”:

woli lidera. Ostrzegał przed fatalnymi skutkami powierzania władzy ludziom, którzy mają proste recepty na skomplikowane problemy. Skąd my to znamy? Który to wódz – niczym Bóg w odpowiedzi na pytanie Hioba – odmawia nie tylko wyjaśnienia i uzasadnienia swoich decyzji, ale też prawa do innego punktu widzenia, innej oceny rzeczywistości?

Profesor Zygmunt Bauman był tak chętnie słuchany, dlatego że obce mu było mentorstwo i kaznodziejstwo.



Ewa Nowakowska
CIEŃ SZANSY
nie przepraszamy
za PRL!

48 zł

Książka PRZEGŁĄDU

NIE PRZEPRASZAMY za PRL!

Od PRL do III RP oczami
znanej dziennikarki
Ewy Nowakowskiej



E-BOOK
~~29,90 zł~~ 19,90 zł

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 48 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje
możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł,
paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Nikt nie chce być neoliberalątem

Redaktor Piotr Miączyński w tekście „Pół Polski żyje na minusie” w „Gazecie Wyborczej” (8 grudnia 2021) napisał, że nie wie, co to jest neoliberalizm. Wcześniej podobnie mówili Łukasz Pawłowski z „Kultury Liberalnej” (bardzo mnie tym zaskoczył, ceniłem bowiem dotąd jego wiedzę) oraz Wojciech Maziarski i Witold Gadowski z „Wyborczej”. To dziwne. Wszyscy wszak reprezentują w publicystyce neoliberalne podejście (najmniej może Pawłowski, umiarkowany liberał), ale jednocześnie twierdzą, że nie wiedzą, czym jest neoliberalizm (?). Byliby oni zatem trochę jak Pan Jourdain Moliera, co to nie wiedział, że mówi prozą? Wierzyć się nie chce. Tym bardziej że literatura na temat neoliberalizmu jest ogromna, częściowo dostępna także u nas (są to prace światowej czołówki naukowej: Josepha Stiglitz, Davida Harveya, Naomi Klein, Thomasa Piketty’ego, Colina Croucha, Tima Jacksona; niestety wciąż brakuje prac wybitnego znawcy dziejów instytucjonalnych oraz zawartości ideowej neoliberalizmu – Philipa Mirowskiego). Wynika z niej jednoznacznie, że neoliberalizm to doktryna ekonomiczna i społeczna, która ukonstytuowała się przede wszystkim za sprawą tzw. austriackiej szkoły w ekonomii (Ludwig von Mises), a potem rozwijana była przez wybitnego filozofa i teoretyka ekonomii, noblistę (1974) Friedricha Augusta von Hayeka, w Stanach Zjednoczonych zaś przez tzw. szkołę chicagowską z Miltonem Friedmanem na czele (laureatem Nagrody Nobla z ekonomii w 1976 r.). Założenia neoliberalizmu – rynek najlepszym i niezawodnym regulatorem stosunków ekonomicznych, dlatego dobre są nawet monopole, jeśli tylko powstają w wyniku jego swobodnego działania; państwo jest akceptowalne jedynie jako państwo minimum; społeczeństwo to jedynie agregat jednostek; prywatna własność jest zawsze najlepsza, dlatego należy dążyć do prywatyzacji wszystkiego poza systemem sprawiedliwości, policją i armią; państwo socjalne i jakiegokolwiek planowanie to wstęp do totalitaryzmu; nierówności są dobre, bo świadczą o istnieniu wolności gospodarczej; bogactwo skapuje z góry na dół, dlatego nie należy bogatych obciążać podatkami wykraczającymi poza niezbędne minimum pozwalające na utrzymanie państwa minimum; związki zawodowe to samo zło, ponieważ szkodzą pracodawcom, a w ten sposób i samym pracownikom; płaca minimalna jest z definicji szkodliwa dla rynku pracy, gdyż powoduje przyrost bezrobocia; każdy jest kowalem swego losu, nie należy zatem narzekać na swoje niepowodzenia

Opinia na temat neoliberalizmu jest dziś słusznie tak negatywna, że nikt nie chce być neoliberalątem.

i rzucać ich na karb warunków życiowych, takich jak pochodzenie rodzinne, miejsce zamieszkania, stan zdrowia itd. – były krzewione w różnych zakątkach świata przez powstałe w 1947 r. w Szwajcarii Mont Pèlerin Society. Praktykę ekonomiczną neoliberalizmu wprowadzali w życie (na szczęście niekonsekwentnie) Ronald Reagan w USA i Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii, ale najpierw została przećwiczona w Chile po zamachu stanu Pinocheta (1973), gdy gospodarkę chilijską nadzorowali tzw. *Chicago boys*, czyli ekonomiści chilijscy wykształceni na University of Chicago (skądinąd Pinocheta poparli zarówno Hayek, jak i Friedman).

W Polsce jednym z pierwszych manifestów neoliberalizmu była książka Janusza Lewandowskiego z 1989 r. (wydanie podziemne) „Neoliberalątowie wobec współczesności”. Artykułowała ona poglądy tzw. liberałówd Gdańskich. Neoliberalizm znalazł wyraz zarówno w czasach transformacji, jak i później w polityce ekonomicznej wszystkich sił politycznych, w tym partii nominalnie lewicowych (!). Popierany był też przez większość środowiska ekonomicznego w Polsce, co było efektem długotrwałej hegemonii neoliberalizmu w tej nauce – wszak jego amerykańscy przedstawiciele seryjnie dostawali Nagrody Nobla, skończyło się to dopiero po kryzysie 2008 r. Tyle fakty.

A teraz to dziwne zaprzeczanie istnieniu neoliberalizmu. Mam tu pewne podejrzenie. Otóż opinia na temat tej orientacji ekonomicznej i społecznej (bo to coś znacznie więcej niż tylko ekonomia) jest dziś słusznie tak negatywna, że nikt nie chce być neoliberalątem. Charakterystyczna jest tu zmiana tytułu książki Janusza Lewandowskiego, która w kolejnym wydaniu z roku 2013 uzyskała tytuł „Liberalizm a współczesność”, mimo że w jej treści nie zaszły żadne fundamentalne zmiany, nadal jest to pochwała poglądów Hayeka i inspirowana nimi krytyka takich „socjalistycznych” wynalazków jak państwo socjalne. I tak oto na naszych oczach dokonuje się pewna sztuczka: żarliwi neoliberalątowie wypierają się powinowactwa swoich poglądów z neoliberalizmem lub zaprzeczają jego istnieniu, choć nadal żywią neoliberalne poglądy. Nie powinniśmy dać się na to nabrać. A co do klasycznego liberalizmu, to z pewnością jego ojcowie założyciele – John Locke, Adam Smith i John Stuart Mill – przewracają się w grobie, gdy próbuje się ich wrzucić do jednego worka z Friedmanem i Hayekiem. Wystarczy poczytać ich dzieła, aby uzyskać co do tego pewność.

Socjaliści Piłsudskiego

Jak sanacyjna władza niszczyła PPS

Przemysław Kmiecik

Przewrót majowy w 1926 r. został w środowisku polskich socjalistów przyjęty z wielkim entuzjazmem. Zdobyć władzę przez Józefa Piłsudskiego, dawnego lidera Polskiej Partii Socjalistycznej, postrzegano jako szansę na radykalną zmianę dotychczasowej polityki i na przeprowadzenie lewicowych reform społecznych. Rzeczywistość okazała się bardzo odległa od tych oczekiwań. Sam Piłsudski ogłosił, że „uczynił coś w rodzaju rewolucji bez żadnych rewolucyjnych konsekwencji”. Sanacyjna władza wcale nie zamierzała opierać się na lewicy. Zamiast reform społecznych wybrała próbę porozumienia z konserwatystami, ziemiaństwem i wielkim przemysłem, a czarę goryczy przelało ogłoszenie tzw. dekretu prasowego, skutkującego poważnym ograniczeniem wolności słowa. 10 listopada 1926 r. władze PPS obwieściły przejście do opozycji.

Socjalistom daleko jednak było do jednomyślności w tej sprawie. W PPS znajdowała się pokaźna grupa zwolenników Piłsudskiego, gotowa wspierać go bez względu na to, jakich wyborów politycznych dokonuje. Należał do niej były premier Jędrzej Moraczewski, który w październiku 1926 r. zdecydował się przyjąć tekę ministerialną w sanacyjnym rządzie. Władze PPS natychmiast oświadczyły, że zrobił to nie jako reprezentant partii, lecz wyłącznie we własnym imieniu. Moraczewski został najpierw zawieszony, a potem wykluczony z organizacji.

W PPS nasilał się konflikt pomiędzy tymi, którzy domagali się stanowczej krytyki rządu, a tymi, którzy się jej sprzeciwiali. By uniknąć rozłamu, szukano kompromisu. „PPS zdążyła nie do obalenia premiera Marszałka Piłsudskiego, lecz do rekonstrukcji jego gabinetu przez usunięcie zeń

żywiółów monarchistycznych i reakcyjnych”, głosiła uchwała Rady Naczelnej partii z grudnia 1926 r. Wciąż była nadzieja, że odpowiedni nacisk na władzę skłoni ją do zrewidowania polityki i przychylenia się do postulatów lewicy. A obu stronom wewnątrzpartyjnego konfliktu sanacyjny rząd zdawał się miłszy niż np. perspektywa zdobycia władzy przez endecję.

Zawieszeni buntownicy

Przeprowadzone w marcu 1928 r. wybory pokazały, że obóz Piłsudskiego, skupiony w tzw. Bezpartyjnym Bloku Współpracy z Rządem, nie jest w stanie zdobyć większości, a główną siłą opozycji jest właśnie PPS. Jedność partii zaczęła jednak się rozpadać. Pierwszy wyłom, lokalny jeszcze, nastąpił na Górnym Śląsku. 1 kwietnia 1928 r. Józef Biniszkievicz, wieloletni lider tamtejszej PPS, wraz z grupą działaczy ozna-

Jesienią 1928 r. konflikt wybuchł z całą siłą. 10 października zaczął wychodzić niezależny od PPS prądowy dziennik socjalistyczny „Przedświt”, na łamach którego Moraczewski podjął próbę przekonania czytelników, że dzięki etatystycznej polityce sanacji Polska zmierza wprost ku realizacji idei socjalizmu. Jednocześnie przeciwko polityce władz partii otwarcie zbuntowała się warszawska organizacja PPS, na której czele stał Rajmund Jaworowski, poseł, przewodniczący stołecznej rady miejskiej, były oficer Legionów i zdeklarowany piłsudczyk. Posiedzenie zarządu PPS, zwołane w gmachu Sejmu na 17 października, zakończyło się awanturą i zawieszeniem buntowników. Jaworowski opuścił spotkanie i udał się do warszawskiej siedziby partii, gdzie czekała już na niego grupa zwolenników. Podczas nocnych obrad powołano tam do życia PPS-dawną Frakcję Rewolucyjną, której nazwa

Sanacyjna władza zamiast reform społecznych wybrała próbę porozumienia z konserwatystami, ziemiaństwem i wielkim przemysłem.

powstanie odrębnej Śląskiej Partii Socjalistycznej. Ogłosiła ona, że broni zasad socjalizmu, a jednocześnie przekonywała, że to Piłsudski gwarantuje utrzymanie swobód politycznych w Polsce i że współpraca z rządem jest jedynym słusznym wyborem. „Pólinteligenci oraz grupka zbałamuconych młodzieńców pcha PPS w otchłań bolszewizmu”, oskarżał Biniszkievicz, szczególnie ostro atakując sekretarza generalnego partii Kazimierza Pużaka. Jego decyzję o dokonaniu rozłamu przyspieszył fakt, że już od dłuższego czasu pozostawał w konflikcie z centralą partyjną, której zarzucał m.in. łamanie zasad wewnętrznej demokracji.

miała nawiązywać do tradycji organizacji kierowanej przed laty przez Józefa Piłsudskiego. Chociaż panowało przekonanie, że rozłam nastąpił z inspiracji sanacyjnej, Jaworowski stanowczo temu zaprzeczał. Co więcej, założyciele PPS-dFR zapewniali w odezwie, że ich organizacja nie ma zamiaru być częścią żadnego politycznego obozu, a zamiast tego deklaruje „walkę w imię odnowienia ruchu socjalistycznego. (...) To nie rozłam, lecz wewnętrzna rewolucja, zmierzająca do uratowania PPS”. Dotychczasowemu kierownictwu partii zarzucono zdradę idei, łamanie zasad demokracji i uleganie wpływom komunistycznym.



Manifestacja PPS-dawnej Frakcji Rewolucyjnej, Warszawa, 1931 r.

1 listopada 1928 r. w Dąbrowie Górniczej rozpoczął się XXI Kongres PPS. Tego samego dnia, ledwie kilkanaście kilometrów dalej, w Katowicach, na swoim zjeździe zebrała się PPS-dFR. Rozłamowcy, popularnie zwani „frakami”, wybrali tam władze, do których weszli m.in. Jaworowski, Moraczewski i Biniszkiewicz. W poszukiwaniu propagandowego złotego środka ustalono, że partia nie będzie występowała przeciwko rządowi, za to będzie się domagała uwzględnienia w jego programie postulatów klasy robotniczej i usunięcia ministrów reprezentujących „sfery reakcyjne”. Jak pisał historyk Seweryn Ajzner, „fracy” powoływali się „jednym tchem na Marksa, Engelsa i Lassalle’a, na Jodko-Narkiewicza i Piłsudskiego, głosili walkę klasową, a jednocześnie nawoływali do »ręczowego« stosunku do rządu”.

Przeciąganie radnych

Choć na katowickim kongresie Jaworowski szumnie zapowiadał, że PPS-dFR będzie wkrótce najpotężniejszą partią socjalistyczną w Polsce, skala rozłamu okazała się

mniejsza od oczekiwań. Pod sztandary nowej organizacji przeszło tylko 10 z 63 posłów PPS, wśród nich byli ministrowie Marian Malinowski i Medard Downarowicz, prezydent Lublina Antoni Pączek i wiceprezes związku zawodowego nauczycieli Julian Smulikowski. Również większość działaczy samorządowych opowiedziała się po stronie PPS, choć w niektórych miejscach „frakom” udało się zdobyć znaczne wpływy. Do PPS-dFR wstąpił np. prezydent

do słownych sporów, ale i do brutalnych konfrontacji fizycznych z użyciem noży i broni palnej. Szczególnie aktywna była tu pozostająca pod rozkazami Jaworowskiego niestawna bojówka Józefa Łokietka i Łukasza Siemiątkowskiego – „Taty Tasiemki”.

Szybko okazało się, że „fracy” nie są w stanie stworzyć w ruchu robotniczym realnej konkurencji dla PPS. W wyborach do parlamentu w listopadzie 1930 r. partia poniosła spektakularną klęskę. Mimo że startowała

Pomiędzy dawnymi towarzyszami dochodziło do brutalnych konfrontacji fizycznych z użyciem noży i broni palnej.

Żyrardowa Edmund Orlik, pociągając za sobą 10 z 16 tamtejszych radnych socjalistycznych. Fiaskiem natomiast zakończyły się próby zwerbowania partyjnych liderów, m.in. marszałka Sejmu Ignacego Daszyńskiego i prezydenta Łodzi Bronisława Ziemięckiego, którzy mimo początkowych wahań zdecydowanie opowiedzieli się przeciwko rozłamowcom. Pomiędzy dawnymi towarzyszami dochodziło nie tylko

z numerem 2, czyli z tradycyjnym numerem list wyborczych PPS, otrzymała ledwie 74 tys. głosów, co dało jej 0,65% poparcia, i nie uzyskała ani jednego mandatu. Nie pomogły ulotki przekonujące, że PPS-dFR to jedyny w tych wyborach komitet socjalistyczny. Nic nie dały bezpardonowe ataki na Centrolew, w ramach którego startowała PPS, nazwany przez „fraków” „listą zdrajców socjalizmu, połączonych z czarną reakcją”. Ani ▶



Tak przywódców PPS-dFR przedstawiał satyryczny „Cyrulik Warszawski”, 1929 r.

▶ nawet nieśmiało głosy krytyki wobec rządu i ostrzeżenia, że w wypadku nieuwzględnienia przez obóz władzy postulatów robotniczych PPS-dFR przejdzie do „ostrej opozycji i wyprowadzi ludzi na ulicę”. Przewidując tę porażkę, część „fraków”, m.in. Malinowski, Smulikowski i Pączek, przeznornie wystartowała do Sejmu z list BBWR, dzięki czemu udało im się zachować mandaty poselskie.

PPS-dFR znalazła się na marginesie życia politycznego. Moraczewski rozszedł się z partią i skupił na działalności w prorządowych związkach zawodowych. Biniszkievicz wystartował z listą PPS-dFR do Sejmu Śląskiego, ale uzyskał podobnie fatalny wynik jak jego towarzysze w wyborach ogólnopolskich. W 1931 r. stanowisko przewodniczącego warszawskiej rady miejskiej utracił Jaworowski. Partia, choć pozbawiona dotychczasowych wpływów

i znacząco osłabiona kadrowo, starała się zachować polityczną samodzielność. Nie połączyła się ani z BBWR, ani z założonym później Obozem Zjednoczenia Narodowego. Sanacyjna władza, świadoma słabości PPS-dFR, sama zresztą nie przejawiała już większego zainteresowania wspieraniem tego projektu. Pomysł przejścia przy pomocy „fraków” kontroli nad ruchem robotniczym okazał się niewykonalny.

Bolesna weryfikacja

Mimo porażek PPS-dFR przetrwała aż do upadku II RP. I, jak pokazał np. 1 Maja 1938 r., wciąż udawało jej się gromadzić na ulicach całkiem sporo zwolenników. Nawet po kilka tysięcy ludzi wzięło wtedy udział we „frackich” pochodach zorganizowanych w Warszawie, Łodzi czy Jaworznie. „Manifestowaliśmy nie

tylko w imię naszych haseł gospodarczych, lecz też w imię walki z faszyzmem – przemawiał w stolicy były poseł Adam Szczypiorski. – Walka z faszyzmem będzie ułatwiona, jeżeli państwo zlikwiduje bezrobocie, głód i nędzę”. Wśród postulatów podnoszonych wówczas przez PPS-dFR znalazły się m.in. skrócenie czasu pracy do 36 godzin tygodniowo, program robót publicznych i budowa tanich mieszkań.

Bolesną weryfikację popularności partii przynosiły wybory. Stolica była postrzegana jako bastion „fraków”, ale w wyborach samorządowych w grudniu 1938 r. udało im się tam zdobyć zaledwie 1,6% głosów. W oficjalnych deklaracjach nie tracono jednak wiary w cudowne odrodzenie się organizacji. „Choć przegraliśmy bitwę o Radę Miejską w Warszawie, wojnę o Polskę i jej przyszłość wygramy”, zapewniało pismo „Walka”, organ prasowy PPS-dFR. W rzeczywistości partia znalazła się w ślepym zaułku. Utraciła łaski sanacji, a obóz władzy, zamiast realizować postulaty lewicy, po śmierci Piłsudskiego przesunął się jeszcze bardziej na prawo. Zrywając z PPS, rozłamowcy spalili za sobą mosty i trudno było liczyć na ponowne podjęcie współpracy. Pozostała im karkołomna propaganda, która cichnącym głosem usiłowała przekonać, że to „fracy” realizują testament Piłsudskiego – „największego geniusza, jakiego Polska wydała”.

Co kierowało tymi socjalistami, którzy dawnemu przywódcy PPS pozostali wierni do samego końca? Dla wielu kluczowe były uwielbienie dla Piłsudskiego, lojalność ciągnąca się od czasów konspiracji i okresu legionowego. Innych w szeregi „fraków” pchał koniunkturalizm, chęć zapewnienia sobie korzyści poprzez związanie się z obozem władzy. Byli też tam ludzie szczerze ideowi, przekonani, że wspieranie sanacji naprawdę służyć może interesom klasy robotniczej. W powszechnej opinii PPS-dFR postrzegana była jednak przede wszystkim jako nieudana dywersja obozu władzy mająca na celu rozbięcie czołowej siły opozycji.

Przemysław Kmieciak

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Sympatyczny przyjaciel Hitlera

Jak czarna chmura wisi nad nami groźba inwazji Rosji na Ukrainę, przystania nawet nasze żałosne polskie dramaty. A tu sporo się dzieje. Prezes już nie panuje nad swoim gospodarstwem. Prezydent uwierzył, że jest niezależny, i nie chce być marionetką pociągana za sznurki, marzy mu się kariera międzynarodowa, podobno od lat nie widział się z prezesem. Ten wymyślił go na prezydenta, a tu taka niewdzięczność. Duda widzi, że polityka prezesa wobec Unii to głupota, a utrata miliardów euro przez Polskę to szaleństwo. Te pieniądze blokuje upór Kaczyńskiego i radykalizm paranoika Ziobry, na którym wisi większość sejmowa PiS. Ziobrze marzy się Polska poza Unią. Prezes nienawidzi Ziobry, ale jest od niego w parlamencie zależny. Morawiecki zdaje się grać razem z Dudą, przeciw Ziobrze i prezesowi; premier słabnie, a nie chce stracić władzy. Co mu tak na niej zależy? A zależy, bo władza to podobno narkotyk. Ja tego nie rozumiem, ale podobno tak jest. PiS to teraz kłębowski konfliktów. Jedyne, co trzyma jeszcze razem prawicę, to przerażenie na myśl o wyborach i utracie władzy. Jak nie mieć teraz nadziei, choćby umiarkowanej, że ich szlag trafi?

PiS od początku swojej kadencji przejmuje kolejne instytucje. Duże i małe, tysiące ich, nawet biblioteki i domy kultury. Przejęli już Muzeum II Wojny Światowej, Zachętę – Narodową Galerię Sztuki, Instytut Adama Mickiewicza, Instytut Książki i Filmotekę Narodową – Instytut Audiowizualny. Powinno się robić listę tych wrogich, bandyckich przejęć. Najazd barbarzyńców. Jak potem czyścić te tajnie Augiasza? Nie wykluczam, że niektórzy najemnicy sprawdzają się na tych stanowiskach. Ale z powodów moralnych trzeba będzie ich usuwać.

Czytam kilka książek naraz, czasami to męczące, ale jakoś nie umiem inaczej. Już jestem w połowie biografii Nikity Chruszczowa, bardzo na czasie lektura, klucz do rosyjskiej duszy, zmiażdżonej przez historię. Putin wyłonił się z tej miazgi. I czytam dziennik Alberta Speera, głównego architekta Hitlera, potem ministra zbrojeń. Fascynująca lektura. Coraz bardziej lubię tego człowieka, a to sympatia perwersyjna, był przecież zbrodniarzem hitlerowskim. Pisał dziennik potajemnie w więziennej celi, na skrawkach papieru toaletowego, chował te zapiski do buta. Potem je przemycił. W taki partyzancki sposób udało mu się napisać zwarty dziennik, ze wszystkimi zalecaniami, jakie może mieć dziennik, niezwykle ciekawy dokument, ale też dobra literatura. Jest tam surowe mięso codziennego

więziennego życia, bagatelka 20 lat, a także ciekawe intelektualne rozważania, interesujące myśli o sztuce. I w końcu Speer nieustannie wraca do przeszłości. Bez-cenne są opisy Hitlera, spotkań z nim, rozmów, przez 12 lat był przecież najbliższym mu człowiekiem. Zastanawia się, jak mógł stracić głowę dla tego potwora, stać się częścią zbrodniczej maszyny i służyć podbojowi świata. Był dobrym architektem, projektował ogromne budowle, które miały zaspokoić manię wielkości Hitlera, ale był również znakomitym organizatorem, został ministrem zbrojeń i to jego zasługa, że wielka maszyna produkująca broń tak świetnie funkcjonowała, napędzana pracą milionów robotników przymusowych. W więzieniu, w berlińskim Spandau, Speer pielęgnuje warzywa i kwiaty. Oprócz niego jest tam jeszcze sześciu zbrodniarzy, którzy uniknęli kary śmierci, np. skazany na dożywocie zwariowany Rudolf Hess czy Karl Dönitz. Między nimi też wiele się dzieje, jak to w grupie więźniów. Speer ma chyba szczere poczucie winy, zasłużył na 20 lat więzienia,

To niezwykle, że inteligentne, a nawet prawe umysły potrafią dać się zaczarować kreaturom.

sąd był w sumie dla niego taskawy. To niezwykle, że inteligentne, a nawet prawe umysły potrafią dać się zaczarować kreaturom. Speer cały czas szuka klucza do tej zagadki. Niespodzianka, że czytając te dwie książki, widzę jak na dłoni, że Hitler jawi się jako bardziej ludzki od Stalina. Spytałem o to kiedyś z pewną obawą, że to naiwne pytanie, Alana Bullocka, znakomitego biografa Stalina i Hitlera. Tak, powiedział, wedle piekielnych miar Hitler był bardziej ludzki od Stalina.

Lex Czarek przegłosowano w Sejmie. Dyrektor szkoły lub placówki będzie miał obowiązek uzyskać pozwolenie od kuratora na zajęcia prowadzone przez stowarzyszenia lub organizacje. Czarnek twierdzi, że rodzice uzyskali teraz prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnym światopoglądem. Prawda jest taka, że endeckie myślenie będzie odgórnie propagowane w szkołach. Miałem sporo spotkań z uczniami, nie mam jasności, czy teraz na takie spotkania będę potrzebował aprobaty pisowskiego kuratora. Jak się zdaje, nie jestem stowarzyszeniem ani organizacją, ale na pewno sączę do uszu dzieci liberalną ideologię, LGBT, ruję i porubstwo.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Szperanie w Drodze Mlecznej

Astronomowie przewidują, że w ciągu 5-10 lat odkryjemy ślady życia w kosmosie

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Jest pani współautorką nowej teorii powstawania planet. Czy ta teoria burzy dotychczasowe ustalenia w kwestii rodowodu planet, w tym Ziemi?

– Nie do końca. Ta teoria nie wywraca wszystkiego do góry nogami, ale to, co robimy, wpisuje się w szeroki kontekst zmiany paradygmatu powstawania planet i Układu Słonecznego. Okazuje się, że klasyczna teoria powstawania planet z lat 80. XX w. przyjęła pewne nieprawdziwe założenia. Uznano wtedy, że pas planetoid oraz pas komet, zwany Pasem Kuipera, są pozostałościami po procesie formowania się Układu Słonecznego i ich zawartość niejako reprezentuje warunek początkowy formowania się planet. Asteroidy i komety uznano za tzw. planetozy-male, pierwsze grawitacyjnie związane obiekty, i założono, że cały dysk wokółsłoneczny był wypełniony takimi planetozymbalami. Obecnie wiemy, że to nie planetozy-male, ale małe, centymetrowe czy milimetro-we kamyczki utrzymywane razem dzięki siłom nie grawitacji, lecz powierzchniowym, były podstawowym budulcem planet. Wokół młodego Słońca istniał dysk złożony z gazu i takich kamyczków. W odpowiednich warunkach tylko w niektórych miejscach mogły z tych kamyczków powstać planetozy-male, które później rosły do rozmiaru planet poprzez zbieranie, czyli naukowo mówiąc akrecję, takich kamyczków.

To jednak duża zmiana w pojmowaniu genezy naszego bytowania. A jak wypatrzyliście z Ziemi takie maleńkie, centymetrowe kamyczki wokół młodych gwiazd?

– Jest wspaniały instrument, interferometr wielkobazowy ALMA, czyli wiele czułych anten rozlokowanych



DR JOANNA DRAŻKOWSKA

– astronomka pracująca na Uniwersytecie Ludwika i Maksymiliana w Monachium

na płaskowyzu Atakama w Chile, który odbiera promieniowanie z dysków wokół formujących się gwiazd na falach milimetro-owych. Pierwsze obrazy takich dysków w wysokiej rozdzielczości pchnęły do przodu badania teoretyczne. I jest jeszcze jedna rewolucyjna informacja – w Galaktyce odkryliśmy wiele pozasłonecznych układów planetarnych.

Mamy około 5 tys. jeszcze niepotwierdzonych kandydatów na planety.

Wiadomo już, ile ich jest poza naszym Układem Słonecznym?

– Strona prowadzona przez NASA podaje, że obecnie mamy 4914 potwierdzonych egzoplanet. Badania i poszukiwania trwają, dzisiaj mamy ok. 5 tys. jeszcze niepotwierdzonych kandydatów na planety. Szacuje się, że każda gwiazda w Drodze Mlecznej

ma średnio przynajmniej jedną planetę. Co ciekawe, połowa gwiazd ma przynajmniej jedną planetę typu superziemia, tzn. ze skalistym jądrem i atmosferą wodorowo-helową stanowiącą ok. 10% masy planety. Z tego wynika, że nasz Układ Słoneczny jest nietypowym układem planetarnym, bo nie ma ani jednej superziemi.

I już nie będzie jej miał?

– Słońce jest starą gwiazdą, ma 4,5 mld lat, i tu nic nowego nie powstanie, ale w Galaktyce, choć przeważają w niej gwiazdy stare i układy starsze nawet dwukrotnie od Układu Słonecznego, są też młode, dopiero się formujące. Dzięki temu możemy badać proces tworzenia się planet. Oczywiście towarzyszy nam pytanie, jakie te planety mają właściwości. Ziemia ma jądro ciągle płynne i gorące, co jest powiązane z jej polem magnetycznym. Dzięki temu polu magnetycznemu nasza planeta jest przyjazna dla istot żywych, nadaje się

do zamieszkiwania. Jednak nie do końca rozumiemy, jaka jest szansa znalezienia w kosmosie innych planet o podobnych cechach.

Już niejedną raz wysyłałmy w kosmos sygnały, licząc, że ktoś je odbierze.

– Nikt się nie odezwał, ale wielu astronomów usilnie poszukuje życia poza Ziemią i panuje wśród nich opinia, że w ciągu najbliższych 5-10 lat możemy odkryć warunki odpowiednie dla życia na którejś planecie pozastłonecznej. Nie spodziewamy się raczej kontaktu z fantastyczną obcą cywilizacją, ale liczymy na to, że danych o życiu dostarczy obserwacja atmosfer egzoplanet. Pomóc ma nam kosmiczny teleskop Jamesa Webba, który niedawno udało się wprowadzić na orbitę okołosłoneczną.

A w atmosferze będą jakieś znaki?

– Obserwując w pewnym przedziale czasowym atmosfery planet, można będzie wydedukować, że na którejś jest życie. W atmosferze ziemskiej są „biosygnały”, bo istnieje pewna chwiejna równowaga chemiczna, np. rośliny pobierają dwutlenek węgla, a oddają do atmosfery tlen, są też liczni producenci dwutlenku węgla, którzy żywią się tlenem. Skład atmosfery zdradza, że na Ziemi istnieje życie. Badanie innych planet może przynieść podobne wnioski.

Sumowanie spostrzeżeń i danych z prawie 5 tys. znanych już planet wymaga ogromnych baz komputerowych i zdolności przetwarzania tych informacji.

– Z pewnością nie da się tego zrobić na kartce ani na kalkulatorze. Posługujemy się komputerami najnowszej generacji, stosujemy wyrafinowane oprogramowania. Korzystam np. z kodu LA-COMPASS, który stworzono w Los Alamos, słynnym amerykańskim laboratorium, w którym zbudowano pierwszą bombę atomową. Ten kod jest użyteczny do badania tego, co się dzieje w gazowych i pyłowych dyskach obok młodych gwiazd.

Czy to znak, że wyzwalanie energii z rozbicia jąder jest podobne do przemian zachodzących w kosmosie?

– Problemy różnią się głównie skalą. W uproszczeniu można powiedzieć, że od fizyków nuklearnych i astrofizyków wymaga się takich samych umiejętności naukowego rozwiązywania problemów. My np. stosujemy do modelowania gazowych i pyłowych dysków metodę Monte Carlo, którą stworzył Stanisław Ulam, polski matematyk, także zaangażowany w budowanie bomby atomowej i wodorowej.

W Galaktyce przeważają stare gwiazdy, ale są też młode, dopiero się formujące.

Cofnijmy się trochę w czasie – jeszcze nie tak dawno w ogóle nie wiedzieliśmy nic o planetach poza Układem Słonecznym. Dopiero prof. Aleksander Wolszczan dokonał znaczącego odkrycia.

– Tak. Na początku lat 90. zaobserwował on po raz pierwszy planety krążące wokół pulsara, czyli szybko obracającej się gwiazdy neutronowej. Były to więc jakby planety drugiej generacji, które przetrwały wybuch supernowej albo powstały po etapie supernowej. Choć Wolszczan był odkrywcą pierwszych planet poza Układem Słonecznym, Nagrodę Nobla w 2019 r. otrzymali Michel Mayor i Didier Queloz, odkrywcy typowych planet pozastłonecznych, formujących się w najwcześniejszych etapach życia gwiazdy z materii pyłowej i gazowej. Rozpoczęli oni główny trend odkrywania planet w dużej liczbie, planet okrążających „zwykłe” gwiazdy.

Widać, jak blisko Nobla z fizyki był Polak. I to on utorował drogę kontynuatorom.

– Miałam szczęście słuchać ostatnich wykładów prof. Aleksandra Wolszczana na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie zrobiłam licencjat i magisterium. I to postać profesora była jedną z inspiracji do podjęcia pracy naukowej w tej dziedzinie.

W koncepcji powstawania planet, nad którą pani pracuje, pojawia się termin linia śniegu.

– Planety powstają z dysku złożonego z gazu wodorowo-helowego okrążającego gwiazdę. Partie bliższe gwiazdy są dużo cieplejsze, tu pojawia się para wodna, a poza nią mamy wodę w stanie stałym, czyli lód. W środku, właśnie na linii śniegu, jest odpowiednie miejsce do tworzenia się załazków planet, czyli planetozymali.

Jest pani laureatką nagrody Polskiego Towarzystwa Astronomicznego, otrzymała pani też inne prestiżowe wyróżnienia. Pani prace doczekały się już 660 cytowań, czy to dużo?

– W tej chwili ta liczba przekroczyła już 700, ale to nie żaden rekord, choć gremia przyznające nagrody i granty na badania zwracają uwagę także na ten wskaźnik. Obecnie pracuję w Obserwatorium Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium w zespole prof. Tila Birnstiela, ale niebawem stworzę własny zespół badawczy dzięki pięcioletniemu grantowi, który niedawno przyznała mi Europejska Rada ds. Badań Naukowych.

Życzymy więc dalszych sukcesów i wspaniałych odkryć.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

**Czy Kościół katolicki w Polsce może splajtować?
Odpowiedź w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.**



Śmierć na Nilu

reż. Kenneth Branagh, prod. USA/Wielka Brytania, już w kinach

Hercules Poirot powraca, ale zanim oszołomi nas prędkością działania swojego umysłu, musimy zdzierzyć usypiającą długą i nudną ekspozycję, z której o bohaterach dowiadujemy się niewiele, relacje pomiędzy nimi są ledwie zarysowane. Dopiero gdy dojdzie do pierwszego morderstwa, coś zaczyna się dziać. „Śmierć na Nilu” grzeszy także



tym, że jest adaptacją okrutnie grzeczną. A przecież proza Agathy Christie była pełna przekąsu, obśmiewała skostniałą etykietę mieszczaństwa, klasizm oraz inne uprzedzenia bogaczy, co świetnie koresponduje z dzisiejszymi nastrojami. Niestety, w filmie Branagha (reżyser gra też główną rolę) są tego jedynie echa, które zdecydowanie za słabo wybrzmiewają.

Artur Zaborski

**Rampa Travel**

Michał Walczak konsekwentnie idzie w stronę stworzenia nowej szkoły musicalu, zakotwiczonego w lokalności, a jednocześnie otwartego na świeże idee. Pandemiczna nerwica skierowała jego myślenie ku „art turystyce”, nowej gałęzi w branży rozrywkowej, dającej wytchnienie i luz, ale i skłaniającej do myślenia. Obejmując dyрекcję Rampy, Walczak nie tylko deklarował, że wiąże program z tradycją i dorobkiem tego miejsca. Jego pierwsza premiera nawiązuje do narodzin Teatru na Targówku, do niezapomnianego okresu, kiedy teatrem kierował Andrzej Strzelecki. Ale i do rodowodu zespołu, który w sporej części składa się z „ocaleńców” z rozwiązanego Teatru Nowego Adama Hanuszkiewicza. Rampa zrobiła pierwszy dobry krok w nowym wydaniu – odnajdziemy tu rytm i pomysły rodem z „Pożaru w Burdelu”, który zmodyfikował sposób uprawiania kabaretu i musicalu.

Tomasz Miłkowski

„Grand Musical Hotel”, scenariusz i reżyseria Michał Walczak, muzyka Marta Zalewska, Teatr Rampa na Targówku, premiera 19 grudnia 2021



Krzysztof Domaradzki
Przełęcz
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

Tragedia na Przełęczy Diatłowa do dziś rozpala wyobraźnię. Dla autora trylogii kryminalnej o komisarzu Kawęckim i thrillera „Sprzedawca” okoliczności śmierci radzieckich turystów na zboczach góry Chofatczachl stają się tematem wciągającego kryminału. Domaradzki umiejętnie prowadzi czytelników pomiędzy dwoma planami czasowymi, opisując losy wyprawy z 1959 r. i działania śledczych, którzy po ponad 60 latach na nowo badają sprawę. Z wielu możliwości wyjaśnienia zagadki i sposoby myślenia o tragedii. Zarazem pokazuje, że chociaż Związek Radziecki i Rosja to formalnie dwa różne państwa, metody działania władz, szczególnie na dalekim Uralu, nie bardzo się zmieniły. „Przełęcz” opowiada o rosyjskiej duszy, tyleż tajemniczej, co nieokiełznanej, która pcha do tragedii.

Rafał Pikuta

Diane Setterfield
Czarne skrzydła czasu
tłum. Magdalena Słysz
Albatros, Warszawa 2022



Było Wszystko dla Pań, tu mamy Wszystko dla Żałobników – pogrzebowy dom towarowy Bellman & Black. Obsesyjnie przemyślaną, perfekcyjną świątynię żałoby. Bellman, utalentowany innowator i przedsiębiorca, zaczynał jako pomocnik stryja w zarządzaniu fabryką tkanin, a skończył jako bogacz lękający się czasu wolnego i bliskości. Jego skuteczność w interesach jest magiczna, za to życie – naznaczone nieszczęściem. Śmierć krąży wokół niego, uderza raz dalej, raz bardzo blisko, boleśnie, ale też jakby torując mu drogę do majątku. A Black? Postać ze świata tajemnic, symbolizowanego w różnych kulturach przez kruka. Nieprzekupne fatum? Zjawił się wystawić rachunek za akt bezmyślnego dziecięcego okrucieństwa? Lepiej nie zadzierać z krukami. Autorka tym razem stworzyła wręcz odę do tych ptaków, bogatą jednak w wiedzę o wółkiennictwie i handlu epoki wiktoriańskiej.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolewicz

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Przewodniczka ze stoczni

Miasta otwierają się na różne sposoby: najpierw mapujemy dwa, trzy ulubione miejsca i rozpoznajemy kilka ulic, które do nich prowadzą. To mogą być np. teatry albo mieszkania przyjaciół. Wiadomo, bruk jest najbardziej wyświecony wokół zabytków i tej czy innej centralnej fontanny. Współczesny turysta nadal orientuje się za pomocą gwiazd, ale są to gwiazdki w internecie – prowadzą do konkretnych restauracji. Ale i tak największą przyjemność z poznawania nowego miasta mają ci, którzy się do niego przenoszą. Towarzyszy im świeżość i patos punktu zero – zaczynają od nowa. O fantazjach na temat „czasu zaczynania” pisał Rüdiger Safranski: „W każdym prawdziwym początku tkwi szansa na zmianę. Człowiek chce się uwolnić od więzów przeszłości – od swej historii, tradycji, tysiąca rzeczy, w które jest uwikłany”.

Do Gdańska przyjeżdżam na tyle często, że mogę zapuszczać się w dalsze dzielnice albo do parków. Rytuałne chodzenie po starym mieście i muzeach mam już zaliczone. A jednak nigdy wcześniej nie doszłam do końca szlaku spacerowego od „old town” do Europejskiego Centrum Solidarności. A jest to wyjątkowa trasa, przy szerokim korycie Motławy – od pewnego momentu zupełnie pusta. Kiedy kończą się przybrzeżne knajpki, mija się karuzelę, a potem apartamentowce, dalej jest już tylko betonowy płot z pracami graffitiarzy. Ale po prawej stronie cały czas widać wodę, a z daleka statki i przemysłowy krajobraz po drugiej stronie. Kiedy kończy się beton, dostrzegamy także koniec drogi. Wydaje się, że dalej jest tylko błoto. Do ECS szłam zawsze od strony centrum. Pusta betonowa droga musiała wydawać mi się w pewnym momencie nużąca, skoro zawsze zawracałam. A może trochę się bałam, bo naprawdę rzadko ktoś tamtędy chodził, w każdym razie poza sezonem.

Tym razem co jakiś czas widziałam przed sobą postać w żółtej kurtce; czasem przystawała, żeby zrobić zdjęcie. Nawet z daleka było widać, że aparat ma solidny, ciężki obiektyw. W pewnym momencie postać całkiem zniknęła mi z pola widzenia. Zachmurzyło się i wiatr stał się trudny do zniesienia. Nad starym miastem pewnie już lało. Pomyślałam, że jest za późno, przed deszczem nie ucieknę, i poszłam dalej, w stronę, że tak powiem, błota. Tym bardziej że wielki, żółty napis głosił: „TEREN PRYWATNY. ZAPRASZAMY”. Minęłam kępki mchu, betonowe koła,

olbrzymie kałuże i wkrótce zostałam nagrodzona: obok ceglanego budynku stał stoczniowy żuraw, a wokół niego wysokie metalowe rzeźby zbudowane z odpadów postindustrialnych. Antropoidalne rzeźby roboty i rzeźby zwierzęta: quasi-strusie, zombie-krokodyle, trochę psy. Metalowe kółka kręciły się na wietrze. Wyjęłam telefon, żeby zrobić zdjęcie, ale aparat natychmiast zamókł. Kątem oka zobaczyłam dziewczynę w żółtej kurtce. – Jeśli nie chce pani zmoknąć, może pani schować się w tamtej hali, jest otwarta! – zawołała i spojrzała w stronę stoczni. A potem weszliśmy między budynki.

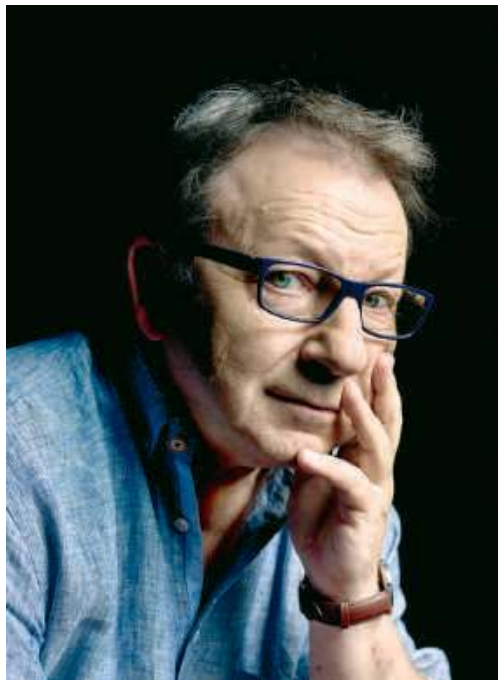
Natychmiast zapominałam o deszczu i teraz nie pamiętam nawet, w którym momencie przestał padać. Następne dwie godziny spędziłam z dziewczyną, która opowiedziała mi historię słynnych nitowanych drzwi, podwórek, hali silników i narzędziowni. Pokazała mi zabytkową fasadę hali formiarni i ślusarni. Zaprowadziła na podwórze, które zachowało wygląd XIX-wiecznej stoczni – z oryginalnym brukiem i fragmentem przemysłowego torowiska. Potem obejrzałyśmy katamaran, który stoczniowcy

naprawiali w czynnej, otwartej hali. Bo w stoczni zabytkowe przestrzenie sąsiadowały z pełnymi życia halami, gdzie robotnicy wykonywali cięższe i lżejsze prace. Ja zapuszczałam żurawia do hal, ona opowiadała historie pracowników, np. suwnicowych i spawaczek.

Opowiedziała mi też o słuchowisku „Stocznia jest kobietą” (po powrocie do domu na stronie projektu „Metropolitanka” wysłuchałam opowieści samych pracowników). Kiedy stałyśmy na moście pontonowym, nagle wyszło słońce. Było piątkowe popołudnie i stoczniowcy po pracy przechodzili na drugą stronę.

Dziewczyna, opowiadając o dokach i remontach dna statków, dała mi znak, żebym szła za nią dalej. Znalazłyśmy się w ECS i po chwili byłam już w windzie. Z dachu, który jest zaniedbywanym przez turystów punktem widokowym, oglądałam Gdańsk. Zapytałam tę charyzmatyczną dziewczynę, jak ma na imię i kim jest. Kasia Tarnowska, przewodniczka. Między innymi po stoczni, np. śladami pracujących tam kobiet. Patrzyłam na przewodniczkę Kasię i dobrze myślałam o ludziach: po prostu poświęciła mi czas w pewien deszczowy dzień w lutym. Ta ciepła, wspaniała osoba. Polecam więc Państwu spacer z Kasią Tarnowską i jej Instagram „ciekawygdańsk”, gdzie można się z nią skontaktować i zamówić taki spacer.

Współczesny turysta nadal orientuje się za pomocą gwiazd, ale są to gwiazdki w internecie.



Mały Rycerz i mit Łomnickiego

Stracić rolę przez konia?!
Nie wybaczyłbym sobie tego
do końca życia

**ZBIGNIEW
ZAMACHOWSKI**

Rozmawia Beata Nowicka

Po „Panu Wołodyjowskim” z 1969 r. i „Potopie” z 1974 Jerzy Hoffman wiele lat zbierał siły i pieniądze na ekranizację „Ogniem i mieczem”, ostatniej części Trylogii Henryka Sienkiewicza. Jak wiemy, kolejność pisania Trylogii była odwrotna.

– Trylogia zaczyna się dla mnie w zamierzczym dzieciństwie, kiedy Telewizja Polska zaczęła emitować czarno-biały serial „Przygody pana Michała”. Gdy kończył się kolejny odcinek przygód pana Wołodyjowskiego, wszyscy chłopcy wybiegali na podwórkę, większość miała przygotowane kijaszki, reszta musiała szybko je zorganizować. Te kijaszki stawały się szablami, którymi ostro się napierdzielaliśmy. Oczywiście każdy był Wołodyjowskim. Byłem więc wolny od myśli, że może fajnie byłoby zostać aktorem i zagrać Wołodyjowskiego na ekranie. Dla mnie to już się dokonało na podwórku, przecież ja byłem ośmioletnim panem Michałem!

Miałem 36 lat, kiedy Jurek Hoffman zaczął przebąkiwać, że w końcu będzie robił „Ogniem i mieczem” i w roli Wołodyjowskiego widziałby mnie. Jurek jak Jurek, ale przede wszystkim jego żona Wala Hoffmannowa widziała mnie w tej roli, bo to

jednak Wala decydowała o obsadzie, mam nadzieję, że Jurek się nie obrazi. Więc obsadzili mnie oboje, Wala i Jurek. Łaska na mnie spłynęła. Epifania.

Było już po transformacji ustrojowej, nastały nowe czasy, wiedzieliśmy, że nie będziemy robić tego za pięć złotych, tylko za duże pieniądze. Banki dawały kredyty, było oczywiste, że to będzie wielka produkcja, jak onegdaj bywało. W każdym razie gdy okazało się, że film powstanie, nagle dotarło do mnie – a może ktoś mi to uświadomił – że będę musiał, proszę pani, jeździć konno...

**Ba, wspaniale jeździć konno,
Mały Rycerz urodził się przecież
w siodle.**

– I tu dopiero zaczęły się schody, gdyż jako student miałem obowiązek jeżdżenia latem każdego roku na kurs jazdy konnej. Pomysły tych, którzy za to odpowiadali, były odjazdowe. Na przykład na pierwszy obóz wysłali nas, absolutnie nieopierzonych debiutantów, do Bogusławic pod Wolborzem, do stada ogierów, zamiast do łajtowej stajni z łagodnymi konikami. Bogusławice to był idealny scenariusz na program: „Jak zniechęcić człowieka do jazdy konnej”. Pandemonium! Gdy na padok wyjeżdżało 12 koni, to po godzinie lekcyjnej dwa wracały z jeźdźcami. Te ogiery były nie do opanowania. Nie zapalałem więc miłością

do koni. Między drugim a trzecim rokiem pojechaliśmy do Borkowa, pod Kielce, i tam było trochę lepiej. Ale któregoś razu w samym środku jazdy mój koń stwierdził, że już bardzo dziękuje, dał z kopyta, rzucił mnie z zada i pokłusował sobie do stajni, a ja zostałem w środku lasu ze złamanym obojczykiem. Wtedy powiedziałem: nigdy więcej. (...) W związku z tym, co tu dużo mówić, na koniu ni cholery nie umiałem jeździć. I gdy nagle uświadomiłem sobie, że mam być dowódcą dragonów, uuuu, proszę pani...

Baleś się, że stracisz rolę?

– Nigdy bym do tego nie dopuścił. Stracić rolę przez konia?! Nie wybaczyłbym sobie tego do końca życia. Wyrzuciłbym to sobie jeszcze na łóżko śmierci.

Ale to nie wszystko. Kiedy ktoś mnie pyta, czy bałem się zagrać Wołodyjowskiego, głównie ma na myśli – zagrać po Mistrzu Tadeuszu Łomnickim. Oczywiście, że się bałem, wierzyłem jednak, że z mitem Wołodyjowskiego z pomocą Jurka jakoś dam sobie radę. Natomiast wejście na kobyłę... to mnie przerażało!

Sytuacja, przynajmniej na jakiś czas, rozwiązała się sama. Pół roku przed pierwszymi zdjęciami produkcja zmusiła mnie, żebym wreszcie poszedł na pierwszą lekcję jazdy. Trudno, chłopie – myślę sobie. Wziąłem buty, kurtkę, co tam było trzeba i z tętnem 125 poszedłem. Na Legii w Warszawie, gdzie odbywały się jazdy, jest kryty maneż, prowadzą do niego drewniane wrota. Zrobiłem głęboki wdech, otwieram wrota, żeby wejść, i widzę scenę jak z filmu: duży człowiek, który leci przede mną i wbija się głową w piach. To był

Wiktor Zborowski, który trenował jazdę na inflanckiej kobyle. Gdy go zobaczyłem, takiego Małysza w powiększeniu, frunącego, to jak wolno otworzyłem te wrota, tak je błyskawicznie zamknąłem i wróciłem do domu. Nie, nie i nie! Wszystkie moje najgorsze przeczucia właśnie się zwiuzualizowały.

Gdy pół roku później doszło do realizacji pierwszych scen, koń wciąż był dla mnie jedną wielką tajemnicą. Wiedziałem, że kluczowe sceny, w których umiejętność jazdy konnej była niezbędna, i tak będą realizowane dopiero na wiosnę. Na razie w większości scen jeździliśmy stępą albo staliśmy w miejscu. Do stałem dziesięcioletniego Atamana, na którym nakręciłem wszystkie te sceny statyczne. W końcu wchodzić na konia umiałem, siedzieć na nim również.

Raz zdarzyła się zabawna sytuacja, kiedy kręciliśmy niedoszłe pojmanie Bohuna. Scena wesela, wpada mój oddział – na szczęście ja nie musiałem wjeżdżać, tylko moi dragoni – robi zadymę i zawieruchę. Druga kamera była od dołu skierowana na mnie dowodzącego i krzyczącego: „Naprzód! Brać go!” na... stojącym koniu! W tym totalnym rozgardiaszu mój Ataman jak zwykle zachowywał stoicki spokój. Scena wyglądała słabo, więc reżyser wymyślił ją tak: ja siedziałem na koniu i machałem groźnie szablą, a pod końską szyją miotał się kaskader, który miał drugą parę wodzy i szarpał moim koniem na prawo i lewo. Biedny koń nie wiedział, o co chodzi, jeden człowiek pęta mu się pod kopytami i łbem, drugi siedzi u góry i podskakuje. Przeżywał chyba najtrudniejsze chwile w swoim końskim życiu. A na ekranie wygląda to oczywiście wspaniale.

Magia kina.

– Otóż to. Niestety, zdawałem sobie sprawę, że dzień, w którym trzeba będzie wsiąść na konia i jak mawiały moje dzieci, „na prawdziwie” ruszyć

galopem, w końcu nadejdzie. Nim nadszedł, w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej mieliśmy zdjęcia w kamienistym wąwozie. Kręciliśmy podjazd pod kryjówkę Horpyny w Czarcim Jarze. Styczeń, śnieg, bardzo ślisko, kamienie były obrosnięte mchem. Jechaliśmy stępą: Krzysiek Kowalewski, Wojtek Małajka i ja. Wojtek jeszcze ciągnął luźnego konia dla ukochanej Żebrowskiego, Izabelli Scorupco. Tak sobie kręciliśmy od rana i było różnie, konie się potykały, myśmy



Gdy okazało się, że powstanie „Ogniem i mieczem”, nagle dotarło do mnie, że będę musiał jeździć konno...

podskakiwali, a po południu koń Wojtka uznał w pewnym momencie, że dla niego dzień zdjęciowy już się skończył. Obrócił się do tyłu i galopem, po tych śliskich kamieniach, ruszył do bazy, widocznie śpieszył się na obiad. Wojtek opowiadał nam później, że instynktownie puścił luzaka, którego prowadził, i jakoś trzymał się na koniu do chwili, w której na środku ścieżki zauważył dość wysoką skałę. Wykoncypował, i słusznie, że w tym pędzie jego koń nie ominie

skąły, tylko będzie próbował ją przeskoczyć, i w galopie zeskokczył z konia. Szczęśliwie nie zabił się, niczego sobie nie złamał, tylko rozwalił kolano, natomiast koń na skałę rozplątał sobie brzuch, ale jakimś cudem go uratowano. Razem z ekipą widziałem tę scenę na własne oczy, co tylko pogłębiło mój lęk i przerażenie.

Przyszła wiosna, pojechaliśmy na poligon do Biedruska pod Poznaniem, gdzie został wybudowany fragment zamku w Zbarażu. I wtedy produkcja pięknie stanęła na wysokości zadania. Kajtek Frykowski, fantastyczny facet, producent i brat znanego producenta Wojtka Frykowskiego, widząc, jak poważny mam problem, znalazł dla mnie w stadninie pod Poznaniem osobistego trenera Romka Kusza i dwa konie, wytresowane i ułożone wyjątkowo przez niego. (...)

Codziennie po zdjęciach Romek zabierał mnie najpierw na krótkie przejażdżki na padoku, a kiedy zobaczył, że jakoś trzymam się w siodle, wypuścili mnie na otwartą przestrzeń. Dopiero wtedy, gdy miałem przed sobą kawał poligonu, który w filmie udawał stepy Ukrainy, poczułem, że jazda konna może być przyjemna. Mało tego, Romek wreszcie wytłumaczył mi, jak obchodzić się z końmi. Z dnia na dzień czerpałem z tego coraz większą radochę, coraz większą frajdę. (...)

Niektórym widzom nie podobają się w roli Wołodjowskiego. Pisali: „Kto i po jakich narkotykach

zezwolił Zamachowskiemu na granie Wołodjowskiego, największego napierdalacza w XVII-wiecznej Polsce?”. Wahałeś się, zanim przyjąłeś tę rolę?

– Ani przez sekundę. To było dla mnie oczywiste, że gram, i koniec. Przed rozpoczęciem zdjęć dotarła do mnie plotka, że może byłoby lepiej, gdybym zagrał Rzędziana. Może faktycznie Jurek i Wala znaleźli w pewnym momencie jakiegoś kontrkandydata? Nie wiem i już nigdy się nie ▶

► dowiem, szczęśliwie dla mnie i dla Wojtka Malajkata, który tego Rzędziana zagrał fantastycznie.

A swoją drogą zdawałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie dorównać panu Tadeuszowi Łomnickiemu chociażby w tym sensie, że on miał za sobą film zatytułowany „Pan Wołodyjowski”, gdzie był głównym bohaterem, osiłą całej opowieści. W „Potopie” już „tylko” wspaniale dopełnił dzieła. Kiedy przeczyta się „Ogniem i mieczem”, część, którą

kiedy Zagłoba, Podbięta i Wołodyjowski biesiadują, piją, jedzą i gardłują, że będą jechać na Kijów, na co wchodzi Rzędzian z nowiną, że wie, gdzie jest Helena, czyli Iza Scorupco. A potem następuje słynny incydent w wozie, w którym koń pożegnał się z Wojtkiem.

Miałem świadomość, że jedynym moim strzałem, dzięki któremu w jakikolwiek sposób mógłbym zaistnieć, jest pojedynek z Bohunem. Wykorzystując wyniesioną ze Szkoły Filmowej

reżyserem w tym filmie, nawet mi zwrócił na to uwagę na planie, ale było już za późno, żeby cokolwiek zmieniać. Przyszedł i powiedział: „Wiesz co, fajnie jest, ale cholera jasna, żeby ten twój Wołodyjowski miał więcej takiego młodzieńczego poczucia humoru. Bo to jest przecież najmłodszy z tych Wołodyjowskich”. I miał rację. Gdybym potraktował go z humorem (...), pewnie mogłoby być lepiej, bo wtedy byłby jakiś luz, nawias. Sam sobie teraz strzelam gola, ale robię to świadomie, bo obejrzałem ostatnio „Ogniem i mieczem” i mam różne przemyślenia.

Jakie?

– Choćby na temat Maćka Kozłowskiego, mojego nieżyjącego już kumpla ze studiów, który dostał rolę Krzywonosą. W scenariuszu ma parę zdań i pojawia się w kilku momentach, w związku z czym mógłby przemknąć niezauważony wśród 200 innych aktorów. A Maciek – jak to ładnie powiedział Wiktor Zborowski – ugotował zupę z gwoździa. Z niczego zrobił coś. Maćka tam widać i słyszeć, to jest zresztą ta słynna magia kina. Jeśli ktoś jest kimś, ma coś do powiedzenia, ma siłę, ekran natychmiast to tyknie i przeniesie dalej. (...)

Sienkiewicz napisał jako pierwszą, nietrudno zauważyć, że Wołodyjowski to postać drugoplanowa. Tak naprawdę niewiele o nim wiemy. Pojawia się w różnych kluczowych momentach, ale tylko dopełnia, a nie wypełnia ten świat. Film jest tego dokładnym odzwierciedleniem. Czyli już na starcie nie miałem narzędzi, żeby ktoś później powiedział: „O kurde, ale ten Zamachowski wymiata jako Wołodyjowski”. Nie. Nie ma tam ani miejsca, ani czasu, ani materiału.

W arcyważnych scenach, gdzie zapadają strategiczne decyzje podejmowane przez księcia wojewodę Wiśniowieckiego granego przez Andrzeja Seweryna czy w szerszym gronie, jesteśmy „kupą, mości panowie”. Wołodyjowski ma niewielkie wrzutki. Jedyną większą aktorską sceną, zresztą świetną i zabawną, jest scena,

umiejętność fechtunku, mogłem zostać zapamiętany. To było *clou*.

Mit Tadeusza Łomnickiego był dla ciebie obciążeniem?

– Trochę tak, na początku. Pomyślałem: „Jezu, jak to zagrać po Łomnickim?”. Jak to jak? Normalnie. Rozmawialiśmy o tym rzecz jasna z Hoffmanem i padło pytanie najprostsze: „Co robimy?”. Czy robimy nowego Wołodyjowskiego, czy robimy Wołodyjowskiego, którego już znamy? Odpowiedź była oczywista. Nawiązujemy do Wołodyjowskiego Łomnickiego. W związku z tym odtworzony w szczegółach kostium, w którym grał pan Tadeusz, siwy koń, moje próby ruszania wąsem itd. to wszystko było zrobione po bożemu. Z perspektywy czasu uważam, że trochę zabrakło mi dystansu, dowcipu. Adek Drabiński, który był drugim

Fragmenty rozmowy z książki Beaty Nowickiej *Zbyszek przez przypadki*, Znak, Kraków 2021





**OGÓLNOPOLSKI
TURNIEJ Małych
FORM SATYRYCZNYCH
BOGATYNIA 2022**

39. Czekamy na zgłoszenia!

KONKURS NA TEKST SATYRYCZNY – Teksty należy nadsyłać drogą elektroniczną (e-mail): do 20 kwietnia 2022 r. na adres: turniejlgarzy@gmail.com w temacie wiadomości należy napisać: „Turniej – tekst”. I nagroda – 3000 zł, tytuł „Księcia Łgarzy” oraz statuetka „Złotego Kosa”!

KONKURS NA SCENICZNĄ PREZENTACJĘ WŁASNYCH UTWORÓW SATYRYCZNYCH – Nadsyłanie utworów scenicznych - czas trwania do 15 minut - w formie multimedialnej (link do nagrania, lub nagranie wideo w formie załącznika do listu elektronicznego) wraz z kartą uczestnictwa należy przesyłać do 20 kwietnia 2022 roku na adres: turniejlgarzy@gmail.com z dopiskiem w tytule wiadomości „Turniej - zgłoszenie”. I nagroda – 5000 zł, tytuł „Króla Łgarzy” oraz statuetka „Kozła”!

„Pojedynek Gości o Nagrodę Publiczności”, to przegląd najciekawszych zjawisk na scenie kabaretowej i satyrycznej w kraju - odbędzie się 21 maja 2022 roku podczas Koncertu Finałowego w Bogatyni. Nagroda – 5000 zł oraz statuetka „Szczupłego Andrzeja” trafi do wybranych bogatyniowskiej publiczności.

Szczegółowe informacje dotyczące regulaminu konkursów oraz kartę uczestnictwa można znaleźć na stronie internetowej: www.turniej.com.pl.

**ZAPRASZAMY
Z UŚMIECHEM!**



Pani Profesor, chylimy czoła

Inflacja! Nie, nie chodzi nam o tę dokuczającą codziennie, która według GUS przekroczyła 9%, czyli w rzeczywistości jest dwucyfrowa. Otóż inflacji podlega tak kiedyś zaszczytny tytuł ambasadora. Nie tylko dlatego, że aby zostać przedstawicielem Polski przy głowie innego państwa, nie trzeba już mieć wyższego wykształcenia ani posługiwać się jakimkolwiek językiem obcym. Ambasadorami marki nazywa się obecnie celebrytki reklamujące biżuterię, sportowca reklamującego kosmetyki czy przedstawiciele stacji transmitującej sport. Ambasadorami kultury zwani są trzecio- czy czwartorzędni autorzy kryminałów.

Dlatego warto w tym miejscu napisać o prawdziwej ambasador kultury polskiej, i to na rynku liczącym kilkaset milionów czytelników. Pani profesor **Yi Lijun** zmarła 7 lutego. Przetłumaczyła na chiński m.in. dzieła Mickiewicza, Prusa, Sienkiewicza, Iwaszkiewicza czy Tokarczuk. Także Gombrowicza, Miłosza, Różewicza, Szymborską. Jej mąż, również absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Yuan Hanrong, fizyk, zmarł 14 miesięcy wcześniej. Był współtłumaczem książek Olgi Tokarczuk. Z inspiracji stowarzyszenia tłumaczy chińskich i ówczesnych dyplomatów wydziału kultury ambasady RP w Pekinie nasza noblistka odwiedziła Pekin w 2008 r.

Państwo profesorostwo studiowali w Warszawie w drugiej połowie lat 50. XX w. Pani profesor często potwierdzała, że były to najszczęśliwsze lata w jej życiu. Była doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Gdańskiego, w 2000 r. prezydent Kwaśniewski odznaczył ją Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi

Rzeczypospolitej Polskiej. Najbardziej ceniła sobie jednak nagrodę krakowskiego Instytutu Książki Transatlantyk dla wybitnego ambasadora literatury polskiej za granicą.

Na przełomie lat 60. i 70., przy lampie naftowej, na wsi w prowincji Liaoning, przetłumaczyła „Dziady”. Zostały opublikowane już po rewolucji kulturalnej. Pytana o losy swoje i męża podczas niej, odpowiada krótko: „Nie cierpieliśmy bardziej niż dziesiątki milionów innych Chińczyków”. Z niektórymi naszymi dyplomatami, sinologami była bardziej otwarta. Publikację tych wspomnień zostawiamy im, również ze względu na fakt, że są to dyplomaci jeszcze czynni. Pani Yi Lijun wychowała kilka pokoleń absolwentów polonistyki na Pekińskim Uniwersytecie Języków Obcych. Jest wśród nich pani profesor Wu Lan, która przetłumaczyła na chiński m.in. wszystkie książki Ryszarda Kapuścińskiego.

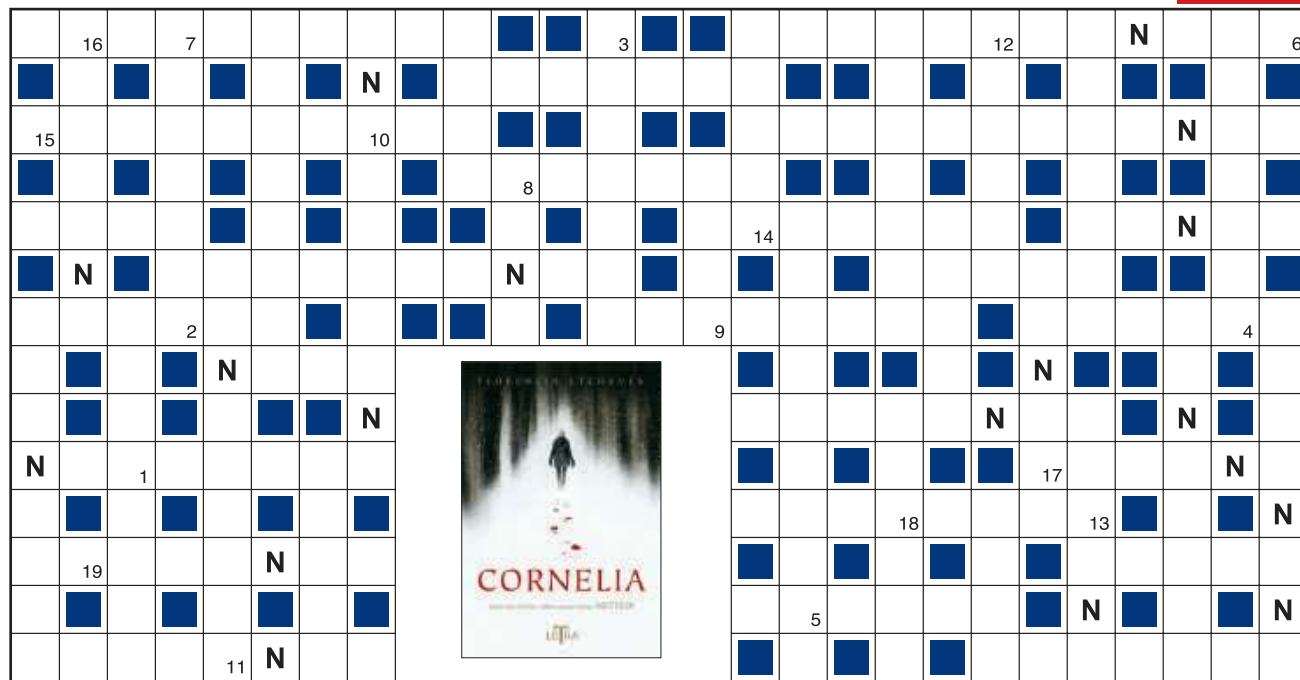
Państwo Yi Lijun i Yuan Hanrong byli gośćmi kolejnych ambasadorów RP przy ulicy Ritan Lu 1 przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Na spotkaniach, przyjęciach czy obiadach pojawiali się zawsze kwadrans wcześniej. To wymuszało punktualność nawet największych bałaganiarzy wśród ambasadorów.

W Pekinie jest kilka grobów Polaków. Nasi ambasadorzy wraz z innymi dyplomatami co roku 1 listopada składają na nich wiązanki kwiatów. Od 1 listopada 2022 r. odwiedzanych grobów powinno być o dwa więcej. I to powinien być stały element, niepodlegający inflacji.

Attaché

Każdemu pojazd według potrzeb. Wojska amerykańskie rozlokowują się w Mielcu, 15 lutego 2022 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- sprzedawane lub kupowane na GPW
- pod kopułą cyrku lata
- wojenny sojusznik
- żelazne – nie do podważenia
- ażurowa budowla ogrodowa
- miał charta Sokola

- mieszkaniec Karyntii, Styrii lub Salzburga
- z wodorem tworzy amoniak
- pękaty garnek lub pojemnik na wodę
- nastawiany, by nie zaspać

- gwałtowność debaty w Sejmie
- gruby koc jako okrycie konia
- istota wolontariatu
- „...i Psyche” Jerzego Żuławskiego
- chce załatwić sprawę w urzędzie
- ...pomarańczowa – stara odmiana jabłoni
- kiedyś służyła do uruchamiania auta
- typowe dla wron i pesymistów
- papiesko-wadowickie ciastko
- o urzędzie zajmującym się gospodarką lokalami

- ...Cavani, reżyserka „Nocnego portiera”
- zarabia na życie pisanie
- kobieciarz, uwodziciel
- David, reżyser „Mulholland Drive”
- chrześna tarcza w stawie kolanowym
- poprzeczna to transept
- cenna moneta w kolekcji
- tłum wali drzwiami i nimi
- Balaam jechał na niej do Moabu
- telefon + internet + telewizja
- dom dla proboszcza
- slugus jak stołeczek
- cała w bratkach
- srebrna moneta i klub piłkarski
- zachwalanie produktu

- kontrolny spis towarów w sklepie
- jedna z gier w kasynie
- czasem nazywany brodaczem monachijskim
- oblodzenie gruntu, nawierzchni ulic
- „kluczowe” zajęcie
- spiralnie skręcony makaron
- dawne przejście graniczne ...Frankfurt
- indiański to tomahawk
- inaczej wieloryby gładkoskóre
- kraj z Caracas
- czwarty to czas
- można znaleźć sobie ciekawe
- concertina na granicy
- stołówka to zakład zbiorowego

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1053”. Do rozlosowania książki „Cornelia” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer książki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 27 lutego 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1050” z nr. 6: Drogę wytycza się, idąc.

Nagrody otrzymują: Tomasz Chiliński z Warszawy, Oliwia Karpińska z Gorzowa Wielkopolskiego, Bolesław Nycz z Tarnobrzega.

PENETRACJE

KRAKÓW

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Kraków powinien się odbijać w świecie. I odbija się. Ale naszym zdaniem – za mało. Dlatego podejmujemy się misji „ukrakovienia” świata. W misję tę ruszamy z miesięcznikiem, który w tytule ma jedyny, malutki dopisek – właśnie ów „świat”. „Kraków i świat”. Bo mamy czym się pochwalić, ale też chcemy Krakowowi pokazywać, co z Polski, ze świata nawet jest najbliższe duchowi krakowskości. Ta decyzja zbiegła się z moim osobistym, krakowskim sukcesem. W grudniu 2021 r. prof. Jacek Majchrowski wręczył mi jedno z najważniejszych miejskich wyróżnień: Nagrodę Miasta Krakowa w dziedzinie kultury.

PANI

ANDRZEJ STASIUK,
PISARZ

Tak naprawdę proste rzeczy są w życiu najważniejsze. Kombinujemy, biegamy, potem się okazuje, że najważniejszy jest poranek, który nam świat daje. Dlatego, jak mnie pyta młodzież, co jest najważniejsze w życiu, to mówię, że wiara, nadzieja, miłość. A gdy pytają, skąd to wziętem, to im mówię, że z Pisma Świętego. Ja w życiu robiłem tylko te rzeczy, które mnie interesują. Nikt nie jest w stanie mnie zmusić do robienia czegoś, co mnie nie obchodzi. Kompletny egoizm i lenistwo.

wysokieobcasy

KAROLINA KORWIN-PIOTROWSKA,
DZIENNIKARKA

Był 2001 r., skończyły się zdjęcia do filmu „Pianista”, przy którym pracowałam w biurze prasowym, szukałam pracy. Zaproponowano mi ją w dziale zagranicznym powstającego właśnie tygodnika „Gala”. Było w redakcji takie miejsce, gdzie pracowali graficy i fotoedytorzy. Prezes wydawnictwa ściągał nas tam wszystkich i się darł. „Ty autystyczna polska świnią” – słyszała zarówno naczelna, jak i szeregową korektorka. Mówił „polska”, bo sam był Niemcem. Te wyzwiska, ale też podważanie kompetencji czy pokazy siły były na porządku dziennym, musieliśmy się podporządkować, bo inni przełożeni nie reagowali.

zwierciadło

OLGA BOŁĄDZ,
AKTORKA,
REŻYSERKA

Internet tych mniej doświadczonych prowadzi jak na smyczy. Jesteśmy zarzucani fejkami, pułapkami, które są dla kogoś po prostu czystym zarobkiem. Przecież to nic innego jak konsumpcjonizm doprowadził nas do punktu, w którym teraz jesteśmy. Nie ma żadnych barier, są tylko „fejm” i kasa. Serio? Ja nie chcę być followerem tego ścieku.

Aby język giętki...

PROF. JACEK RACIBORSKI
O LIDERACH LEWICY

Czarzasty i Biedroń wiedzą, że nie dokonali żadnego zjednoczenia lewicy, a to, co zrobili, to praktycznie unicestwili znaczącą siłę, jaką był SLD.

KATARZYNA KWIATKOWSKA
O BOGDANIE ŚWIĘCZKOWSKIM

Budzi w środowisku postrach. Odbierany jest jako osoba mściwa, arogancka. Ludzie zwyczajnie się go boją.

JERZY TRELA
O STRACHU PRZED COVIDEM

Żywy teatr potrzebuje żywego człowieka. A głód żywego teatru jest we mnie silniejszy niż strach.

STANISŁAW TYM
O PEGASUSIE

Jakiś czas temu Kaczyński zadeklarował, że będzie się wstuchiwał w społeczeństwo.

PROF. JERZY BRALCZYK
O LUCYNIE KIRWIL

Przepadam za tym, jak żona się uśmiecha, i taki drobiazg, że ma dotek w jednym tylko policzku.

PROF. ANDRZEJ LEDER
O ZMIANIE POKOLENIOWEJ

Wchodzące pokolenie jest dużo mniej liczne, ale jest też bardzo inne. Mapa wrażliwości się zmienia.

MICHAŁ LISTKIEWICZ
O AGENTACH PIŁKARSKICH

To najgorszy gatunek ludzi futbolu, przeważnie bez moralności, wykształcenia, poczucia wspólnoty ze środowiskiem.

ANNA SEKIELSKA O MĘŻU TOMASZU

Tomek mówi, że zakochał się w moich oczach, a szczerze mówiąc, patrzył na biust.

PAWEŁ DOMAGAŁA
O ZUZANNIE GRABOWSKIEJ

Ja mam więcej ciuchów, lubię je wybierać i ubierać. Kupuję ubrania, bo ona nie znosi chodzenia po sklepach.



15-letnia Rosjanka Kamiła Walijewa po krótkim programie prowadziła, ale ostatecznie zajęła na igrzyskach w Pekinie czwarte miejsce.



Mona Lisą była mu

W Jekaterynburgu wandal zniszczył cenny obraz, dorysowując długopisem oczy dwóm z przedstawionych na nim postaci. Mowa o „Trzech figurach” Anny Leporskiej ze zbiorów Państwowej Galerii Tretiakowskiej, wypożyczonych na wystawę Prezydenckiemu Centrum Borysa Jelcyna i wartych według ubezpieczyciela prawie milion dolarów. Kontynuatorem dzieła Duchampa okazał się 60-letni ochroniarz. Warto mieć oko na jego kolejne akty twórcze!

Nić (DNA) w przyrodzie nie ginie

Po 11 latach do brytyjskiego właściciela wróciła sztuczna szczeka zgubiona w Hiszpanii. Podczas imprezy w jednym z iberyjskich kurortów Paul Bishop przesadził z cydrem i przy okazji wymiotowania do kosza zapodział wspomniane akcesorium. Z właścicielem połączono je ponad dekadę później. Było to możliwe dzięki badaniom śladów genetycznych pozostawionych na protezie, znalezionej na wysypisku śmieci – DNA mężczyzny znajdowało się bowiem w rejestrach policji na Wyspach. Obstawiamy, że na składowisku mieli niezły zgryz z cudzymi zębami.

Karmy, także strawionej, nie oszukasz

Mniej przyjemna niespodzianka spotkała kobietę z okolic Walencji. Po pół roku od wakacji w oddalonym o 650 km mieście Benalmádena otrzymała stamtąd mandat na kwotę 500 euro. Także w tym przypadku wykorzystano identyfikację na podstawie DNA, a przedmiotem analizy były niesprzątane psie odchody. Musicie wiedzieć, że w kraju Don Kichota wiele samorządów wymaga rejestrowania próbek śliny lub krwi psów, co ma na celu głównie zapobieganie maltretowaniu zwierząt oraz walkę z ich porzucaniem. Widzimy kupę argumentów za wdrażaniem tego rozwiązania także w Polsce!

Nowa era kaloryfera?

Mieszkaniec Gniezna opracował rozwiązanie pozwalające wykorzystywać koparki bitcoinów do ogrzewania domów. Dla niezorientowanych: rzeczona koparka to rodzaj komputera, który zarabia dla właściciela, wykonując obliczenia na potrzeby popularnego systemu kryptowalutowego. Urządzenie konsumuje dużo prądu, a więc także silnie się nagrzewa. Wynalazek Pawła Wojciechowskiego to zbiornik ze specjalną cieczą, który odzyskuje ciepło z zanurzonej w niej elektroniki i przekazuje je do instalacji grzewczej. Kopary opadły nam z wrażenia.

Nie wszystko złoto, co w sieci

Rozstała się para influencerów, która jeszcze niedawno szkolila, jak stworzyć dobry związek. Idylla Anny Skury i Dawida Piątkowskiego, na bieżący relacjonowana na Instagramie, trwała zaledwie trzy miesiące. Kilka dni przed finałem Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zakochani poinformowali, że zorganizują szkolenie online, z którego wszystkie zyski przekażą fundacji Jerzego Owsiaka. Oprócz zaleceń biznesowych można było na nim wysłuchać złotych rad, jak świadomie wybrać partnera i zbudować z nim szczęście. Jak to leciało z tym szewcem i butami?



Brytyjczycy Lilah Fear i Lewis Gibson podczas występu na Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie.

Coś dla zdrowka: wędrówka

W Kanadzie pacjenci są wysyłani przez lekarzy do... parków narodowych. Uczestniczący w programie PaRx medycy z Kolumbii Brytyjskiej, Ontario, Manitoby i Saskatchewan, którzy przepisują podopiecznym spacer, uzyskują dla nich darmowe wejściówki do kanadyjskich sanktuariów przyrody. Chodzi rzecz jasna o to, by nauczyć ludzi przechadzek i doświadczania natury, które są potwierdzonymi naukowo sposobami poprawiania stanu zdrowia. Docełowo program ma być realizowany w całym kraju. I o to chodzi!



FOT. A-MEM, PACZAIZM.PL, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, POLSKA ORKA POLITYCZNA, SIPA/EAST NEWS

eprasa.pl f4d60c8e84



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejka (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnaacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktory: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Koordinator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Mistyczne zaślubiny, z cyklu Personifikacje



Hedonista maluje Ukrzyżowanie

Dzień dobry, Panie Gauguin

Obrazy Grzegorza Bednarskiego

Jest to przekrojowa wystawa prac malarza i rysownika zaliczanego do przedstawicieli tzw. figuracji krakowskiej, jednego z najciekawszych polskich twórców współczesnych. Jego dzieła, ujęte w cykle tematyczne, podejmują problematykę egzystencjalno-metafizyczną. Wiele obrazów ma charakter zaangażowanych przypowieści o sprawach trudnych i bolesnych, chociażby o winie i karze. Bednarski wykorzystuje np. motyw dekonstruowania ciała, ale też tworzy cieplejsze martwe natury, funkcjonujące jako metafory przemijania.

Miejska Galeria Sztuki w Łodzi – Galeria Willa
ul. Wólczańska 31
do 16 kwietnia



Martwa natura (dla W. Panasa) IV

ANAÏS
DEMOUSTIER

VALERIA
BRUNI TEDESCHI

DENIS
PODALYDÈS

Odkrycie MFF w Cannes

ZAKOCHANA ANAÏS

reżyseria
CHARLINE BOURGEOIS-TACQUET



60^e SEMAINE
DE LA CRITIQUE
CANNES 2021

*Pełna świeżej energii
komedia obyczajowa*

w kinach od 18 lutego

AURORA



• TEATR CAPITOL •

KONGO

musical

PREMIERA
MARZEC 2022



MUSICAL DLA MŁODZIEŻY

• KUP

BILET
TEATR CAPITOL

• www.teatrcapitol.pl •

Producent

Patroni Medialni



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl/f4d60c8e84